III, I, 18, 27

COLETTE YVER

Kapłanki wiedzy

(Princesses des sciences)

Powieść

Przekład autoryzowany
Z. i A. Chrzanowskich

POZNAŃ 1924
CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO
SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

Printed in Poland

Doktór Fernand Guéméné wstał, jak zwykle, o 7-ej, ubrał się, zadzwonił o herbatę, którą przyniesiono mu do sypialni i zasiadł do śniadania w otwartem oknie.

Mieszkał na krańcu wyspy Saint-Louis, w skromnym pałacyku, który wynajął jako lekarz tej dzielnicy. Przez wysokie okna w wąskiej fasadzie widać było u stóp domu płynącą Sekwanę. Wzdłuż jej brzegu zwieszały się drżące, majestatyczne korony włoskich topoli. Regularny plusk wody sygnalizował przybycie maleńkiego parowca, zatrzymującego się tuż pod oknami. Młody lekarz był tak zamyślony, że nie słyszał, co się działo wokoło niego. Ręka, w której trzymał kawałek cukru, drżała. Po chwili odsunął niedopitą filiżankę, wziął kapelusz i skierował się ku drzwiom. Zanim opuścił pokój, odwrócił się, objął wzrokiem skromne umeblowanie i pomyślał:

— O ile ona mnie przyjmie, postaram się zaraz o inne meble. Widziałem w Bretanji wspaniałe szafy; zamówię taką u Guimpera... będzie mogła ułożyć w niej bieliznę... Stolik do roboty... hm... lecz czyż ona umie szyć?

Zwrócił oczy w stronę łóżka.

— Łóżko... skromne, mosiężne. Firanki z białego muślinu, jak u mych rodziców...

Był to wysoki mężczyzna na pozór sztywny, z ciemną, bujną czupryną, marzącemi oczy-

ma. Opuszczał mieszkanie, unosząc w duszy niewyraźny obraz białego pokoju, białych muślinów, nieokreślonych mebli, wśród których przesuwała się w cieniach półmroku smukła postać kobieca z węzłem ciemnych włosów...

Szedł brzegiem rzeki, wąską, starą ulicą Bourbon. Przeszedł most Saint-Louis. Przed nim rozwidlała się Sekwana, aby dwoma ramionami otoczyć stare miasto. Fale jej wód połyskiwały błękitem nieba. Był ciepły, lipcowy poranek. W dali gęsta i szara, jak popiół, mgła zasłaniała horyzont.

Po ulicach, ciągnących się wzdłuż obu wysp, ciężarowe wozy toczyły się z łoskotem. Jaskrawe światło ożywiało lazur wody, świeżość zieleni, różowość ceglanych fasad, potęgując kontrast ponurych, czarnych kamieni średniowiecznego gotyku, pełnego grozy, tajemnic i marzeń, jakim jest kościół Notre-Dame.

Doktór Guéméné szedł przez ulicę Cloître i plac Parvis do szpitala Hôtel-Dieu. Im bardziej zbliżał się do celu, tem większy niepokój zdradzały jego rysy. Rozległa, pusta przestrzeń placu Parvis przyprawiała go o zawrót głowy. Na widok ciężkich, szarych zabudowań szpitala, najeżonych kominami i wentylatorami, powieki lekko mu drgnęły.

Wszedł.

— Panna Herlinge przyszła? — zapytał pierwszego sanitarjusza, którego spotkał w korytarzu.

— Przeszła tędy przed chwilą.

— Dziękuję.

Sanitarjusze, chorzy, goście tłoczyli się przy wejściu. Guéméné przyspieszył kroku, mając wrażenie, że mu się wszyscy przyglądają. Wszedł na główny dziedziniec, który wydłużał się, spadając tarasami o schodach kamiennych,

ścieżkach, wysypanych żwirem, kwiecistych parterach aż do portyku kapliczki. Okalały go galerje zdobne w szerokie arkady, wznoszące się jedna nad drugą. Guéméné podniósł głowę — twarz mu się rozpromieniła. Na galerji trzeciego piętra ujrzał opartą o balustradę postać niewieścią.

Fernand kochał tę kobietę. Pisał do niej wczoraj, prosząc o chwilę rozmowy na tym właśnie balkonie — o ile nie zamierza dać mu odmownej odpowiedzi.

Teresa Herlinge była internistka Instytutu swego sławnego ojca, pod którego kierunkiem kończyła studja medyczne w szpitalu Hôtel-Dieu. Otaczał ją powszechny szacunek, tak dla jej zasług, jak i dla nazwiska, które nosiła.

Patrząc z dołu, Guéméné poznał wysmukłą postać kobiecą z węzłem czarnych włosów. Owładnęło nim radosne upojenie. Szpital ze swemi galerjami, kolumnami, arkadami, balkonami — cała tą wspaniała, szlachetna architektura wydała mu się teraz nowożytnym pałacem i odpowiedniem tłem dla tej nowoczesnej królowej wiedzy.

Oparta o balustradę galerji, podobna do szlachetnych dam średniowiecza, tylko że odziana w płócienny fartuch szpitalny, patrzała na zbliżającego się ku niej mężczyznę, który ją kochał.

Młodemu lekarzowi zdawało się, że hamuje pospiech i że zwalnia kroku: tymczasem biegł po schodach. Kiedy się zbliżył, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

— Więc... tak? — wymówił drżący.

— Zaraz, zaraz — odrzekła, śmiejąc się wesoło. Muszę z panem porozmawiać, muszę pana lepiej poznać. Dotychczas byłeś mi pan sympatycznym kolegą, obecnie przychodzisz

w innej roli. Sama jestem bardzo wzruszona... naprawdę bardzo wzruszona...

Nie widać tego było po niej. Dumna uroda brunetki miała w sobie więcej szlachetności, niż wdzięku; wspaniałe oczy błyszczały zadowoleniem kobiety, która czuje się kochana. Pewnym ruchem ręki gładziła bujne włosy, spadające na szyję. Delikatny puszek okalał usta; w rozkwicie dwudziestu pięciu wiosen wyglądała na królową.

— Nie możemy zostać tu na galerji — mówiła dalej — chorzy przechodzą tędy, sanitarjusze nas śledzą przez oszklone drzwi. Ważne rzeczy mamy sobie do powiedzenia. Na tę rozmowę odpowiedniejszą będzie moja pracownia. Prawda, Guéménć?

Był jakby lekki odcień serdeczności w tej nazwie koleżeńskiej. Wprowadziła go do wnętrza budynku, uśmiech jej przybrał nowy wyraz skupienia, zadowolenia i dobroci.

Pracownia jej, jako gabinet asystentki, sąsiadujący z salą chorych, pełna była flaszeczek, probówek, sond, modeli anatomicznych, słojów i książek. Na stole przy oknie wśród porozrzucanych drobiazgów stał mikroskop. Po prawej stronie skrzynia podobna do kasy ogniotrwałej, pełna szklanych rureczek, w których dojrzewały kultury bakcylów. Płomień gazowy ogrzewał aparat. Panna Herlinge zdjęła z jedynego krzesła małą skrzyneczkę, w której roiły się w wacie białe myszy, podała krzesło doktorowi, dając znak, aby usiadł; sama zajęła fotel.

— Wczorajszy pański list — zaczęła — zdziwił mnie bardzo. Znamy się od lat czterech. Rok jako eksterniści w Charité — tam pana po raz pierwszy spotkałam. Dwa lata jako

interniści w Enfants Malades, dokąd nas przydzielono, a w tym roku zakończenia studjów w klinice mego ojca, gdzie się często widujemy — oto bieg naszej przyjaźni. Cały ten czas byłeś pan najlepszym, najuprzejmiejszym z kolegów, ceniłam cię szczerze, lecz doprawdy nie przypuszczałam, żebyś mnie pan kochał.

— Reniu — odrzekł Guéménć, pozwalając sobie nagle na tę poufałą nazwę — ja także o tem nie wiedziałem... Długo pracowałem obok ciebie, jak dobry uczeń obok kolegi, nie zwracając na ciebie uwagi. Nie uznawałem kobiety-lekarza, ani „kobiecej zdolności", ani tej karjery dla niej za odpowiednią. Trzeba było twego wyjątkowego charakteru, natury tak sympatycznej pod każdym względem, abym dostrzegł w tobie prawdziwą i inteligentną koleżankę. Nieświadomie odczuwałem przyjemność w ciągłem obcowaniu z tobą. Zdobywałaś mnie powoli swym niezrównanym wdziękiem tak subtelnym, że sam nie dostrzegałem jego wpływu. Przyjemność, jakiej doznawałem w twej obecności, przypisywałem twej inteligencji, twemu miłemu usposobieniu. W sali rekreacyjnej lubiłem cię mieć za sąsiadkę, nie myśląc wcale, że te wspólne śniadania wśród otaczającej nas wrzawy mogły być wstępem do niezrównanego życia we dwoje. Co dzień więcej pociągałaś mnie swoją wesołością, swojem szczerem spojrzeniem... a gdy opuściłem szpital i osiedliłem się jako lekarz, zrozumiałem pustkę życia bez ciebie. Zrozumiałem, czem byłaś dla mnie, gdy pewnego wieczora, trawiony nieokreślonym smutkiem, spostrzegłem ciebie na grupie fotograficznej, zrobionej przeszłego roku w szpitalu. Reniu! nigdy nie dowiesz się, co się działo ze mną, gdy ujrzałem twoją białą bluskę i węzeł czarnych twych włosów... Wezbrane serce wy-

buchło szlochem... płakałem gorącemi łzami, łzami stęsknionego dziecka!

Jego wzruszenie, bladość i drżenie rozczuliły zimną dziewczynę; odrzekła poważnie:

— Mój dobry przyjacielu! więc tak mocno mnie kochasz?... dziękuję ci za to...

Wziął obie jej ręce, zgniótł je prawie w silnym uścisku, potem wstrząsając głową, szeptał zwolna:

— Nigdy, nigdy nie będę umiał powiedzieć, do jakiego stopnia jesteś mi drogą, Reniu!

Z dumą patrzał na budzące się w tej kobiecie, oddanej dotąd tylko nauce, nowe, nieznane jej wzruszenie. Znieważał ją sobie; bezopornie pozwalała ona, kobieta, żyjąca dotąd tylko „mózgiem", skuwać wokoło swych dłoni pierwsze więzy niewoli, jakiemi są ręce zakochanego mężczyzny. Ta, która dotąd zdawała się istotą zimną, niezdolną do marzeń i wzruszeń, okazała się kobietą o gorącem, głębokiem uczuciu. Z nieśmiałością, co tłumiła dźwięk głosu, szepnęła:

— Fernandzie!...

Kilka minut stali w niemem skupieniu.

— Tak — zaczęła panna Herlinge — nie myślałam nigdy o małżeństwie. Odkąd zostałam studentką, żyłam wśród młodych ludzi, lecz nie dbałam o ich względy, nie miałam nawet czasu na to. A jednak... już kilka razy pragnęłam być kochaną. Rzecz dziwna, mimo że nie przywiązywałam do tego wielkiej wagi, zazdrościłam miłości... lecz były to tylko niejasne, przejściowe marzenia, tyczące się przyszłości dalekiej i nieokreślonej. Mówiąc szczerze, nie kocham cię jeszcze, Fernandzie, ale może to przyjdzie z czasem. Cenię cię tak bardzo, przyjacielu...

Uśmiechnęła się serdecznie.

— Nosisz sławne nazwisko — odrzekł doktor — i czeka cię świetna karjera. Ja jestem skromnym lekarzem biednych, nie mam sławy ani majątku... Zanim ofiarowałem ci życie, musiałem cierpliwie wyrabiać sobie klientelę, lecz z chwilą, gdy mam chleb zapewniony, nie waham się prosić cię o rękę. Mam przekonanie, że szczęście, którem cię otoczę, będzie godnem ciebie. Nie jesteś panną, którą nęci próżność światowa. Jestem człowiekiem uczciwym i kocham cię. Chcesz zostać moją żoną?

— Tak, — odrzekła głęboko wzruszona i bardzo poważna.

W nadmiarze uczuć zerwał się, zakrywając twarz rękoma.

— Jakiż ja szczęśliwy! Jaki szczęśliwy!

Gdy podniósł oczy, Renia patrzała na niego zdziwiona, wzruszona i jakaś inna. Źrenice ich spotkały się na chwilę, zamieniając niewyrażone myśli, które złączyły ich silniej, niż słowa. Kurek gazowy z sykiem wyrzucał płomienie pod aparatem, mikroskop błyszczał w słońcu, kawałek ludzkiego mózgu pływał w jednym słoju, a w drugim biaława błona...

Młody człowiek objął wzrokiem laboratorjum, w którym ta dziwna dziewczyna spędzała długie godziny, wdrażając się do męskich studjów. Owładnęła nim szalona duma na myśl, że w tej kobiecie, napozór oddanej całkowicie pracy umysłowej, on zbudził siłą swej miłości prawdziwą kobietę — wzruszoną, drżącą, wymarzoną dla siebie towarzyszkę i narzeczoną.

— Niczego nie żałujesz, Reniu? — zapytał nagle.

— Nie żałuję nigdy raz powziętej decyzji — odpowiedziała pewna siebie. Zresztą wiem, że mnie nie zawiedziesz.

— Szczęście, które ci obiecuję, Reniu, będzie z tych, które trwają. Gdybym nie był tego pewien, nie ofiarowałbym go kobiecie takiej, jak ty. Tylko... czy wystarczy moje przywiązanie, żebyś zapomniała o swem dawnem życiu? Musiałaś go gorąco pragnąć, jeśli wybrałaś z pośród wszystkich innych i przeciw wszystkim — bogata, piękna, szczęśliwa, jaką byłaś! Czy nie będziesz żałowała studjów i sławy, których się wyrzekasz, a która zapowiadała się tak świetnie, i tej medycyny, którą tak gorąco ukochałaś?

— Przecież nie potrzebuję się wyrzekać medycyny, aby stać się twoją żoną...

— Jednakże ja tak rozumiem, Reniu.

Panna Herlinge pobladła mocno.

— Żądasz odemnie... tego żądasz odemnie?

Ze wzruszenia oboje zamilkli, patrzeli na siebie z przerażeniem.

— Wyrzec się medycyny?... powtórzyła po raz drugi.

— Tak, Reniu — odrzekł głosem stłumionym — chcę cię mieć całą.

Potrząsnęła głową z lekkim smutkiem:

— Nie, nie, nie żądaj tego odemnie. Czuję, wiem, że nie będę mogła. Pomyśl, przez sześć lat poświęciłam jej całą moją energję, całą umiejętność, całą moją wolę. Mój zawód — to ja; choćbym chciała go się wyrzec, on mną owładnie, jestem lekarzem całą duszą.

Konwulsyjnie zacisnęła obie ręce, jakby chciała bronić swej własności, tak ciężko zdobytej, tak namiętnie kochanej.

— Mówisz tak, Reniu, bo życie miłości jest nowem dla ciebie, nie znasz go jeszcze, za dużo jeszcze w tobie *studentki*, aby być całkowicie *kobietą*. Z czasem miłość zabije w tobie studentkę, a w chwili, gdy się zbudzi w tobie du-

sza kobiety, zrozumiesz, dla czego żądam od ciebie zupełnego oddania się, bez żadnych zastrzeżeń. Co więcej, wówczas odczujesz potrzebę i pragnienie tego, jak prawdziwa kobieta.

— Prawdziwa kobieta? Ależ sądzę, że nią jestem i to w najistotniejszem jej znaczeniu, gdyż zdobyłam pełną intelektualność. Kobietą o nierozwiniętym umyśle jest raczej niekompletną. I ty chciałbyś mnie zepchnąć do takiej roli? Doprawdy, Guéméné, nie rozumiem twej myśli...

— Nie rozumiesz? Posłuchaj... Jestem mężczyzną, szukam towarzyszki, aby z nią dzielić życie, bo takie jest prawo — bo mi potrzeba ogniska domowego i kapłanki tego ogniska. Chcę pracować dzień cały, chcę biegać od domu do domu, leczyć starych astmatyków, pomagać kobietom przy połogach, ratować noworodki, stwierdzać zgony, ale pod warunkiem, że po ukończeniu tej męczącej pracy, którą nazywamy zawodową — znajdę dom miły i żonę — tam mnie oczekującą. Może to egoizm... jestem mężczyzną normalnym... chcę mieć żonę dla siebie, nie chcę jej dzielić z całym światem. Ha! ha! ha! mąż doktorki! jakie to zachwycające!

Powstał, popychając brutalnie krzesło i zaczął krążyć nieprzytomnie po laboratorjum. Potem naraz chwytając Renię za ręce:

— Wymykasz mi się, czuję, że mi się wymykasz! Zostań, Reniu... kocham cię... wybacz gwałtowność. Marzyłem o szczęściu przy tobie, o szczęściu w uświęconem pożyciu małżeńskiem. Nie mów mi, że to przestarzałe, że to trąci parafiańszczyzną. Nie, szczęście, którego pragnę jest zawsze to samo, po wszystkie czasy, bo oparte na zdrowych i naturalnych podstawach. Kobieta stworzona jest dla domu.

Nie będziemy szczęśliwi, Reniu, gdy będziesz biegać do chorych, po klinikach i szpitalach, a rodzina zamiast być ci celem, stanie ci się zawadą. Nie marnujmy życia, budując ognisko na ślepo.

Wydaję ci się pełen przesądów? To nie przesądy ani zacofanie... I ja uznaję kobiety samodzielne, rozumne, myślące. Nie wiem, skąd się zrodziła moja miłość do ciebie, może właśnie z tego, że cię zanadto podziwiałem. W każdym razie równy poziom naszych umysłów może tworzyć najlepszą podstawę naszego szczęścia. Kocham twój umysł, jasny, promienny, jestem z niego dumny, ale chcę mieć sam jeden do niego prawo.

Nieco twarde i zimne rysy twarzy, przejrzyste źrenice panny Herlinge wracały powoli do zwykłego swego wyrazu. Hamowane oburzenie drżało w jej głosie i słowach.

— Dlaczego żądasz odemnie, czegobyś mi sam nie dał, a nie dałbyś mi swego życia umysłowego. Uważałbyś, zresztą słusznie, moje pretensje za wygórowane, gdybym zażądała od ciebie, jako dowodu miłości, abyś porzucił swą karjerę? A przecież jestem takim samym lekarzem, jak ty, te same przeszliśmy studja, mam dyplomy podobne do twoich; jesteś doktorem — ja będę nim wkrótce... Co za różnice widzisz między nami?

— Widzę wielką. Widzę namiętność, którą napróżno ukrywasz pod maską spokoju i żądzę, którą wywołuje w tobie zawód lekarski. Wasze spokojne dusze intelektualistek znają tylko ten jeden zapał, ale za to jesteście nim całkowicie pochłonięte... I to jest konieczne! Bez tej gwałtownej żądzy wiedzy i dyplomów — często tylko dyplomów — czyżbyście robiły ze siebie takie „wyjątki" życiowe, wyczerpy-

wały się pod brzemieniem nauk, przechodzących wasze siły, czyżbyście narażały się na życie tak trudne, wyrzekały się tych wszystkich przyjętych tradycji i płynęły siłą, więcej niż męską, przeciw prądowi, zwyczajom i tradycjom?... O ile mniejszym jest nasz zapał... Zawód, który z waszej strony wymaga tyle zamiłowania i poświęcenia, młodemu człowiekowi przedstawia się jako rzecz naturalna. Może go nawet traktować z małem zainteresowaniem — dość przejść przez Quartier Latin i wstąpić do kilku piwiarni, aby się o tem przekonać — a mimo to siłą samej rzeczy może się stać doskonałym lekarzem. Mężczyzna oddaje swemu zawodowi tylko tyle czasu i zainteresowania, ile konieczne, z obowiązku, zmuszony do tego; lecz swoje prawdziwe „ja“ rezerwuje dla siebie — w zawodzie siebie nie topi. Kobieta przeciwnie, oddaje mu się cała z wszystkiemi zaletami, zdolnościami, słabościami, z całą swoją wrażliwością i uczuciami... Czy wiesz, że przy pierwszej mojej sekcji, gdy lancet przeciął krtań trupa, straciłem przytomność i ległem jak kłoda. Wielu z mych towarzyszy przyznało mi się do tej samej przygody, i mało jest studentów, którzyby na widok tego ludzkiego ćwiartowania nie odczuwali odrazy. To mija, dzięki Bogu!... Otóż, kiedy widziałem panią w szpitalu Charité, robiącą pierwszy raz sekcję, rękę miałaś pewną, a na pytanie odpowiedziałaś dumnie: „nigdy nie drgnęłam na widok trupa“!... Faktem jest, że wy kobiety znosicie tę okropną scenę na ogół spokojnie, i zauważyłem, że niewiele studentek czuje się źle w prosektorjum. Nerwowe, delikatne, bez porównania wrażliwsze od nas mężczyzn patrzycie na to spokojne, nieczułe. Niema w was fizycznej odrazy na widok tej cuchnącej rzezalni; taka w was żądza widzenia, po-

znania, zostania lekarzem... I ty się dziwisz, Reniu, że mnie przeraża w twej duszy ta wszechwładna namiętność tak znieczulająca, deformująca, zaślepiająca?

Panna Herlinge odrzekła smutna i zamyślona:

— Nie przeszkodzi mi to kochać cię gorąco, Gueménć...

— Jabym pragnął — odrzekł — żony, która się oddaje cała mężowi, podnosi go, uspakaja, rozwesela lub pociesza i zawsze jest przy nim, Reniu, zawsze... Tradycja dawnych małżonek jest dobra, prawdziwa i zgodna z prawem natury. Wszystko, co odrywa kobietę od domowego ogniska, jest złe; albo... trzebaby zastąpić starą teorję małżeństwa przez jakąś nową formułę pożycia koleżeńskiego...

Przerwała mu:

— Ależ ta formuła jest właśnie piękna, w moim zrozumieniu. Połączyć dwie równe sobie istoty, jednocześnie kochanków i przyjaciół, zapobiec przez to samo wykształcenie i te same zajęcia nieporozumieniom małżeńskim, pochodzącym najczęściej z nieproporcjonalnej różnicy umysłowej... Czy nie uważasz tego za dobre i użyteczne? Przypuszczam, że nie zaprzeczasz równouprawnieniu małżonków?

— Równouprawnieniu nie, ale równorzędności. Nie uważam kobiety za niższą, lecz za różną od mężczyzny i mimo wszystkich wysiłków waszych, dążących do zamienienia was na chłopców w spódnicach, pozostaniecie tak przez wasz sposób bycia, jak wasze idee, a nawet waszą wiedzę, czem innem w istocie swej, niż my. Tysiące tajemnych skłonności czynią was odmiennemi od tych, których naśladujecie.

Panna Herlinge z przekonania przeczyła wyższości mężczyzn, lecz przyznawała im

umysł bardziej ścisły, wolę silniejszą, pomysły śmielsze. Prawdopodobnie Guéménć miał to samo na myśli. Mężczyzna i kobieta są sobie równi inteligencją, wartością moralną, lecz pierwszym przypisywał wyższe zdolności spekulatywne, możliwość geniuszu, podczas gdy drugim przyznawał wyższość odczucia i wrażliwości.

— Nie jesteśmy pensjonarkami — odrzekła.

— Niemniej jednak jesteście kobietami. Odwieczne powołanie kobiety pociąga z tą samą siłą naiwne dziewczęta, jak rezonujące sawantki. Macie we krwi tę samą potrzebę poświęcenia się, ten sam instynkt czułości; natura zrobiła was kobietami, zanim obrałyście zawód lekarski.

— Ach! Jak ty przesiąkłeś tradycją swej bretońskiej rasy, nieznośnym kultem szablonu! Więc dobrze, zostawmy kobietę przy garnku i igle, zamknijmy szczelnie drzwi, aby przedewszystkiem strzegła swego miejsca przy domowem ognisku... Ale w takim razie powiedz mi, co zrobisz z tym niezliczonym zastępem panien bez posagu, zgromadzonych przy tych ogniskach, skąd nie pozwalasz im się oddalać, a dokąd, jak wiesz, nie przyjdą konkurenci prosić o zaszczyt utrzymywania ich? Poprostu poumierają z głodu, mój drogi, dzięki twoim pięknym teorjom.

— Teorja moja nie jest bezwzględna dla kobiet, ani niedorzeczna. Całem sercem przyklasnę tym dzielnym pannom, które, acz bez środków materjalnych, słabe, opuszczone, wśród niesłychanych trudności i ciężkiej pracy wywalczają sobie lepsze miejsce pod słońcem, gardząc mężczyzną, który je zaniedbuje. Czyż mało widzieliśmy tych studentek w filcowych kapeluszach, w znoszonych sukniach, o oczach asce-

tycznych, zapisujących gorączkowo chudymi palcami wykłady. N. p. ta mała eksternistka Rosjanka, Dina Skaroff, czyż niegodna podziwu w swych łatanych bucikach, szewiotowej sukience i w tej niezmordowanej pracy! Przyznała nam się, że nie cierpi anatomji, że nie może nagiąć do niej swego rozmarzonego umysłu, że spędza noce nad książkami, aż słabnie rano... i w tych warunkach składała egzamin z pierwszego kursu. Może myślisz, że nie doceniam wartości kobiet jej miary, które bez grosza, w obcym kraju onieśmielone, umiały jednak wywalczyć sobie takie stanowisko i zdobyć coś z życia dla siebie? Tylko musiałbym się bardzo mylić, jeśli w tej zawziętej studentce nie kryje się namiętna, życiem drgająca dziewczyna, gotowa zrzucić pancerz obojętności i nieprzystępności, by rozwinąć się w pełną kobietę, w dniu, w którym zniknie potrzeba pracowania na życie, pozwalając jej swobodnie być, jak każda inna, kochanką, żoną i matką. Otóż, Reniu, patrząc z tego punktu uznaję kobiety-lekarzy. Zapewne uważałbym za niesłuszne, gdyby mężczyźni odmawiali kobietom, których mężami stać się nie chcą, prawa do zawodu, coby im dawał niezależność. Lecz gdy mężczyzna poślubia kobietę, gdy wszystko wchodzi w normalny bieg rzeczy, wówczas staje się oparciem rodziny, a kobieta winna się oddać swemu głównemu zadaniu, t. j. żyć dla męża i dzieci.

Spoglądając na Renię, dodał:

— Oburzam cię, prawda?

— Nie — odrzekła bardzo blada, ale łagodnym głosem — tylko... ty kochasz mnie egoistycznie tak, jak kochają wszyscy mężczyźni. Żądasz poprostu, abym poświęciła się tobie, ofiarowała twojej miłości wszystko, co kocham i czem jestem.

Wyciągnęła rękę i zamknęła kurek od gazu, płomień zgasł, cisza zaległa. Słońce oświecało preparaty anatomiczne i pływający w spirytusie embrjon, wielkości bobu. Po chwili panna Herlinge zaczęła głosem smutnym:

— Nigdy nie będę mogła....

Guéménć zrobił ruch zdesperowanego.

— Trzeba mnie wziąć razem z mym zawodem... lub zapomnieć — dodała.

— W takim razie będę się starał zapomnieć, — odrzekł, prostując się z wysiłkiem, jakby pod ciężarem bezgranicznego zniechęcenia.

Odpowiedź ta zdziwiła i obraziła studentkę. Córka wielkiego Herlinge znała dotychczas tylko powodzenie i nie rozumiała, żeby mogła była być kochaną miłością nie bezwzględną. Narazie ta piękna, romantyczna miłość upoiła ją, jak nowy, niespodziewany tryumf. Lecz, gdy spostrzegła, że dar jej, którego wartość sama znała, przyjęto z warunkami, targowano, a wkońcu odrzucono, owładnął nią niepokój, a rozczarowanie i przekora zrobiły swoje.

— Zapomnieć mnie — rzekła niepewnym głosem — załóżmy się, że to nie potrwa długo.

Robił wrażenie, że tego nie słyszał. Pierś jego podniosła się ciężkiem westchnieniem i patrzał na młodą dziewczynę oczyma zgasłemi, oczyma człowieka bardzo cierpiącego.

— A więc... to koniec?...

Widząc tak nieszczęśliwym człowieka, z którym łączyły ją wspólne studja i serdeczna przyjaźń, którego znała od tylu miesięcy zawsze równego, mądrego, z umysłem prawym, pewnym, trochę mistycznym — instynktownie odczuła żal tej miłości uchodzącej. Przez chwilę ważyła w myśli możliwość takiej ofiary, lecz znów przesunęło się przed jej oczyma zadowolenie i upojenie, jakie jej dawała medycyna. Po-

zbawiona tej satysfakcji, stanie się odrazu jakby umniejszoną, upokorzoną, bez blasku, utonie w pospolitości — ale wówczas zdolną będzie oddać się bez zastrzeżeń człowiekowi, który stał teraz przed nią drżący miłością.

Ociągała się z odpowiedzią. Guéméné wstał i szepnął:

— Żegnam panią.

A więc skończone, odchodził.

Miłość, o której wczoraj jeszcze nie myślała, stanęła przed nią żywa, głęboka, wszechwładna... wstrząsnęła nią, oczarowała, rozczuliła i odeszła. Rozpocznie znowu dawne poważne, jednostajne życie. Było to banalne przebudzenie po śnie cudownym. Lecz Guéméné stał jeszcze... jedno słowo, a otworzy się przed nią epoka miłości, pełna wrażeń coraz to nowych, coraz silniejszych, które obserwowała u drugich, a które dla niej mimo całej wiedzy kobiety uczonej, pozostały równie nieznane, obce, jak dla najnaiwniejszej młodej panieki. Przez myśl jej przesunęło się: „to jednak byłoby dobrze"...

W tej chwili usłyszała drżący głos młodego człowieka, który mówił:

— A przecież, Reniu, powiedziałaś: tak. Mógłbym cię wziąć, mógłbym odejść stąd, posiadając szczęście. Gdybym chciał, mógłbym odejść stąd, zabierając do domu pewność, że cię tam kiedyś wprowadzę. I kocham cię, jak szaleniec... ramiona moje mogłyby cię objąć, jak narzeczoną... tak, miałbym prawo, miałbym prawo...

— Przestań! — przerwała, przerażona jego egzaltacją. — Drzwi oszklone zaledwie przymknięte! siostra tam jest, może nas usłyszeć...

Lecz on, nie zważając, mówił dalej:

— Od ośmiu miesięcy w samotności mojej karmię tę miłość. Jak zwierz, który zagrzebuje

się w ziemi, aby spożyć drogocenną zdobycz, tak ja zamykam się u siebie. Widuję cię we śnie, zbudzony widzę jeszcze wyraźniej na jawie — zjawą mi byłaś bezustanną, o tobie tylko myślę, dla ciebie pracuję, twoją wizją tysiąckrotną zaludniam mój dom pusty. Cierpiałem, płakałem, dzień i noc wyciągałem stęsknione ramiona do ciebie i oto dzisiaj widzę cię, ubóstwiam, mam prawo do ciebie i — nie, nie, nie!

Blady, drżący, zaciśnięciem pięści potwierdzał swą nieprzepartą wolę i nieugiętość swej rasy, a przed nim panna Herlinge równie blada, zgnębiona; walcząc przeciw odruchowi litości kobiecej, która ze słowami pełnemi słodyczy, pchała ją nieodwołalnie ku temu człowiekowi. Oboje tworzyli piękną i dobraną parę; natura, młodość skłaniały ich ku sobie, ale między nich wcisnęła się duma, stawiając nieprzepartą zaporę.

Renia wyciągnęła rękę:

— Żegnaj, Guéméné... lecz to ty tak chciałeś...

— Podziękuj, że mam siłę odejść — zawołał. Wiem, jakie nieszczęście czekałoby nas w tym związku fatalnym, gdzie ty byłabyś tylko połowiczną żoną, szarpaną moją zazdrością, zajętą czem innem, zostawiając mą miłość niezaspokojoną. Cierpię bardzo, ale wolę opłakiwać mą miłość nietkniętą, aniżeli zatrutą.

— Nie rozumiesz mnie, Guéméné; ja sama dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak mnie ten zawód pochłonął. Nie miej mi tego za złe, ale ja nie mogę wyrzec się go, nie mogę! Czem jest banalna egzystencja, którą mi ofiarowywujesz w porównaniu do tych cichych powolnych a tak namiętnych walk, jakie staczamy z chorobami, tych bezustannych zagłębiań w tajem-

nicę życia. Nigdy się nikt nie dowie, co odczuwam, gdy wchodzę na salę, gdy znajdę nowego pacjenta i badam ten żywy problem, jakiem jest ciało ludzkie z nieznaną chorobą, którą trzeba odgadnąć, określić, opanować... Guéméné! czy nie znasz podniecającego niepokoju przy stawianiu djagnozy i triumfu z potwierdzenia przypuszczeń? Jakąż my posiadamy potęgę! Czytać tak w „niewidzianem", w ukrytych organach, czytać oczami umysłu, li tylko przez wnioski i widzieć wszystko w żyjącem ciele, tak, jak się to widzi przy sekcji... Autopsja! -Co za cudowna rzecz z temi swemi odkryciami, potwierdzającemi całe rusztowania hypotez, stawianych w nieznanych wypadkach. Nieraz drżałam wobec tajemnic, których żywe ciało wydać nam nie chciało, myśląc wtenczas, że autopsja, odkrywając trzewia, położyłaby odrazu koniec naszej niepewności. Tak, nieraz życzyłam sobie gorąco sekcji, gdy czułam na kilka cali pod palcem nieuchwytną rzeczywistość choroby i pożądałam jej gorąco z ciekawością dziewczynki, która rozpruwa swoją lalkę. Często wbrew przewidywaniom, chory wyzdrowiał, zabierając z sobą tajemnicę, zanim się czegoś o niej dowiedzieć było można — a niepewność zostawała!

Miewałam piękne godziny w życiu, Guéméné!...

Słuchał, jak śpiewała pełna zapału hymn entuzjastyczny na cześć fizjologji, prawie, że nieludzki. Byłby ją wolał mieć więcej kobiecą, uczuciową, współczującą i dobrą. Wolałby widzieć w niej marzenie, poświęcenie i miłosierdzie, przez które sam przechodził na początku studjów. Litość współczująca, subtelniejsza, delikatniejsza od filantropji sławnych lekarzy, była dlań racją istnienia i jakby usprawiedliwieniem kobiet-lekarzy. Tymczasem widział w niej wię-

cej obojętności dla osoby chorego, niż zazwyczaj okazuje to ogół studentów.

— To moja namiętność i to nieuleczalna namiętność — kończyła. Przyrzekając ci zmienić się, popełniłabym zły czyn: onaby mnie znów zabrała.

W tej chwili rozległa się wrzawa na schodach: męskie głosy i chód kilkudziesięciu osób. Teresa odsunęła firankę z oszklonych drzwi i rzekła:

— Mój ojciec.

Doktor Herlinge zbliżał się, ubrany w czarny beret, bluzę i fartuch biały. Za nim cisnęli się studenci, lekarze, uczeni, starzy i młodzi, eleganci i zaniedbani, a wśród nich i kobiety, tworząc wokół sławnego lekarza, któremu assystowali przy wizytach środowych w klinice, świetną świtę. Mistrz z twarzą zmęczoną i obojętną ciągnął za sobą ten tłum chciwy jego słów. Był mały i wątły; z pod bujnych brwi błyszczały przyćmionym ogniem oczy dziwnie niebieskie. Siwiejące włosy zwieszały się w puklach z pod beretu. Siostra dyżurna, idąc przed nim, otworzyła drzwi do sali.

Rzuciwszy przyjacielowi ponowne, krótkie pożegnanie, Renia wyszła z gabinetu i wcisnęła się między mężczyzn, którzy gromadzili się w sali. Miała do przedłożenia ojcu kilka obserwacyj, zrobionych na trzech nowo przybyłych chorych; z trudem przedostała się, pomimo, że usuwano się przed nią.

Guéménć, schodząc, spotkał na schodach młodą dziewczynę biednie ubraną, która, opierając się o poręcz, z trudem wchodziła na górę. Miała kapelusz słomkowy bez żadnej ozdoby, pod nim świeciły dziwnie żywe oczy. Włosy gładko uczesane, zakrywały czoło do połowy.

— Dzień dobry, pani, panno Skaroff — rzucił w tę stronę.

Wyciągnęła rękę.

— Dzień dobry... Nie będziesz pan dzisiaj słuchał Herlinge'a?

— Nie, zajęty jestem w mieście — odrzekł, nie zatrzymując się.

A ona spieszyła dalej na drugie piętro do kliniki, do tej wiedzy świetnej, bogatej, którą reprezentował sławny lekarz, a z której biedna, ambitna dziewczyna nie chciała stracić ani słowa.

ROZDZIAŁ II.

W pierwszych chwilach odczuwał prócz bolu, gniew i gorycz, i te pomogły mu żyć dalej. Zresztą był bardzo zajęty. Ranki spędzał na odwiedzaniu chorych w dzielnicy L'Ile-Saint-Louis, ludnej i niezdrowej, pełnej angin, katarów i reumatyzmów. Czasami bywał wzywany do ludzi bogatych, do tych cichych dyskretnych domów, o starych fasadach i balkonach, w stylu Ludwika XV wzdłuż ocienionych ulic pobrzeżnych, które nadają wyspie obramienie archaiczne i pełne godności.

Młody, inteligentny i poważny lekarz zyskał sobie wkrótce uznanie. Po południu konsultacje przeciągały się zazwyczaj do 5-tej wieczór. Przyjmował biedne kobiety z ludu, kupców tej dzielnicy, którzy kładli mu 3 franki na brzeg mahoniowego biurka. Kiedy poczekalnia się opróżniała, wychodził na miasto, notując listę chorych w karnecie. Wzywano go często na prawy brzeg rzeki, aż w dzielnicę Bastilji. Wracał zmęczony późno dorożką; obiad jadł nieraz w nocy. Wówczas to opanowywało go wspomnienie Reni Herlinge; zbyt przywykł już do myśli o jej obecności w tym domu i z egzaltacją zakochanego nie uznawał tego mieszkania bez niej.

Pewnego wieczora, w słabem oświetleniu schodów zdawało mu się, że dostrzegał smukłą

postać i węzeł ciemnych włosów na galerji pierwszego piętra. Oniemiał; wszedł do pokoju, drżąc nerwowo na całem ciele. Sądził, że ma febrę. W nocy budził się nagle, miał wrażenie, że słyszy głos panny Herlinge; zimny pot go oblewał. Zasypiając odpędzał myśl o niej, lecz budził się z wrażeniem kobiecej ręki na szyji, zdawało mu się, że rozpoznaje chłód złotego pierścionka, który nosiła na palcu.

Wkrótce stał się niezdolny do pracy. Gorączkowe halucynacje prześladowały go podczas godzin przyjęć. Gdy drzwi poczekalni, łączące ją z jego gabinetem otwierały się przed nową pacjentką, zdawało mu się, że rozpoznaje kroki panny Herlinge. Myśl, że cofnie swoją decyzję, pozwoli się przekonać, że zrezygnuje ze swego zawodu, aby mu oddać się niepodzielnie, prześladowała go bezustannie. Wyobrażał sobie, że jako swobodna studentka odważy się na czyn subtelny i przyjdzie sama, aby go zaskoczyć i nacieszyć się jego szalonem szczęściem. Oczekiwał jej bez przerwy, bez znużenia, bez zastanowienia, a gdy odprowadzał nowego gościa z poczekalni do gabinetu i okiem badawczem przebiegał pokój, za każdym razem odczuwał to samo rozczarowanie, że nie zobaczył między gośćmi Reni.

Pewnego poranku, przechodząc przez Quai aux Fleurs, ujrzał ją zdala. Był to dzień targowy. Trotuar zasłany kwiatami geranium, begoniami, margeritami — przedstawiał raczej barwny parter. Na tle ognistej czerwieni geranium odcinała się pochylona lekko, smukła sylwetka Reni.

Guéménć instynktownie rzucił sie ku niej. Oto raz jeszcze szczęście w postaci tej kobiety stanęło przed nim. Ruch jego był ruchem impulsywnym człowieka, dążącego do szczęścia.

Przez głowę przeszła mu myśl porozumienia się z dumną studentką i skrystalizowała się z szybkością desperackiej decyzji.

Odwróciła się i zobaczyła go.

— To pan, Guéménć?

Uśmiech jej uspokoił młodego człowieka. Wzruszony, ściskając jej rękę, wyjąkał kilka słów bez związku.

— Co? chcesz pan ze mną mówić poważnie tu?... Czyż możemy?

— Owszem, możemy — odparł. — To będzie bardzo krótko. Tak cierpiałem od owego dnia, że szukałem jakiejś drogi wyjścia z tego koła, w którem jesteśmy zamknięci. Zdaje mi się, że znalazłem i muszę to pani powiedzieć natychmiast, aby usłyszeć nareszcie słowa, które mogą uczynić cię moją, Reniu.

Tyle tłumionej miłości drżało w tych słowach i w całej postaci młodego człowieka, że studentka mimo całego swego spokoju odwróciła oczy. Ujrzała biały, cichy asfalt bezludnej ulicy w blasku słońca. Ani jeden przechodzeń o tej spóźnionej godzinie, ani jeden pojazd nie przerwał panującej ciszy. Silny zapach kwiatów napełniał wonią rozgrzane powietrze. Olbrzymie zabudowania szpitala wyglądały jak ponure mury więzienne.

— Słucham pana — rzekła zimno. W głębi duszy pragnęła porozumienia, któreby pogodziło przywiązanie jej do zawodu ze skrytem pragnieniem miłości. Dzisiejszy krok Fernanda był pierwszem ustępstwem. Oczy jej błyszczały ciekawością.

— Szaleńcem byłem — rzekł młody człowiek, — żądając od ciebie takiego poświęcenia. Kobieta, jak ty, nie porzuca swego zawodu. Wyższość inteligencji zabrania ci pędzić życie bezmyślne, jakie bywa zazwyczaj udziałem ko-

biety. Ale przecież oprócz życia ruchliwego, niespokojnego, anormalnego doktorki jest inne, równie godne ciebie. Jest to życie kobiety nauki, która, nie opuszczając domu, ani wyrzekając się swego powołania, pracuje dalej w swym gabinecie z pomocą książek, w laboratorjum, zaspakajając w ten sposób nieustanną żądzę wiedzy. Taką cię widzę, Reniu, w naszym przyszłym domu. Byłabyś ideałem kobiety nowoczesnej! Stojąc na straży ogniska domowego, dzieliłabyś czas swój na staranie o nie i cichą poważną pracę. Jesteś przyjaciółką pani Lancelée, doktorki w Prezydenturze. Przyjrzyj się jej w jej laboratorjum. Ty także....

— Laboratorjum! — przerwała zgorszona. Ja marzę o pracy lekarza, która daje kontakt z całą ludzkością, z tym całym światem, jakim są chorzy, których przyjaciołmi się stajemy, przewodnikami duchowymi i zbawcami. Ciała ludzkiego pragnę jako pola doświadczeń — żywego, drgającego i cierpiącego. Doprawdy dość czuję energji, aby żyć życiem pełnem, które warte tyle, co życie dziesięciu innych kobiet. Miałażbym skończyć na zamknięciu się w gabinecie z kilku słojami, aby hodować bakcyle, obserwować mikrograficzne reakcje komórek, trochę chemji i patologji w formie książek z kolorowemi obrazkami, nie mającymi nic wspólnego z tekstem?... Nie, Guéménć, nie znasz mnie, jeśli mi to proponujesz. Mnie potrzeba pola działania, praktyki lekarskiej, a nie bezpłodnych studjów. Szpital mnie magnetyzuje, chorzy przykuwają. Pragnę realnych rezultatów, triumfu lekarza — zwycięstwa nad śmiercią!

Szli w stronę mostu w kierunku Notre-Dame. Renia blada, drżąca, podniecona swą wymową, zatrzymała się na chwilę.

Guéménć milczał. Wreszcie przemówił:

— Tak. to wystarczy... nie będę więcej nalegał. Żegnam.

— Biedny Guéménć! — szepnęła Renia, ściskając mu rękę z współczuciem, które dotknęło młodego człowieka.

— Daj pokój, — rzekł prostując się. — postaram się zwalczyć moją miłość.

Zrobiła ruch, jakby chciała go zatrzymać, lecz on ukłonił się, zawrócił i skierował się w stronę wyspy Saint-Louis.

* * *

Smutna wiadomość oczekiwała go w domu. Służący wręczył mu bilet, pisany nieczytelnem, szalonem pismem:

„Drogi Ferdynandzie! Niema już jej... przyjdź do mnie.

Eugenjusz Guéménć."

W stanie chorobliwej wrażliwości, w jakiej pogrążyła go walka z własnem uczuciem, młody człowiek odczuł tę wiadomość, jakby cios osobisty, który go dotknął głęboko. Eugenjusz Guéménć był jego stryjem, także lekarzem, jak i on praktykował w Bretanji aż do chwili, gdy beznadziejny stan jego ukochanej żony, w której po dwunastu latach pożycia stale był rozkochany, wymagał przyjazdu do Paryża i powierzenia jej opiece sławnych specjalistów.

Fernand pamiętał jeszcze przybycie ich na dworzec d'Orsay, ośm miesięcy temu, i widok stryja, młodego jeszcze człowieka, a tak zmarnowanego bólem, wpatrującego się pożerającym wzrokiem w swą nieszczęśliwą żonę, która wyczerpana drogą, siliła się na sztuczną wesołość z nieprawdopodobnem wprost męstwem, aby łudzić męża.

Była to kobieta lat 40-tu, niezwykle pociągającej powierzchowności. Cierpienie we-

wnętrzne niszczyło jej twarz piękną i przyprószyło przedwczesną siwizną wspaniałe włosy. Lecz ogień ukrytej gorączki a może także miłość, którą odpłacała mężowi jego kult namiętny, rozpalała wspaniałym blaskiem jej wielkie, ciemne, łagodne oczy. Jednakże nie tyle te magnetyczne oczy, wspaniałe inteligencją czoło i krążąca wkoło groźba śmierci, były przyczyną jej uroku, ile właśnie ta nieustająca namiętność, jaką wzbudzała coraz silniejsza, naprzekór chorobie i powolnemu zanikowi pięknego ciała.

Mieszkali na bulwarze St. Michel naprzeciw Luksemburgu. Fernand odwiedzał często chorą, był obecny przy ciężkiej operacji, dokonanej przez Artout, sławnego ginekologa, po której chorej pogorszyło się znacznie. Z dnia na dzień słabsza, prawie napół żywa, a zawsze wesoła, inteligentna i łagodna ze względu na męża, który, stojąc w nogach łóżka, nie odrywał od niej swych bólem obłąkanych oczu. Nie wspominała nigdy o śmierci, choć czuła ją blisko; mówiła stale o sztuce, literaturze. Mąż starał się utrzymać ten ton swobodnej pogawędki. Litość brała, patrząc na tych dwoje ludzi, grających komedję spokoju, podczas gdy dusze zamierały im na myśl bliskiej rozłąki.

Młody człowiek przypomniał sobie te wizyty. Nie były one bez wpływu na jego życie uczuciowe. Pełne bolu, szlachetne uczucie stryja, zaledwie 18 lat starszego, wzbudzało w nim ambitne, wyrozumowane pragnienie podobnego uczucia. Zazdrościł mu tej heroicznej miłości. I to niemało przyczyniło się do pewnego rodzaju mistycznego wyegzaltowania miłości do panny Herlinge.

I to o tej przedziwnej i tak uwielbianej istocie napisano mu: „niema jej!“... Więc tak potężna miłość nie mogła jej zatrzymać? Wy-

dawała mu się ponad wszelkie ogólne prawa, zdawało mu się, że nie może umrzeć, jak każda inna kobieta. A tu czyta, że jej niema!... i to on sam — jej mąż-kochanek skreślił te nieszczęsne słowa....

Guéménć ujrzał znów jej piękne, żarzące się oczy na tle białych haftów poduszki i bujnych siwiejących na skroniach włosów. Blado niebieska wstążka przytrzymywała na piersiach walencienki nocnej koszuli, delikatna chuda ręka bawiła się niemi.... Na myśl, że i on kochałby pannę Herlinge taką miłością bez granic, jaką wzbudzała umarła, młody lekarz zalał się łzami.

Przezwyciężając przerażenie, jakiem go napełniała myśl o nieszczęściu wdowca. udał się na bulwar St. Michel. Gdy wysiadł z windy na 4-tem piętrze, gdzie Guéménć'owie mieszkali, spotkał z mieszkania umarłej wychodzącą kobietę. Była to dość przystojna blondyna, otyła, czarno ubrana, która, ujrzawszy go, podniosła ręce w górę:

— Okropne! Okropne!

Potem, ściskając dłoń młodego człowieka:

— Kochany doktorze! Serce ci pęknie. Nie widziałam nigdy podobnej chorej. Co za nadzwyczajna istota!

— Spodziewaliście się tak szybko końca? — pytał.

— Tak. Od pięciu dni przyłączyły się zapalne komplikacje, wie pan... to nieomylne. Potem przyszła gangrena. Artout był wczoraj, aby potwierdzić moje przypuszczenie. Okropne! mogę powiedzieć, że to był rzadki wypadek....

Potem, potrząsając silnie rękę doktora:

— Przepraszam, muszę uciekać. Asystuję dziś przy operacji, za trzy kwadranse muszę

być na avenue Kleber. Artout dobry jest dla mnie..

Guéménć odprowadził ją oczyma; okrągła, żywa, brutalna, szybko schodziła ze schodów, waląc po dywanie nowemi skrzypiącemi buciками... Trudno mu było uznać kolegę w tej doktorce-akuszerce, z manierami „sage femme“ wystrojonej, zawsze zajętej, zaaferowanej, przyjmującej więcej klienteli, niż mogły pomieścić godziny dnia i nocy, aby wyżywić czworo dzieci. Wszystkie książki patologiczne umiała na pamięć, mogła recytować każdą od początku do końca bez pomyłki. Przyjmowała chorych przy ulicy Buci, na parterze, gdzie hałas omnibusów i wozów uniemożliwiał auskultacje. Za wizytę brała dwa franki. Artout, który był jej dawnym profesorem, opiekował się nią i posyłał do bogatej klienteli. Cenił dokładność jej pamięci, uległość wobec udzielanej przez niego nauki i skrupulatne, prawie mechaniczne jej stosowanie. Wymodelował ją sobie według swej formy, poza którą nie wychodziła, dlatego odczuwał do niej coś z tego samego zaufania, jakie miał do siebie — co mu nie przeszkadzało wyrażać się do kolegów: „Ach, Adeline? tak, asystuje mi czasem przy operacjach... To moja lewa ręka“.

Guéménć, słysząc oddalający się tupot bucików, myślał z wielkim smutkiem:

„Oto ideał Remi!“...

Zadzwonił. Gdy się drzwi otworzyły, apartament wydał mu się, jak ciemny grobowiec. Pokój pani Guéménć znajdował się w głębi korytarza. Wszedł na palcach.

W dwóch srebrnych kandelabrach paliły się świece przy łóżku, oświecając zmarłą, której cienkie, woskowe palce obejmowały krucyfiks. Zapach karbolu unosił się w powietrzu.

W głowach łóżka w fotelu, odwrócony plecami do drzwi, siedział nieruchomo mężczyzna. Nie poruszył się, lecz Fernand poznał stryja i poraz pierwszy zdał sobie sprawę, co cierpiał ten nieszczęśliwy.

Wyprostowany, jakby nieczuły, z rękoma opartemi o poręcze, oczyma suchemi patrzał na umarłą żonę. Musiał tam siedzieć od dawna, zapewne od wczoraj, od chwili jej zgonu. Nie odrywał oczu od zmarłej. Tylko oddech jego zdawał się szybszym, niż zazwyczaj.

Młody człowiek delikatnie położył mu rękę na ramieniu. Eugenjusz Guéménć drgnął; poznał bratanka, lecz nie rzekł słowa, zrobił jakiś ruch serdeczny głowa i pogrążył się znów w swej kontemplacji.

— Biedny stryju! Biedny stryju! — wyszeptał Ferdynand.

I on był zahypnotyzowany umarłą. Długie, siwiejące włosy, niezręcznie prawdopodobnie przez męża zaplecione, spadały z jednej strony na zimne, jak marmur, gładkie skronie. W uśpionej twarzy, jakby czarnym ołówkiem zakreślone, szeroką brutalną linją rysowały się jej rysy. Piękność twarzy zanikała powoli, jak portret, który się zaciera.

„Co się z tobą stało, piękna stryjenko?“ myślał z przerażeniem. „Gdzieś poszła?... Cóż ma wspólnego twa czarująca osoba z tym smutnym kształtem, który mam przed sobą?“

Nie mógł oczu oderwać od tej sztywnej postaci, którą tyle gorących uczuć ożywiało, tyle wesołości, rozumu, która tyle pieszczot, pocałunków zabierze z sobą do trumny wraz z tajemnicą swego niewysłowionego uroku, jakim przez lat dwanaście upajała swego męża.

Lecz Fernand podobnie jak wszyscy ci, których żałoba nie dotknęła osobiście, przyjął

tę śmierć i widział tylko śmiertelne szczątki na łożu.

Biedny mąż natomiast uparcie widział w niej ukochaną towarzyszkę i siedział, aby poić się jej widokiem do końca.

Jakby zaczarowany, gorejący uczuciem, pochłaniał wzrokiem to, co wkrótce odjęte mu będzie na zawsze. Był to człowiek przystojny, subtelny, siwe włosy, zaczesane w górę, odkrywały szerokie czoło jego. Zdawało się, że wszechwładna miłość nadała mu wyraz łagodnej powagi i zadumy, która jest oznaką silnego życia wewnętrznego.

Milczenie jego zaniepokoiło bratanka. Łzy byłyby mniejsze zrobiły wrażenie, niż ta apatja. To też Fernand chciał je wywołać:

— Cierpisz, — rzekł z nieśmiałą delikatnością młodzieńca, który nie wie, jakiemi słowy wyrazić to, co najmniej doświadczona z kobiet powiedziałaby z łatwością — ból twój nie ma nazwy i płakać nie możesz....

— Zdaje mi się, że nie ucierpię, wyszeptał wdowiec, nie odrywając oczu od ukochanej twarzy; dopóki ją tu mam przed sobą nie czuję, abym cierpiał. Nie umiem pomyśleć, co się stanie.... potem.

— Biedna, biedna stryjenko! Dlaczego odeszłaś! — zawołał nagle młody człowiek, którego podniecone nerwy nie mogły opanować wzruszenia. I nagle zadrżał, zdając sobie wyraźnie sprawę ze śmierci, odsunął się od łóżka z rękoma przy skroniach, zbity, skulony, wstrząsany spazmem, podczas gdy nieszczęśliwy małżonek, nie odczuwający jeszcze całej grozy śmierci, mówił dalej z dumą zakochanego:

— Ona nietylko była piękną, ona była światłem, słońcem mojem. Skąd skromna kobieta bie-

rze tyle promieni życia dla tych, którzy się do niej zbliżą? Byłaż ona tylko kobietą? Ileż kobiet widziałem, które miały tylko pozór mej ukochanej! Nigdy żadna nie będzie godna porównania z nią!

Nie płakał, lecz miłosiernie wpatrywał się w umarłą, ale ta, którą kiedyś taką radością przejmowały czułe słowa męża, leżała głucha i nieczuła.

A on mówił dalej:

— Cierpienie torturowało ją, a ja, który znałem najgłębsze tajniki jej duszy, nie wiedziałem nigdy, że cierpi. Tak łagodna i mężna do końca, do ostatniej chwili uśmiechałaś się do mnie....

Spokojny i pogodny do niej tylko mówił.

— Tak, tak! dopóki ją tu widzę, nie czuję mojego nieszczęścia...

Potok gorących słów wyraża stan mijającego przesilenia, gdy ból znieczula sam siebie przez siłę napięcia. Wkrótce zamilkł. Przerażająca cisza zaległa mroczny pokój; świece dopalały się zwolna; płomienie ich wydłużały się w krótkich drganiach, w powietrzu brzęczała niewidzialna mucha. Obaj mężczyźni cierpieli, podczas gdy nieubłagana zmarła odmawiała łączności z otaczającem życiem. Słychać było delikatne uderzenie zegara, który sekunda po sekundzie, nieodwołalnie mierzył godziny ponurej teraźniejszości.

Nagle Fernand uczuł niestosowność przedłużania swej obecności w tem ostatniem tête à tête dwojga małżonków. Jeśli niewłaściwie i niedelikatnie jest mieszać się w świętą zażyłość pierwszego dnia po ślubie, w którym tyle obiecanych radości czeka nowożeńców, taką samą niedelikatnością jest skracać krótkie chwile ostatniego pożegnania.

Cicho odsunął się od łóżka i wyszedł bez szelestu. W sieni zatrzymała go stara sługa, która go znała jeszcze dzieckiem.

— Panie Fernandzie!... Co za nieszczęście! Co za nieszczęście!

Łzy płynęły po jej zmarszczonej twarzy; w ręku trzymała całą serję buteleczek aptecznych.

— Boję się o biednego pana! Wyrzucam na śmieci wszystkie lekarstwa, bo może to trucizna. Napewno, gdy panią zabiorą, on zwarjuje! Święta Panienko! On gotów się zabić... panie Fernandzie! Bóg powinien był mieć litość i zabrać ich oboje, zamiast rozdzielać istoty, tak się kochające. Takich małżeństw nie widuje się co dnia. Służąca wie dużo rzeczy... Nazajutrz po ślubie — to ja przyniosłam państwu śniadanie do łóżka... Jacy oni byli piękni oboje! Nie śmiałam patrzeć na moją młodą panią. Stawiam tacę na stole, chcę wyjść, lecz ona mnie woła, abym odsunęła firankę i zaczyna zemną rozmawiać.

Mówię panu, była różowa i spokojna, jak panienka, a gdy patrzała na pana, taką słodycz miała w oczach, uśmiechała się i była jeszcze cudniejszą....

Święta panienko! dziesięć lat później, gdy dzwoniono na mnie, abym ciepłą wodę przyniosła albo paliła w piecu, wszystko było tak samo,tylko, że pani włosy zaczęły siwieć i że pan nie żenował się już przedemną całować jej pięknych ramion. Byli zawsze, jak nowożeńcy... Potem, to nieszczęście z chorobą; rozdzieliły się łóżka, ale to nie rozerwało ich miłości, choć tak ludzie mówią. Nieraz zastawałam go na kolanach, słyszysz pan, na kolanach przed nią, jak przed Najświętszą Panienką; od rana do wieczora nie spuszczał z niej oczu. I

powiedzieć, że to koniec, koniec... że już jej więcej widzieć nie będzie!

Nowy potok łez zalał jej twarz. Ocierając je, mówiła z przerwami:

— I co ja zrobię biedna, kobieta, gdy pan będzie się chciał zabić?... Czyż mam taki rozum, żeby go pocieszyć?... mogłabym mówić mu o Bogu, ale... ale nie śmiem.

— Niech się Marjanna uspokoi, — rzekł Guéménné, — pan jest mężny, więcej ma sił, niż Marjanna sądzi.

W tej chwili oboje zadrżeli. Z pokoju wydobywały się ochrypłe jęki, przeciągłe, przejmujące skargi i zakończyły się rozdzierającym krzykiem.

— Idź pan, idź pan tam! — szeptała przerażona. Może to nowe nieszczęście....

I bez ceremonji popchnęła go. Zawahał się. A jednak nie można zostawić bez pomocy nieszczęśliwego.... jego skarga mogła być wołaniem o pomoc. Lecz poszanowanie, święta trwoga broniły progu śmiertelnej komnaty. Czyż człowiek, który tam się zamknął ze swą zmarłą żoną, nie ma prawa wyć z bólu, sam, bez obawy, że jest śledzony i podsłuchany?

— Zabił się — szepnęła stara sługa — krzyczał, jak na śmierć....

Na to słowo Fernand zadrżał; to przełamało jego wahanie. Postąpił kilka kroków, dotknął klamki od drzwi, potem zatrzymał się i słuchał. W pokoju cisza była zupełna. Zapukał, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

— Mój pan! mój pan! — jęczała stara służąca.

Odważnie otworzyła drzwi.

Na wspaniałem łożu, na wygładzonem prześcieradle leżała zmarła, przesunięta na brzeg, sucha i lekka w swej sztywnej postawie, z pal-

cami, jakby rzeźbionemi, które się nie rozerwały, zwieszała woskową głowę z siwemi włosami. A on, który chciał ją po raz ostatni uściskać, padł, łkając u łoża, rękoma obejmując jej lodowate, nieruchome ramię... Zrozumiał nareszcie śmierć!

Fernand drżący zamknął drzwi. Służąca zbierała buteleczki, które wypadły jej z rąk. Uciekł, bez słowa.

—

Na bulwarach wesoły, hałaśliwy tłum kłębił się wkoło niego, zdala w świeżej zieleni mknęły wysokie omnibusy, przed kawiarniami i restauracjami damy i panowie siedzieli przy stołach, wszyscy zaaferowani zbliżającym się obiadem.

Myślał o Reni Herlinge, triumfującej siłą i zdrowiem, o jej kształtnych ramionach, jej spokojnych, wesołych oczach, mowie harmonijnej i niepokojącej. A może pragnie teraz, aby wrócił... a to, że śmierć może nas pewnego dnia zabrać... czyż dla tego mamy się wyrzec życia i tego dobrego, co nam ono daje?

Bo Renia mogłaby być jego narzeczoną jutro, dziś wieczór, tej samej godziny, jeśli cofnie twardy warunek, który jej postawił. Otoczyłby ramieniem wdzięczną, szlachetną, drgającą życiem postać uroczej dziewczyny.

„Krzyczał, jak na śmierć", powiedziała o swym panu stara sługa. Tak, umiera się z bolu i miłości!

Czyż od miesiąca nie był on poprostu nieszczęsnym automatem, funkcjonującym tylko mechanicznie. Gdyby to miało trwać dalej, życie niewarte byłoby tyle trudu.

Kiedy stanął na moście, ujrzał zdala wyspę Saint-Louis, świeżą i malowniczą, podobną do

długiej nawy pełnej zieleni, a na jej końcu wąską fasadę swego domu, wychylającą się z poza drzew. Białe i szare gołębie, których gniazda ukryte drzemały w koronach drzew, szybowały skośnymi wzlotami po nad wodą i przelatywały pod arkadami mostu. Parowiec „mouche" długi, szybki i lekki sunął po zielonej wodzie a katedra Notre-Dame, wspaniała świeżością swych skwerów, oblana tropikalnym żarem sierpniowego słońca, wznosiła aż pod sam błękit nieba dumną absydę, podobną do wysmukłej fontanny. Jej łuki wytryskiwały z pomiędzy wiązadeł i spadały rozszerzone, jak gwałtowne rzuty wody, przemienionej ongiś jakimś cudem w kamień.

ROZDZIAŁ III.

Panna Herlinge postanowiła pójść na pogrzeb pani Guéménć, aby Fernandowi dać dowód swej niezmiennej przyjaźni. Wydawało się jej, że osoba tej miary, co ona, powinna stawiać przyjaźń ponad banalne sprawy miłosne i że nie należy zrywać z kolegą dlatego, że mu odmówiła swej ręki. W gruncie rzeczy był jej dziwnie sympatyczny i częściej nawet o nim myślała, niż dawniej.

Jednakże ta nawiązana idylla mało jej przyniosła szczęścia; byłaby wolała jej nie znać. Po raz pierwszy myśl jej zmącił niepokój, że nierozważnie rozporządziła swym losem. Żądanie Guéménć'go w istocie pochlebiało jej, widziała w niem miłość wyłącznie. Żałowała tylko, że nie ma sama tak silnego uczucia, dla którego zdobyłaby się na wymaganą ofiarę.

Czasami wyobrażała sobie, że zdobędzie się na nią; będzie wprawdzie umniejszoną, lecz wolną i spokojną. Rozumiała doskonale, że rezygnując, da więcej szczęścia mężowi. Matka jej, pani Herlinge, kobieta rozumna, niezwykle miłego charakteru, nie odgrywała przez całe życie innej roli wobec męża. Światowa, wykształcona, dnie spędzała na przygotowaniach do wielkich przyjęć, w czasie których on występował jako sławny lekarz — a ona milczała. Urodzona w quartier Saint-Germain, aby przypodobać się mężowi zaniedbała powoli stosunki

ze swą rodziną, tak, że Renia w salonach na avenue Victor Hugo, widywała tylko defiladę najwybitniejszych kolegów ojca. Pani Herlinge lubiła teatr, nie uczęszczała jednak do niego, bo nudził doktora. Zawsze uśmiechnięta, uprzejma, podczas gdy mąż jej bywał często chmurny i opryskliwy. Mówił dużo — ona mało. Bladła przy nim, jak płomień małej lampki blednie przy silnym ogniu. Renia, która w tem ciągłem usuwaniu się w cień kobiety, widziała tylko jej upokorzenie, uważała się wyższą od matki i nie pragnęła naśladować jej abnegacji.

Od wczesnej młodości świadoma była swej inteligencji. Piętnastoletnią panienkę zajmowały tak żywo rozmowy naukowe i filozoficzne, prowadzone przy stole rodziców, że często zapominała spożyć podanych potraw. Tylko szacunek i urok, jaki wywierali na nią goście ojca, wzbraniał jej zabierać głos i wtrącać się do rozmowy. Siedziała na swem miejscu układna i cicha, lecz w głębi duszy czuła się mocno dotknięta tem, że ci panowie nie zwracali uwagi na jej obecność. Niewiele było potrzeba, aby córka, tak jak matka, utonęła w potężnej umysłowości wielkiego człowieka. Lecz silna indywidualność Reni oparła się temu. Młody jej umysł cierpiał nad tem nieuznaniem, a urażona miłość własna zrodziła — powołanie. Marzeniem jej było stać się kobietą inną, niż pani Herlinge. Była już nią, wiedziała o tem, ale pragnęła tytułu i dyplomu, aby i innych o tem przekonać. Gdy wyjawiła życzenie składania matury, ojciec był zachwycony.

Od tej chwili w kółku rodzinnem zaczęła zwracać na siebie więcej uwagi i budzić zaciekawienie, jakie wywołują jeszcze kobiety uczone.

Otrzymawszy pierwszy dyplom, wyjawiła zamiłowanie do medycyny. Tymczasem jednak rodzice zaoponowali i to ojciec więcej, niż matka. Jakby aureola jego uczoności straciła na tem, że ta ośmnastoletnia panienka śmiała do niej pretendować. Wydawało mu się to śmieszne. Jak większa część mężczyzn szczęśliwych w małżeństwie, uznawał kobietę tylko taką, jak jego żona. Bo ta cicha, subtelna małżonka była typem najbardziej oddalonym od typu kobiety-lekarza i dlatego doktór nie uznawał doktorek z wyjątkiem Rosjanek — jak mawiał. Renia przez ośmnaście miesięcy toczyła zaciętą walkę o swą sprawę, w wolnych chwilach studjując książki patologiczne, wykradane tajemnie z bibljoteki ojca. W ten sposób przyswajała sobie ogólne pojęcia, ale niejasne i niekompletne, które nie zaspakajając jej ciekawości, tembardziej ją podniecały. Szpital miał dla niej nieprzeparty urok. Gdy ojciec wracał z Hôtel-Dieu, a ręce i ubranie miał przepojone jodoformem, Renia z zamkniętemi oczyma wdychiwała ten zapach. Kazała sobie objaśniać całą obsługę w szpitalu i doszła do tego, że nie widząc go nigdy, znała urządzenie sali Herlinge'a, siostrę miłosierdzia, asystenta, eksternistów, numery chorych, przyjazdy, wyjazdy i zgony. Przechodząc ulicą obok szpitala, drżała z pragnienia wejścia do niego, nawet widok Czerwonego Krzyża, godła sanitarjuszek, przypadkiem dostrzeżony, robił na nią wrażenie.

Rodzice przedkładali:

— Gdybyś potrzebowała zarabiać na życie... I nie ustępowali; wobec tego owoc zakazany stał się tembardziej upragniony.

Życie bogatej jedynaczki płynęło monotonnie. Jego czczość doprowadzała ją do de-

speracji. Wycieczki do modystek, szwaczek, wielkich magazynów były nie do zniesienia. Pani Herlinge przyjmowała we wtorki. Renia obowiązana była tego dnia podawać z wdzięcznym uśmiechem herbatę i ciastka paniom, których rozmowy lekceważyła. Byłaby wolała być biedną studentką, niż elegancką panną, niewolnicą salonu. Towarzystwo kobiet nudziło ją. Lubiła natomiast przyjęcia męskie, urządzane przez ojca — zapach cygar, likiery a przedewszystkiem naukowe rozmowy, w których pragnęła brać udział. Nie wciągano jej w dysputy, a ta uprzejmość uczonych, którzy w istocie lekceważyli jej inteligencję, doprowadzała ją do rozpaczy.

Zaczęła mizernieć. Ojciec zapisał jej wina wzmacniające i przywołano doktora Artout. Przyznała mu się, że pragnie zostać lekarzem. Artout namyślał się przez chwilę, potem oświadczył:

— Niech zda P. C. N. Potem zobaczymy.

Zdała. Trudność tych studjów nie zrażała jej. Wytrwale ślęczała nad zeszytami nieraz z migreną, ale przezwyciężała ją i szła do laboratorjum. Odtąd nie bywała na przyjęciach wtorkowych pani Herlinge; wymawiała się pracą. Za to na obiadach lekarskich, pomimo że nie zabierała głosu, zachowując takt i miarę młodej panienki, czuła pewną solidarność z tymi panami i wspólny teren pracy. Oni byli starsi, ona młodym, nieznanym kolegą, którego gwiazda dopiero wzejdzie. Może ta gwiazda będzie sławną... wtedy w Paryżu będą mówić „pani Herlinge“ jak mówią „Artout“ lub „Boussard“. Będzie się „specjalizować“. I te sławy lekarskie, które dziś patrzą na nią, jak na miłą, ładną panienkę, będą z nią dyskutować i przyznają jej intelektowi prawo istnienia.

Praktykę przeszła w szpitalu Hôtel-Dieu, eksternat w Charité, gdzie poznał ją Gueméné. Po złożeniu świetnych egzaminów przeszła do szpitala „Enfants Malades", dokąd był również przydzielony i Gueméné. Dwa lata później równocześnie opuszczali szpital; on osiedlił sie jako lekarz w dzielnicy Saint Louis, ona pomagała ojcu w Hôtel-Dieu.

Mimo takiego powodzenia w studjach i znaczenia, jakie zdobyła w kole uczonych na avenue Victor Hugo, pozostała skromną i dobrą. Była radością rodziców, stała się ich dumą. Doktor Herlinge, ułagodzony przykładem córki, przyznawał teraz kobietom prawo nauki i zaczął się sam liczyć z panią Lancelée jako lekarzem Prezydentury a nawet z Jeanne Adeline, dzielącą poświęcenie między klientelę i swoją gromadkę dzieci. Renia uwielbiała ojca, podziwiała go, ale czulej kochała matkę. Otaczała ją nietylko czcią, ale i pobłażliwą protekcją. Wobec tych podwójnych znakomitości męża i córki pani Herlinge usuwała się na coraz dalszy plan. Odtąd odbywała sama wizyty, załatwiała sprawunki, zajmowała się toaletami Reni, kierowała służbą, dbała, by nikomu na niczem nie zbywało. Przyjęcia odbywały się nadal, obiady profesora były słynne w świecie lekarskim. Pani Herlinge pilnowała wszystkiego sama, mając tylko troje służby: szczęście jej było spokojne, zrównoważone, a wynikało z dobrobytu. Renia nie doceniała całej moralnej wartości matki i mówiła o niej zwykle „biedna mama". Kiedy jednakże Gueméné wyznaniem swej miłości zburzył spokój jej duszy, tylko matce przyznała się do tego romansu, zamilczając go przed ojcem.

Pani Herlinge pochwaliła odmowę córki, lecz z przyczyn zupełnie odmiennych.

W oczach jej zbyt wielka była różnica między sławnym Herlinge a nieznanym Guéménć, zwykłym doktorem dzielnicowym, aby tenże mógł pretendować o rękę Reni. Zresztą sławna i młoda jeszcze pani Lancelée odrzuciła wszystkie partje, aby się poświęcić nauce. Pani Herlinge wydało się zupełnie logicznem, że Renia naśladowała wielką doktorkę.

Wszystko więc sprzyjało temu, aby przywrócić spokój w duszy młodej dziewczyny; nietylko aprobata matki, ale i okoliczności w samym jej zawodzie złożyły się na to. Do sali Reni sprowadzono cztery pacjentki, które ją szczególnie zajmowały jako studjum chorób serca. W pierwszym wypadku podwójne nadwyrężenie aorty i „mitrale", których diagnozę Renia postawiła z samego wyglądu chorej — w drugim i trzecim endocarditis a w czwartym zaburzenia sercowe u pewnej staruszki tak skomplikowane, że sam Herlinge był zaskoczony, co dowodzi, jak niedokładne i słabe są wiadomości lekarskie w chorobach organów serca.

Pierwszy i ostatni wypadek szczególnie intrygował Renię. Rano po odbytej wizycie w sali, wracała do łóżka chorej, przykładała stetoskop do klatki piersiowej staruszki i długie minuty z uchem przy aparacie badała poruszenia serca. Przy głównym stole eksterniści robili analizy i żartowali między sobą. Siostra strofowała sanitarjuszkę. Nowiciuszka wsunęła stół na kółkach z talerzami, czarkami z rosołem i kotletami z koniny... a Renia ciągle wsłuchiwała się w nieregularne drgnienia tego chorego serca, którego zniszczone i nieszczelne arterje hamowały normalny obieg krwi. Po obiedzie podczas rewizji wracała do łóżka staruszki i znowu zaciekała się w badanie chorej. Biedna kobieta wzdychała zmęczona i niezado-

wolona. Wreszcie Renia prostowała się, okrywała chorą i oddalała się — ni jedna ni druga nie wymówiły do siebie ani słowa.

Lecz zaledwie internistka znalazła się w swej pracowni, wspomnienie Fernanda Guéméné opanowywało ją nanowo. Widziała go drżącego z miłości, snującego słodkie, niepokojące obrazy. Widziała go na ulicy aux Fleurs, próbującego zdobyć ją ostatniem ustępstwem. Rozmyślała nad programem życia, które jej proponował: nie zaprzestanie studjów, nie zarzuci swoich projektów, nie przerwie swej karjery, lecz pójdzie dalej przy boku zacnego człowieka, ofiaruje mu swą miłość, będzie kochana i mimo to pozostanie kobietą nauki...

Zrana podczas wizyty, Herlinge postawił ostatecznie diagnozę: „miocardite, bez naruszenia klap sercowych". Renia triumfowała: dnia poprzedniego doszła do wyników, odpowiadających tej diagnozie i powiedziała to ojcu. Dwudziestu pięciu do trzydziestu lekarzy asystowało przy wykładzie mistrza, między nimi blada, w aureoli granatowo czarnych włosów, z ciemnemi, długiemi rzęsami, w czarnej, żałobnej, doskonale skrojonej sukni pani doktor Lancelée, która prosiła o pozwolenie auskultowania chorej. Renia podała jej stetoskop. Lekarze w białych bluzach otaczali łóżko, do którego cisnęli się młodzi asystenci. Siostrę sanitarjuszkę odsunięto do sąsiedniego łóżka, a dr. Herlinge z lewą ręką za paskiem białego fartucha, w czarnym berecie, zsuniętym w tył na bujnej, siwiejącej czuprynie, opisywał w krótkich zdaniach anatomiczne zdeformowanie osłabionego serca.

W uroczystej ciszy, na sali, gdzie wibrowały tylko słowa profesora, rozległ się nagle odgłos bucików. Głowy zwróciły się ku

drzwiom i ujrzano przybywającą chwiejnym i leniwym krokiem, kończącą zapinać bluskę, zawsze spóźniającą się studentkę Dinę Skaroff. Herlinge zamilkł, wlepił w nią wzrok ostry i surowy. Nie lubił, gdy eksterniści nie asystowali jego lekcjom. Dina zarumieniła się.

Profesor rozpoczął znów swe objaśnienia, potem nagle:

— Panno Skaroff, powiedz mi pani, jakie szmery pani tu słyszy?

Zapytana wobec wszystkich Dina zarumieniła się jeszcze bardziej. Pani Dr. Lancelée podała jej stetoskop. Dziewczyna posłuchała chwilę potem, drżąc więcej jeszcze od chorej, nieśmiało zaryzykowała:

— Słyszę szmer poza sercem.

— W samo sedno trafione! — zawołał Herlinge wybuchając śmiechem. Szmer poza sercem! Radzę pani lepiej to zbadać.

Chciał ją przyłapać, żeby ukarać za spóźnienie. Odsunęła się od łóżka zażenowana, pobladła, z oczyma mocniej jeszcze pałającemi niż zazwyczaj: drobna, wzruszająca w swej nieśmiałości, obca i odosobniona między wszystkimi, z sercem wezbranem, gotowa była wybuchnąć płaczem, jak mała dziewczynka.

— Kochany profesorze — odezwał się pewien młody lekarz rezolutnie. Ja również zauważyłem wczoraj zupełnie wyraźnie szmer poza sercowy.

Był to wysoki blondyn z delikatnym wąsikiem, z oczami drgającymi z poza binokli. Dziwiono się jego odwadze, że zaoponował wielkiemu Herlinge'owi, czego nikt nie śmiałby uczynić. Nerwowy i zwinny w swej małej figurce Herlinge wyprostował się:

— Do kata! przyjacielu, chciałbym wiedzieć, czy to ten galop nazywacie pozasercowym?

Wywiązała się ostra, sucha dyskusja między uczonym a młodym lekarzem, który odważnie ją podjął. Dina Skaroff patrzała na niego przyjaźnie, czując, że ją broni. Znała go trochę, widując na wykładach Herlinge'a, niedawno otworzył na ulicy St. Severin klinikę bezpłatną dla chorych sercowo, nazywał się Pautel; więcej o nim nie wiedziała. Obecnie nachylony przy profesorze przesuwał długą, suchą rękę po obrzmiałem ciele starej kobiety, która z przechyloną w tył głową na poduszce, z ustami otwartemi, biernie znosiła ten egzamin.

Wizyta przeciągała się; piękna pani Lancelée słuchała chciwie dyskusji, która mężczyzn przestawała interesować. Renia Herlinge niecierpliwiła się. Nie spuszczała z oczu zegara, którego czarna tarcza odbijała przy drzwiach na białym murze. Myśl o pogrzebie, na którym postanowiła być, nie opuszczała jej. „Godzina mija — mówiła do siebie, patrząc na wskazówki — pogrzeb o dziesiątej w Saint Severin. Ojciec nigdy jeszcze nie przeciągał tak wizyty....“

Nerwowa, zniecierpliwiona targała tasiemkę fartucha, a oczy bez przerwy podnosiły się w stronę zegara. Gdy wskazówka dosięgła dziesiątej i pięć minut, nie mogąc dłużej wytrzymać, położyła rękę na ramieniu panny Skaroff.

— Dino, — rzekła cicho, — zajmij moje miejsce, dobrze? Nie mogę tu dłużej pozostać. Dziś rano jest pogrzeb ciotki Fernanda Guéméné. Muszę być na nim. Jeśli mój ojciec zapyta o mnie, powiedz mu dla czego wychodzę.

— Dobrze — odparła Dina zrezygnowana. Ale, wiesz, twój ojciec jest bardzo twardy...

Cicho, pospiesznie w obawie, aby nie być przywołaną, Renia przesunęła się jak cień wzdłuż szeregu łóżek do drzwi.

W ciasnej garderobie zdjęła biały fartuch, pozostając w czarnej sukni, włożyła kapelusz i wyszła.

Zegar w sali opóźnił się. Renia przybyła do kościoła, gdy nabożeństwo miało się ku końcowi. W głębi ujrzała błyszczący katafalk; ksiądz w czarnym ornacie, lamowanym srebrem, obchodził trumnę, kropił, udzielając ostatnich absolucji. Liturgiczne śpiewy zamilkły — cisza zalegała kościół. Po prawej stronie zbici w gromadkę stali mężczyźni poważni i uroczyści; od lśniących gładkich łysin starszych lekarzy odbijały się promienie jarzących świec. Po lewej stronie, mniej liczne klęczały panie. Renia odrazu dostrzegła wielką głowę pani Adeline w jasnych lokach, zwróconą ku sobie. Lekarka wskazywała jej wolne miejsce obok siebie. Dzielna kobieta przed pogrzebem musiała odwiedzić swych wszystkich chorych, to też przed chwilą przybyła pieszo cała zadyszana. Ocierając pot z czoła, odezwała się ze zwykłą swą rubasznością:

— Uf! moja droga, co za łaźnia!...

Renia, która z pobożności, wpajanej jej przez matkę, zachowała zaledwie niejasną choć pełną czci wiarę w Boga, uklękła, lecz nie umiała się modlić. Mało myślała o zmarłej; wzrokiem szukała Fernanda po drugiej stronie katafalku, ale napróżno.

W tej chwili orszak żałobny począł wychodzić z kościoła. Dopiero przy drzwiach Renia nagle ujrzała Fernanda obok wdowca. Popatrzyli na siebie z pewną trwogą, poczem

wyciągnęła rękę, którą on uścisnął obojętnie i ceremonialnie. Jeszcze pod rzeźbionym portykiem, w wąskiej ulicy des Prêtres Saint-Séverin, Renia czuła lekkie drżenie we wszystkich członkach.

— Chodź, chodź, moja droga, tu jest pusty powóz.

I pani Adelina usłużna prawie przemocą wepchnęła ją w jedną z tych żałobnych karoc, które szeregiem wolno przesuwały się przed bramą. Zaledwie wsiadły, gdy wychudła, ponura twarz w obramowaniu miękkiej, zwichrzonej brody ukazała się w drzwiczkach.

— Czy jest dla mnie miejsce? I równocześnie do powozu wsunął się mężczyzna, napełniając powietrze zapachem absyntu. Pani Adeline zawołała bez ceremonji:

— Patrzcie go! ten warjat Morner! już dawno go niewidziano!... Znasz pan Gueméné'ów?

Nowoprzybyły o błędnym, przygasłym wzroku i twarzy zniszczonej mruknął z miną obojętną:

— Ja? nie; ale przechodząc, zobaczyłem ten konwój... zamiast brać dorożkę do Menilmontant, przejadę się powozem — ot, i siedzę!... To mi przysporzy pół franka w kieszeni...

Renia Herlinge znała Mornera, gdyż rodzice jej zapraszali go czasem w imię dawnej rodzinnej przyjaźni, mimo to pani Adeline przedstawiła go.

— Doktor Morner... panna Herlinge, córka profesora, asystentka w szpitalu Hôtel-Dieu.

W tej chwili jakiś znajomy Mornera, spostrzegłszy przyjaciela w powozie, wdrapał się na stopień i zajął wolne miejsce obok niego, kłaniając się paniom z ostentacyjną ceremonją. Był to dość znany w świecie lekarskim doktor,

który pod pseudonimem „Gilbertus“ pisał do gazet paryskich pseudo-naukowe artykuły. Piękny brunet, o cerze matowej, z długą czarną brodą, miną głębokiej zadumy. Wyrzekł się przykrości przyjmowania chorych i pod pozorem popularyzowania nauki medycyny robił w pismach potężną reklamę aptecznym wyrobom.

— I cóż, doktorze? — zawołała wesoło pani Jeanne Adeline, która wszędzie znajdowała przyjaciół, i której sans-gêne wszędzie wprowadzało swobodny nastrój — jakże prosperują *pigułki na wątrobę?*

Wybuchnęła złośliwym śmiechem, trzęsąc się w powozie, który ruszył powoli.

Owe pigułki na wątrobę, o których mówiła, były tematem trzech artykułów Gilbertusa. Podawał w nich różne sposoby leczenia wątroby, kończąc dyskretną radą, zalecającą pigułki profesora Philindora.

Gilbertus zmieszał się tą aluzją. Zachęcony powodzeniem brał rzecz na serjo. Publiczność czytała jego artykuły, jak wyrocznię, zachwycona, że tak łatwo zaznajomi się z patologją nerek, wątroby, płuc i serca podług tego, czy Gilbertus zalecał środki moczopędne, przeczyszczające, piersiowe czy podniecające. Dzięki tym artykułom rozprawiano swobodnie o sklerozie, rozedmie, naroślach, degeneracji i egzemie... Pisał bardzo starannie, stylem eleganckim i przystępnym dla wszystkich.

— Któż za naszych czasów nie choruje na wątrobę? — mówił poważnie, gładząc palcami piękną brodę. Nigdy nie dość przestrzegania higieny; nie przestaniemy tego powtarzać publiczności.

Morner wzruszył ramionami i z niezadowoloną miną patrzał na Sekwanę, którą właśnie przejeżdżali. Karawan, strojny pięciu pióropu-

szami, toczył się po prawym brzegu rzeki. Pochód kierował się w stronę cmentarza Père Lachaise, gdzie zmarła, jako urodzona paryżanka, miała być pochowana w grobie rodzinnym. Zniecierpliwiony Morner wyciągnął zegarek.

— Wloką się jak żółwie... Ostatecznie mam czas!...

— Pan praktykuje w Menilmontant? — zapytała zaciekawiona doktorka.

— Tak, wynająłem dwa pokoje przy Père Lachaise — gabinet i salon. Przyjmuję codziennie od dwunastej do trzeciej alkoholików... O, to nie przez złośliwość, oni wszyscy piją... A potem, trzymam się zdala od burżujów, którzy żądają zaraz metryki, przedłożenia dowodu małżeństwa i co najmniej trojga dzieci, aby cię uznać godnym szacunku. Nie, tamci nie robią takich trudności. Ale co za kariera! pół franka za konsultacje! Pozatem są to brudni robotnicy i kobiety, defilujące przez mój gabinet, żądające odemnie ze świętą naiwnością uzdrowienia ich chorób! Jak gdyby medycyna egzystowała!...

Znowu wzruszył ramionami. Teresa Herlinge, gorąca wyznawczyni swego zawodu, trawiona namiętnym zapałem wiedzy, oburzała się w duszy.

Odczuwała też niesmak w tem dziwnem otoczeniu, pomiędzy ordynarną Jeanne Adeline, która mimo dyplomu doktora pozostała nadal sage-femm'ą, sprzedającą kawałkami swą wiedzę w wizytach po dwa franki i temi dwoma wysortowanymi lekarzami, z których jeden puścił swój tytuł na handel w reklamach, drugi, wyuzdany hulaka, zmuszony tylko głodem do praktykowania, nienawidził i nie uznawał medycyny.

— Udała mi się sztuka — mówił ten ostatni. Trzeba żyć, a przecież z tych zdobytych fuksem 2 fr. nie wyżywię się. Wierzcie mi, to święta walka... gdy się dostanie pacjenta, trzeba z niego wycisnąć co się da! Otóż... mam płyty.

— Płyty? — zapytała arystokratyczna Renia z lekkim odcieniem wzgardy.

— Tak, płyty elektryczne, znasz je pani — mają wzięcie w Menilmontant. Posługuję się niemi na akord. Wszystkim zdegenerowanym alkoholikom, którzy bez wyjątku cierpią na sklerozę, lub rozszerzenie żołądka, mówię: „chcesz być zdrów w rok albo 6 miesięcy albo nawet w trzy. W trzy miesiące trochę ciężko, bo to wizyty codzienne, po 3 fr. posiedzenie; ale zawsze znajdą się tacy, którzy na to pójdą.

Bardzo poważny, z pogardą podnosząc głowę, Gilbertus oświadczył:

— To jest wstrętne, mój drogi!

Morner gorzko się roześmiał, nerwowy grymas skrzywił jego pomarszczoną twarz.

— A twoje pigułki? twoje eliksyry? a kofeina, którą pan Herlinge, ojciec pani, daje swym pacjentom, a cała ta idjotyczna terapja, której zaślepiona publiczność mimo widocznego fiaska medycyny żąda od nas, czyż to nie ta sama blaga? I cóż ja innego robię niż moi koledzy?

Ruchem przytakującym pani Adeline podniosła swe małe, krótkie, pulchne raczki, lecz Gilbertus przerwał:

— O przepraszam, istnieje terapja i terapja. Znam przepisy logiczne, owoc długich inteligentnych badań, i inne, znane w dawnej starożytności, które podlegają zmianom, doskonaleniu ich własności leczniczych.

— Fizjologji nie uznajesz także, doktorze? — pytała Renia, głosem zmienionym z oburzenia.

— O! fizjologja dopiero w zaczątkach, lecz w czem ona posuwa nas naprzód? Czyż umiemy odnowić krew w wypadkach zabójczej anemji? A w zatruciach krwi cóż innego robi lekarz, widząc krew krążącą w organizmie, podobną do trucizny, jeśli nie czeka aż ta krew siłą własnej energji odnowi się? A przy gojącej się ranie czyż możemy stworzyć choćby ćwierć komórki? Jeśli bakcyl jest w skórze, wiemy, że tam zostanie, o ile sam organizm go nie zabije, — doktor nie uwolni go od niego!...

— Ha! — zawołała Jeanne Adeline, uderzona jakąś głęboką myślą — byłoby zbyt łatwo, gdyby można zgnieść jak wesz...

Znużona upałem, wsunęła zwinięta chusteczkę, przepojoną antyseptycznemi solami, pod fałdę swego tłustego podbródka. Wszyscy mówili podniesionym głosem, aby zagłuszyć hałas, trzęsących się szyb w powozie.

— Morner ma rację, zaczęła znowu swym kontraltowym, męskim głosem — im więcej zagłębiamy się w wiedzę lekarską, tem bardziej przekonywamy się, jak niewiele wiemy. A potem, któremu z mistrzów wierzyć? Boussard mówi białe, Artout czarne, obaj zdają się mieć rację a tymczasem chory wymyka się z rąk, jak ta biedna kobieta, którą odprowadzamy na cmentarz... I naprawdę, patrzeć na śmierć takich istot, wiedzieć, że się jest lekarzem i nie móc przedłużyć życia nawet o tydzień! To niewesołe!... Był guz, czuliśmy go pod palcami i staliśmy wokoło łóżka, jej mąż i Artout jak troje głupców, patrzeliśmy jak się choroba wzmagała... Śliczna mi medycyna! Ja tak, jak Morner, nie wierzę w nią. Jedynie prawdziwa wiedza to anatomia... tam nie ma pomyłek. Nos nie jest kolanem.

Zatrzymała się zadowolona, że w swej trywialnej gadaliwości, wylała nagromadzoną gorycz swego serca i wstęt do męczącego zawodu, któremu się poświęciła. A widząc, że Morner z miną zadumanego światowca obserwuje ją, zainteresowany typem tej jowialnej koleżanki, rozpoczęła na nowo:

— I wyobraźcie sobie, Lusia, moja najstarsza córka, 12-letnia dziewczynka, zaczyna marzyć o medycynie! Ale jej to wybiję z głowy. Biedny kociak! Miałabym ją wpędzić w to psie życie, jakie pędzi jej matka? Nie, nie! Umieszczę ją na poczcie jako urzędniczkę, albo w konfekcji... żeby to można znaleść zawód dla kobiety, któryby jej pozwalał pracować w domu! Patrzcie na mnie... Czyż ja mam dom, ognisko, którego każda kobieta tak pragnie, a choćby kącik miły, gdzieby można cicho posiedzieć, gdy przyjdzie ochota? Zawsze na ulicy, je się byle gdzie i byle co, okrada mnie służąca, zaledwie widzę moje dzieci, które wychowują się same... I w tem wszystkiem mąż... myślicie, że łatwo go utrzymać, gdy na dziesięć nocy siedem jestem poza domem, wzywana do połogów, śmiertelnych krupów, czyż ja wiem, do czego jeszcze. Mój mąż jest poczciwy, dzień w dzień poci się nad rejestrami w zarządzie la Pitié ale jednak wolałby dom, któryby nie był restauracją ani hotelem... Tak, moi drodzy, nie ma poezji w ognisku doktorki. Lekarze naturalnie potrzebni, gdyż chorzy ich wzywają i zawsze tak było; ale niech mówią, co chcą, to rzecz mężczyzn.

Renia niewzruszona siedziała w głębi powozu. Na to elegancki Gilbertus zawołał:

— Jak pani może tak mówić wobec panny Herlinge, której wszyscy przepowiadamy taką świetną przyszłość?

— O, co do panny Herlinge to inna sprawa — odrzekła Jeanne Adeline.

Chciała tem zaznaczyć różnicę miedzy niemi dwoma. Wiedziała, że młoda panna traktowała studja jako jeden zbytek więcej. Mogła sobie na to pozwolić, wiedząc, że go porzuci, gdy będzie jej przeszkadzał — gdy tymczasem dla niej wiedza była zarobkiem. Dyplomowana sage-femme, poślubiwszy Adelina zdecydowała się dla powiększenia dobrobytu złożyć doktorat. Odwagą i nadzwyczajną pamięcią dopięła celu. Wśród szalonej pracy, między wycieczkami na piętra w ciemne mieszkania na ulicy Dauphiné i konsultacjami w pokoiku na parterze ulicy Buci, znalazła jeszcze czas, aby wydać na świat czworo dzieci, spełniając jakimś nadzwyczajnym cudem równocześnie zadanie kobiety i mężczyzny.

— Jestem na miejscu — wykrzyknął Morner — umykam.

Powozy jechały wolno ulicą République. Pożegnał się, otworzył drzwiczki, wyskoczył i znikł.

Gilbertus osądził go w dwóch słowach:

— Dobry chłopak, ale lekkoduch.

Sam był nim jeszcze w wyższym stopniu. Szukał zbliżenia się do wielkich kolegów, dlatego wobec córki Herlinge'a okazywał tyle podziwu i grzeczności. Gdy powozy wjechały w bramę Père-Lachaise Renia oświadczyła, że na cmentarzu woli iść pieszo za trumną.

— To moja zasada — rzekła.

Wysiadła uszczęśliwiona, że uwalnia się od towarzystwa tak jej niemiłego.

Przyspieszając kroku, przyłączyła się do grupy osób, składającej się przeważnie z mężczyzn, którzy szli główną aleją. Na czele, obok wdowca, Fernand prowadził pochód żałobny.

Był to jeden z tych poranków sierpniowych, w których czuje się już groźbę jesieni; nieco zapóźnionej mgły pozostało w powietrzu; niektóre drzewa pożółkły. Aleja wznosiła się tarasami aż do kaplicy, której grecki portyk odcinał się na bladobłękitnem niebie. Po lewej i prawej stronie uśpionej ulicy wznosiły się ponure fasady, białe i kolorowe pomniki sławnych zmarłych. Na tle zimnych marmurów i posągów, wiotki krzew kołysał łagodnie swe płaczące gałęzie, o blademych listkach — była to brzoza Musseta... przeżyła poezję całej jednej epoki, i romantyzm i elegie i sławę...

Serce Reni ścisnęło się smutkiem. Rozmowa, którą słyszała i której nie chciała brać pod uwagę, zbudziła w niej pewne wątpliwości i niepokoje. To co powiedziano o bezsilności medycyny było niezbitą prawdą, a jeszcze więcej zaniepokoiła ją pani Adeline szczerością swych skarg... Jakże ona boleśnie wzdychała za spokojnem i cichem ogniskiem matki rodziny i żony!

Wszystko wokoło Reni sprzysięgło się, by wzywać ją do serdecznej, wielkiej i jedynej miłości. Pełna bólu postawa wdowca przykuwała oczy wszystkich, pociągnęła także i jej wzrok, i myśl jej zatrzymała się na nim, gdy krokiem wolnym, jakby pogrążony we śnie, szedł za żałobnym, błyszczącym srebrem zaprzęgiem, który zabierał mu ukochaną towarzyszkę.

Zdala widniał w swej strasznej i prostej architekturze pomnik Umarłych, dzieło Bartholomego. We drzwiach, wiodących w pozagrobową ciemnię, stoi para postaci: już wyzwolem z życia, złączeni w szlachetnym miłosnym uścisku. Oba ciała, pięknie modelowane w gładkim kamieniu, odcinają się silnie na tle ciemności, w którą wkraczają. Zdaleka, bo już z końca

aleji i z za sztachet, widać je wyraźnie, gloryfikujące tym jednym wspaniałym ruchem Miłość i Śmierć.

Renia patrzyła na Fernanda, idącego obok wdowca, i on także wydał jej się wdowcem po tym śnie, który ona wzbraniała się spełnić, opłakującym towarzyszkę, którą ona zostać dla niego nie chciała. Smutek jej stał się dziwnie czuły i słodki.

Pochowano panią Guéménć podług jej ostatniej woli w starym rodzinnym grobowcu, w najdalszej części cmentarza. Był to zakątek pełen cienia i tajemniczości. Gigantyczne cyprysy rosły tu porozrzucane, gęsty, bujny bluszcz rozlewał się wspaniałą zielona falą, niwelując kamienie grobowców, wspinając się po greckich kolumnach, po ruinach grobów, czepiając się w żałobnych, zielonych draperjach omszałych urn. Olbrzymie buki, sadzone za dawnych czasów w tym parku przez O. O. Jezuitów, tworzyły liściasty baldachim, pod którego cieniem panował zielony zmrok. W ciszy słychać było tupot tłumu i ciężkie kroki karawaniarzy, niosących z trudem niewygodny ciężar.

Obecni z tą ciekawością, chciwą bólu ludzkiego tak dziwną a tak ludzką, wlepiali wzrok w nieszczęśliwego wdowca. Spokój i zachowanie jego były godne podziwu: patrzał ciągle w trumnę, tylko w trumnę, a gdy trumna zniknęła, patrzał w straszną przepaść, w którą zapadła jego ukochana. Rozczarował tłum, nie dając mu widoku swych łez. Renia zbliżyła się do grobu. Stała obok Guéménć, lecz on nie widział jej. Naraz odgadł jej obecność i oczy ich skrzyżowały się. Młody człowiek był blady, wychudzony. Czekała na jakieś słowo od niego, instynkt jej mówił, że będzie chciał jej

coś powiedzieć, ale Fernand milczał. Zaledwie ważył się ukradkiem spojrzyć w stronę Reni, której królewski profil odcinał się na tle ciemnej zieleni. Miała wdzięk i szlachetność delikatnej rzeźby, jednak znać było, że wzruszenie przyspieszyło jej oddech, a twarz pod czarnym kapeluszem o lekkich skrzydłach była niewypowiedzianie smutna i niepokojąca.

Jeszcze raz zetknął się z nią Fernand chwilę później, gdy, ściskając jej rękę w monotonnej defiladzie kondolencyjnej, uczuł pierwszy raz uścisk prawdziwego współczucia. Gdy się zbliżył do powozu, aby zająć miejsce obok stryja, ten odsunął go łagodnie.

— Dziękuję ci, mój drogi, zostaw mnie teraz samego.

Powóz ruszył, zostawiając go na miejscu — uczuł się tak opuszczonym, że przez kilka minut stał bez ruchu. Po tem silnem moralnem wstrząśnieniu myśl marszu na świeżem powietrzu skusiła go. Droga do domu przez quartier du Temple nie była daleką, postanowił iść pieszo.

Wszedł w ulicę Rzeczypospolitej, której łagodna pochyłość, nadając jego krokom kołyszące ruchy, koiła ból. Tramwaj okólny sunął z hałasem pod elektrycznym drutem i niebieskie iskry, ginąc na szynach, zajmowały uwagę młodego człowieka. Naraz ujrzał idącą obok siebie Renię. Szła tą samą drogą. Zawahał się. W postawie młodej panny znać było zwolnienie ruchu, widać, że u obojga było to samo niezdecydowanie.

Naraz Fernand ukłonił się, zeszedł z trotuaru i skoczył do tramwaju w biegu.

— — — — — — — — — — — —

Gdy przyszedł do domu biła pierwsza na Notre Dame. Służący oznajmił, że śniadanie podane i trzech pacjentów czeka.

— Dziękuję — rzekł — jadłem w drodze.

I zaraz wszedł do gabinetu. Na stole między fotografjami stała grupa internistów, wśród których rozpoznać było można biała bluskę Reni Herlinge.

— Po co przechowywać to drażniące wspomnienie? — mruknął półgłosem, udając spokój.

Wziął fotografję i darł ją w tysiące kawałków, które nogą odrzucał w kominek. Zapalił zapałkę i wsunął między kawałki. Potem, prostując się, otworzył drzwi poczekalni, aby wprowadzić pierwszą chorą. Była to zreumatyzowana rzeźniczka z ręką suchą, zniekształconą bólami. Chciał zbadać powykręcane i spuchnięte członki, ale palce mu drżały. Napróżno silił się, by opanować nerwy. Gdy zapisywał receptę ręką wypowiedziała mu posłuszeństwo, musiał wytężyć całą wolę, aby dokończyć pisania.

Gdy chora wyszła, rzucił się do ognia i zaczął grzebać w popiele. Co on zrobił! Po co zniszczył tę drogą twarz, która od miesięcy w mistycznym sam na sam rozweselała jego samotność, uśmiechała się do niego figlarnie, jakby inna Renia, litościwsza i dobrowolna, cicha towarzyszka jego pracy. Co to za głupstwo ta jego uroszczona siła! Ile w tem było pychy! spalić tę jedyną pamiątkę!

Zaczął szukać między zczerniałymi przez ogień szczątkami fotografji, zobaczył różek białego fartucha internisty. Zwęglony papier kruszył mu się w palcach, gdy go rozwinął. Naraz ukazała mu się malutka, trochę zżółkła przez płomień twarz Reni, aż po kołnierz obcięta. Miał

ją nareszcie tę drogą relikwję! Z największą troskliwością umieścił ją w zagłębieniu dłoni i przez długie chwile wpatrywał się w nią nieruchomy i drżący...

Gdy nareszcie po długiej przerwie rozpoczął na nowo konsultację, poczekalnia pełna była chorych; szósta biła, gdy ostatniego pacjenta odprawił. Przejrzał listę chorych, których był powinien odwiedzić, a widząc, że nie ma gwałtownego wypadku, powiedział służącemu, że jest chory i położył się do łóżka.

Nadeszła noc, lecz on nie spał. Gdy w gorączkowym ruchu przewrócił się na drugi bok, zobaczył na fotelu obok okna siedzącą Renię w tej samej czarnej sukni, którą miała dziś rano, w kapeluszu słomkowym. Halucynacja była tak wyraźna, że doskonale rozpoznawał białą obszewkę, wystającą po nad czarnym kołnierzykiem. Jedynie twarz była w cieniu, a oczy powiększone, ciemne, podkrążone patrzyły na niego badawczo.

— Reniu! — nie mógł powstrzymać głosu, aby nie wymówić jej imienia — to ty?

Przeraził go własny głos, gdy się rozległ bez echa w pokoju. Umilkł. Ale wobec tego zwidzenia serce mu wezbrało, bał się, aby wizja nie pierzchła, zatrzymywał ją, jak się zatrzymuje sen miły przez wielki wysiłek imaginacji i zaczął mówić słowa czułe, szalone, wyobrażając sobie, że Renia jest jego żoną, że jest tu przy nim, że są u siebie.

Naraz zadzwonił nerwowo, zażądał światła, zwierciadła i wody do picia; przeglądał się z niepokojem, badając źrenice, czy nie ma zezu.

— Leonie — pytał służącego — nic dziwnego nie zauważasz w mej twarzy?

— Nie, panie.

— Czy wyglądam tak, jak zawsze?

— Tak, panie.

— Gdy patrzę na ciebie, czy nie zezuję?

— Nie, panie.

— Dziękuję, Leonie... A jeszcze słowo, powiedz mi, czy nie zostawiłem ubrania na fotelu tam przy oknie?

— Nie, niema nic na fotelu, panie doktorze.

— To dobrze, możesz odejść.

— Czy pan doktor nie chory? może pan doktor sobie życzy, abym przy nim czuwał?

Miłe mu było przywiązanie, brzmiące w tem pytaniu. Ale odprawił służącego, zostawił tylko dwie palące się lampy, które jasno oświecały pokój.

Nazajutrz wstał blady, członki miał zbolałe, zamówił konieczne wizyty, wypił trochę herbaty i przed wyjściem wyjrzał oknem.

Para szarych gołębi, czystych, tłustych, pierzastych ulepiła swe gniazdo na sąsiedniem drzewie między dwoma gałęziami. Samiczka siedziała na jajkach po raz drugi. Samczyk polował nad wodą i wracał obładowany do schronienia, lotem ciężkim, okrążającym. Kiedy się zbliżył, ona wstała lekka, cała w piórach... wrzucił jej jednym rzutem pożywienie w gardziołko, potem swym ślicznym koralowym dzióbkiem czule gładził jej szyjkę, a ona kołysała główką z przedziwnym wdziękiem. Naturalna miłość istniała między temi dwoma skrzydlatemi stworzeniami, jakby cudem wiszącemi nad ruchomą rzeką. Na wielkich włoskich topolach drżały wszystkie liście. Guéménć chodził z miną dziwnie poruszoną.

W progu pod arkadą, trochę krzywo mieszczącą się w tej starej budowli z XVIII w. zawahał się chwilę. Nagle z gwałtownym ruchem zawołał:

— I po co..., kiedy nie mogę dalej...

W dziesięć minut później w szpitalu Hôtel-Dieu wchodził w rejon doktora Herlinge. Zapukał do pracowni Reni. Sanitarjuszka, przechodząc, rzekła mu:

— Panna Herlinge jest na dole, doktorze..

— Dobrze. Zechciej pani powiedzieć, że ktoś czeka tu na nią.

Gdy Renia drzwi otworzyła, zobaczyła Fernanda zgnębionego, z głową ukrytą w rękach, z łokciami na stole.

— Chcesz pan ze mną mówić? — rzekła głosem bardzo zmienionym.

Wzruszenie jej zwiększyło się jeszcze, gdy ujrzała jego rysy. Z wrodzoną sobie prawością, aby uniknąć jakiegokolwiek nieporozumienia, odezwała się z punktu:

— Wiesz... przetrawiłam wszystko, o czem mówiliśmy wówczas, w umyśle... i sercu... i zrozumiałam, że niemożliwe jest dla mnie poświęcić ci moją naukę.

— Ja już niczego nie żądam! — wymówił złamany. Nawet o szczęście mi nie chodzi, tylko abyś dzieliła moje życie... przyjmij je Reniu!

Wyciągnął ramiona. Smutek go przygniatał i cieniem żałoby okrywał zaręczyny. Panna Herlinge triumfowała. Marzenie jej spełniło się całkowicie. Łzy rozczulenia napłynęły do oczu.

— Nie mogę żyć bez ciebie... bądź moją choćby troszeczkę! — dodał.

Płomień syczał pod maszyną, gdzie fermentowały kultury bakcyli, na stole obok mikroskopu leżały kawałki białawej materji, preparaty anatomiczne, szczątki endokarditu, wyjęte podczas ostatniej autopsji. Silny zapach jodoformu napełniał małe laboratorjum. Renia Herlinge drżała i bladła; miłość promieniowała z jej wzruszonych oczu... Fernand zbliżył się do niej. Padła w jego ramiona...

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział I.

Ciemny, dyskretny, z cichym, arystokratycznym gwizdem maszyny, mknął automobil doktora Artout przez Avenue Kléber, unosząc w tę noc styczniową, spokojną i błękitnawą, profesora z panią Lancelée, którą odprowadzał po konsultacji do Passy, do jej mieszkania.

— Nie było pani widać na ślubie panny Herlinge....

Pani Lancelée uśmiechnęła się. Wszystko było u niej bezwiednie sztuczne. Miała lat 34, lecz pewne zaniedbanie dawało jej wygląd znacznie starszej.

— Profesorze, rzekła po namyśle, panna Herlinge nie radziła mi się, gdy postanowiła wychodzić za mąż. I dobrze zrobiła. Nie byłaby poszła za moją radą.

— Wiem, wiem, odrzekł dr. Artout rozbawiony. Celibat doktorek to pani credo!

— Nie, nie moje credo, lecz moja zasada bardzo prosta i racjonalna, która głoszę wszystkim studentkom. Byłoby to wbrew mej zasadzie, gdybym była obecna na tym ślubie. Mimo to życzę jej szczęścia możliwego, wiedząc jednakże niestety! że go nie znajdzie.

— Cóż znowu! Będzie z niej przemiła kobietka.

Artout miał lat sześćdziesiąt, wielki, majestatyczny, wygolony, z profilem Bourbonów.

Ręka gruba, szeroka zadawała kłam wszelkim zawodowym tradycjom, które do operacji żądają cienkich, zręcznych palców. Miał wyrobioną sławę siły i pewności siebie; otaczała go istna legenda, a patrząc nań, myślało się o cudownych operacjach wielkiego doktora, o sławnych w całej Europie cięciach lancetu, tej spokojnej pewności, z jaką wprowadzał skalpel w samo centrum organów. Jego sława i wartość była w jego ręku, w sile i spokoju tej ręki chłopskiej, którą ocaliła tyle istnień ludzkich. Zwykłym swym gestem, rozmawiając, położył ją na złotej gałce swej laski, jak narzędzie święte, które się szanuje i ochrania. Zresztą znał swą potęgę — było to widoczne w jego zachowaniu, w noszeniu głowy. Jego wyższość, której był świadomy, była powodem, że wśród mniej sławnych kolegów nie robił różnicy między kobietami a mężczyznami, pomagał Joannie Adeline, jakby pomagał innemu lekarzowi, obarczonemu rodziną, cenił zdolności pani Lancelée; pannę Herlinge, bez wahania pchnął na karjerę medyczną, przekonany, że spełniać będzie ten zawód z tem samem powodzeniem, co mężczyzna. Przytem, Artout nieżonaty, dla kobiet zachował na ogół sympatję trochę sentymentalną starego kawalera, który ich szuka, ceni, idealizuje, dręczony niezaspokojonem pragnieniem uczuć rodzinnych.

— Ależ tak, ciągnął dalej na widok zimnego uśmiechu doktorki. Znałem ją dzieckiem tę małą Herlinge, życie z niej tryska, będzie gorąco kochać męża.

— Gdyby gorąco kochała, mój drogi mistrzu, byłaby zgodnie z jego życzeniem zaniechała swego zawodu, aby mu się podobać. Nie zrobiła tego, zarezerwowała siebie, wychodząc zamąż: a więc dała się połowicznie. Guéménné

nie wystarczał jej... Jestem stara panną przeciwną miłości, ale myślałam nad tem i widziałam dużo i mówię panu, to brzydkie atuty takie przesłanki w pożyciu małżeńskiem.

— Ta ra ta ta! Mówisz pani, jak siostra Armji Zbawienia, albo marmurowa Westalka, którą sama jesteś. Mała Herlinge nie zadowolni się tą rolą i zobaczysz, że poradzi sobie z mężem, nie przestając być lekarzem, po którym dużo się spodziewam, gdyż ma na to dane.

— Zanim upłynie pięć lat, rozwiodą się, oświadczyła sybilijska pani.

Ukrywała pewien rodzaj wewnętrznej radości, wymawiając w wieczór ślubny to złowrogie słowo. Możnaby sądzić, że, wyobrażając sobie tę noc poślubną w małym domku na wyspie St. Louis, za suchemi gałęziami włoskich topoli, z rzeką płynącą srebrem pod oknami zaślubionych, niepokój ogarnął ją, która dobrowolnie wyrzekła się podobnych tajemnic.

— Więc nie wystarcza pani, brak litości względem twych wielbicieli — twoje piękne koleżanki są także skazane?...

— Dla mych wielbicieli byłam litościwszą niż się to wydaje, mistrzu drogi. Większa ich część już pocieszona, a nie byłaby nia, gdyby się byli połączyli z żoną, która dla nich byłaby tylko kochanką niedozwoloną i przelotną.

— Mówisz pani „większa część jest pocieszona". Znam jednego, który dotąd cię opłakuje. To Bernard de Bunod. Jego matka przeklina cię...

Spokojny, niedowierzający uśmiech przesunął się przez pół zamknięte usta pani Lancelée i był całą odpowiedzią. Artout ukradkiem spoglądał na tę dziwną kobietę, która, mówiąc o mężczyznach, mogła powiedzieć „większa część". Była rzeczywiście bardzo kochaną i to

w dziwny sposób: piękność i tragiczny ogień w jej źrenicach skrycie namiętnych wołały o wielką miłość a równocześnie z nieugiętą wolą broniła się miłości, szukając innego szczęścia. W twarzy, trochę już zwiędłej, znać było zmęczenie ciężkich walk i pewną twardość zwycięstwa. Starzała się. Od lat czternastu zostawiała poza sobą szeregi zakochanych, ale jedynie Bernard de Bounod pięć lat młodszy od niej, którego pielęgnowała w dyfterji, zapamiętał się w beznadziejnej miłości do niej. Życie doktorki otoczone sławą, która zastępowała jej wszystko, było ustalone, przyjemne, zapełnione i zaspokojone. Zapomniała o innych; blade rozpieszczone dziecko, mieszkające z matką „ostatnie z rodu", nie wchodziło u niej w rachubę.

— Ten jest szczery; jego słabość szuka twojej siły, zaczął znów Artout.

Automobil drgnął kilkakrotnie, potem zwolnił pędu, wreszcie zatrzymał się zaledwie dostrzegalnym ruchem. Pani Lancelée była u siebie.

— Jestem wolna i szczęśliwa — rzekła.

Już drzwi jej mieszkania otwarły się; służąca, przystojna Angielka w haftowanym fartuszku, stała na progu uśmiechnięta. W sieni panował półcień; na parterze za falą gipiur przezroczystych firanek widać było skąpany w różowym świetle komfort sali jadalnej, gdzie czekał na nią obiad. Jeść go będzie samotna, w milczeniu, lecz w zupełnym spokoju. Z ambicji swych wykluczyła różnorodność szczęścia, pragnęła tylko jednego i to: być kobietą wyjątkową, uczoną i sławną. Jest sławną i uczoną, bardzo wziętą, jako lekarz dziennych chorób w świecie dyplomatycznym, uznawana przez wielkich swych kolegów dla swej wolnej, ale pewnej diagnozy. Urzeczywistniała swoje je-

dyne marzenie, żyła samotna, zadowolona, bez żalu za czemkolwiek.

Podczas gdy auto zawracało, by go odwieźć do domu, dr. Artout myślał:

„Dlaczegożby i takich nie miało być? Bądź co bądź, mają prawo wybierać wygodny celibat, by bez przeszkód rozwijać swój umysł. Wprawdzie to nie jest zupełnie naturalne, lecz liczba ich będzie zawsze ograniczona i zawsze zostanie ich jeszcze dosyć na małżeństwo i macierzyństwo.

Czyż ta Lancelée ma rację? Czy kobieta-lekarz winna pozostać dziewicą-intelektualistką?

I porównywał tę doktorkę wiecznie szukającą, wiecznie studjującą z niezmordowaną Joanną Adeline, dzień i noc biegającą, aby zarobić kilka franków dla swych czworga dzieci. Sławne czasopisma podawały charakterystyczne fotografje tej pierwszej, zdjęte w jej laboratorjum bakteriologicznem i taką tylko znała ją publiczność. Artout wyobrażał sobie tę drugą, biegającą po chorych, odbywającą swe wizyty pospiesznie, aby jak najwięcej przez godzinę załatwić, posługującą się we wszystkich wypadkach swą genjalną pamięcią książek patologicznych, których się wyuczyła przed 15-tu laty. Pani Lancelée prowadziła dalsze studja naukowe. Joanne Adeline wyczerpywała się, spełniając mimo swej drobnej postaci różnorodne i skomplikowane funkcje.

„A więc, myślał Artout, zachwiany w swych przekonaniach i swej apoteozie życia i zdrowia — a więc formuła, oznaczająca socjalną pozycję tych nowych istot będzie: *„Ani męża ani dzieci"*...

W tej samej godzinie Fernand Guéménė wprowadzał żonę w progi swego domu.

Wzruszenie ich było słodkie i ciche. Renia z lekkiem drżeniem wykrzyknęła:

— Jak tu ładnie!

Mieszkanie całe było w kwiatach i zieleni, służba wystąpiła, witając przybyłych w milczeniu. Po schodach wyłożonych dywanem, weszli na pierwsze piętro, gdzie była sala jadalna. Zobaczywszy światło jarzące, stół nakryty na dwoje, blask kryształów, srebra i cudowne rzadkie kwiaty, Renia zawołała radośnie:

— To *mój dom!... to moje!...*

Podziwiała zastawę, pochwaliła służącą i zwróciła się do męża:

— Pokaż mi wszystko, Fernandzie, teraz, zaraz. Twój pokój, twój gabinet, mój... mój przedewszystkiem; czy wiesz, ciągle myślę jeszcze, jakie wrażenie robią moje meble Empire!

Zawsze trochę oryginalna i obojętna na praktyczną stronę życia i wszystko, co nie dotyczyło jej studjów, pozostawiła Fernandowi całą swobodę urządzenia ich mieszkania. Zaledwie meble wybrała do swej pracowni, zachowując dla siebie niespodziankę, aby je zobaczyć już ustawione na miejscu. Szła przed nim w ciemnej eleganckiej sukni, której szmer napełniał dom szelestem kobiecym, wesołym.

Na pierwszem piętrze obok salki jadalnej znajdował się malutki fumoir i salonik Reni, wysłany lila dywanem. Na drugiem piętrze — gdyż w wąskim domu, by przejść z pokoju do pokoju, trzeba często chodzić po schodach — były dwa osobne gabinety tego nowoczesnego małżeństwa. Guéméné zadowolnił się ciemniejszym z oknem, wychodzącem na podwórze, żonie odstąpił frontowy, skąd widać było drzewa, Sekwanę, a na przeciwległym brzegu podłużną perspektywę ulicy aux Fleurs. I tak

w tem szczególnem małżeństwie, wbrew naszym dotychczasowym zwyczajom rodzinnym, zawód męża został poświęcony i ograniczony na korzyść innego czynnika bardziej despotycznego.

Oczy Reni zaszły łzami, uchwyciła rękę męża.

— Drogi mój, przeznaczyłeś dla mnie ten pokój, jestem naprawdę wzruszona... był dotąd twoim... mówiłeś, jak tu ci dobrze było...

— To twoje miejsce, Reniu, ten drugi niegodny ciebie.

Marzące oczy objęły ją wzrokiem uspokojonej miłości. Była nareszcie w jego domu, który dotychczas niepokoiła swym cieniem, weszła tu na zawsze, a sam widok jej w tem miejscu dawał młodemu człowiekowi poczucie przynależności jej do niego.

— Jak mi tu będzie dobrze pracować obok ciebie! — rzekła Renia. Cieszyła się na to życie, pełne, szczęśliwe, które symbolizował ład tego apartamentu, tak doskonale przygotowanego do studjów, ze swą bibljoteką, dużem biurkiem, wykładanem złoconemi inkrustacjami, z tym fotelem do pracy — obok fotel do badania chorych, pod oknem ustawiony mikroskop, w głębi ukryte drzwi, łączące gabinet z sąsiednim pokojem, dozwalający studjującej szeptem wezwać młodego męża... Wszystkie jej marzenia spełniły się i nawet to, którego nie pragnęła. Będzie kobietą uczoną i sławną, tak jak tego sobie życzyła, a ponadto w godzinach wolnych rozkoszować się będzie miłością, której nie pragnęła.

Widziała się już lekarzem, przyjmującym tu swych pacjentów; porady lekarskie mają w sobie coś, jakby władzę moralną, do której wzdychała od pierwszej młodości. Siądzie

w swym fotelu przy biurku, a wielkie damy przyprowadzać jej będą delikatne swe dzieci z pokorą, z niemem błaganiem i tem wszystkiem, co przechodzi przez oczy tych, co cierpią wobec tajemniczej potęgi lekarza.

— Reniu, przypomniał dyskretnie Guéménć, wieczerza czeka na nas oddawna...

Spojrzała na niego; wracała z bardzo daleka, z tak daleka, że odnajdując w zetknięciu się z wzrokiem młodego małżonka, przedziwną uroczystość chwili, uśmiechnęła się do niego.

— A tam na górze? pytała.

— Tam na górze — odrzekł z czcia i uszanowaniem — tam na górze, to nasz pokój, ale wpierw, Reniu, trzeba zejść na wieczerzę.

Siedli do stołu z naiwnym zachwytem, uśmiechając się ciągle do siebie, z oczami pełnemi czułości, której nie potrzeba wyrazów. Wejście ich w życie wspólne było podniosłe i spokojne. Oboje ludzie rozumu połączyli się po głębokiem zastanowieniu nad przyszłością, a mimo przysięgi zamienionej z całą rozwagą, nie zdawali się być jeszcze wolni od niepokoju i niepewności. Czy będą szczęśliwi? Badali się wzajemnie, kryjąc to nieme, bezlitosne pytanie w głębi swych namiętnych źrenic.

Służba śledziła oboje ukradkiem.

— Kiedy chcesz jechać do Genewy? — zapytał Fernand.

Mało co jedli, instynktownie silac się na spokój, którego nie mieli.

— Jechać... — odrzekła Renia — a gdy ci powiem, mój drogi, że mi na tem nie zależy... Ta Szwajcarja, Włochy, te hotele, tyle razy już to widziałam, podróżując z rodzicami w czasie wakacji! Nie cierpię kolei, nie lubię wyjeżdżać z domu... Wyjeżdżać teraz, gdy za-

kosztuję słodkiej rozkoszy własnego domu, po co? Dla tego, aby iść za ogólnym zwyczajem?...

— Bardzo pragnąłem odbyć tę podróż z tobą — rzekł gorąco Guéménė — lecz teraz ty decydujesz.

Podano mrożone owoce. Renia, biorąc je na widelec, odrzekła:

— Mam się przyznać, co jest mem marzeniem?... Oto zostać teraz w domu i odrazu rozpocząć nasze prawdziwe życie. Wybaczysz mi może zbyt wielką systematyczność, prawda? Lubię życie uregulowane, ustalone raz na zawsze: dlatego nie cierpię podróży. Właściwie od jutra chciałabym wprowadzić w życie program naszej nowej egzystencji, objąć moje obowiązki w Hôtel-Dieu.

— Więc twoje postanowienie dokończenia kliniki chorób wewnętrznych jest nieodwołalne?

— Absolutnie nieodwołalne, powiedziałam ci to, co najmniej dwadzieścia razy. Nie jestem dostatecznie przygotowana do konsultacji u siebie; a potem nic nie zastąpi praktyki w szpitalu. Te dwa lata to najwięcej interesujący okres moich studjów. A internat! Przez całe życie żałowałabym, gdybym nie wyzyskała możności ukończenia go. Od dwóch tygodni, odkąd mam urlop, stęskniłam się za moją salą szpitalną.

Przez Fernanda przeszło lekkie drżenie, lecz nie otworzył ust. Trochę nieśmiało Renia dodała:

— Gdybyś pozwolił, wróciłabym tam w poniedziałek.

— Ależ Reniu, jesteś panią swej woli. Wiesz dobrze, że nie uczynię nic, coby mogło ograniczyć swobodę kobiety takiej, jak ty. Mówiąc to drżał. Cała jego miłość, jego oddanie się

streszczało się w tem zdaniu, w którem rezygnował ze swej męskiej potrzeby władzy i swej niepokonanej woli. Renia przyglądała mu się z czułością. Człowiek ten, który umiał więcej niż ona, w którym przeczuwała rzeczywista wyższość i silniejszą intuicję lekarską, poświęcał jej swe upodobania z miłością i z prostotą. Owładnęło nią rozczulenie i pociągając go do saloniku dla niej przygotowanego, znalazłszy się z nim sam na sam, odezwała się z ufnością dziecka.

— Fernandzie drogi, ty nie zawsze będziesz się wyrzekał wszystkiego dla mnie, pragnę, aby i na mnie przyszła kolej z czasem. Jestem kobietą jak inne; pragnę cię uszczęśliwić... kocham cię...

Drżał ze szczęścia; na jego ramieniu spoczywało to piękne, rozumne czoło studentki, sanktuarium czystej inteligencji. Dar takiej kobiety był wielki. Guéméné dumny był ze swej miłości i Renię ogarnęło głębsze wzruszenie, wynurzała się przed nim, odsłaniając głąb duszy.

— Tak, jestem kobietą jak inne, zdolna do dziecięcej miłości. Życie nałożyło mi maskę, musiałam być taką, ty wiesz, zimną, niedostępną. Ale czy myślisz, że nie zaznałam co to słabość, zniechęcenie, zmęczenie? Czasami — nigdy się do tego nie przyznałam — praca wyczerpywała mnie; ciało upadało ze zmęczenia w rannych godzinach, które spędzałam, stojąc w sali, a po południu trzeba się było prostować przy sekcjach. Bywałam smutną, nie wiedząc sama dlaczego. Dziś to osamotnienie stało mi się jasne, rozumiem je, życie moje było twarde i bez miłości. Nie zwierzałam się nigdy nikomu. Zacinałam się w swej dumie. Fernandzie, jestem tylko zwykłą studentką,

która cię kocha. Mimo całej ostrości lubie moje życie pracy, a ty mi dopomożesz do znoszenia go mężniej.

Upojenie ogarnęło go; odkrył wreszcie pod zimną maską intelektualistki dziewczynę o czułem sercu, którą przeczuwał. Był to zawrotny związek ich dusz, wyprzedzający ten, który nastąpi.

— O Reniu — wyszeptał z kolei — przebacz, że chciałem cię pozbawić twego pięknego zadania. Szalony byłem. Ależ ja dla ciebie żyję; dla rozwoju twego serca i umysłu. Temu zadaniu życie poświęcę. Serce twoje otoczę ciepłą atmosferą kultu, wspaniałemu twemu umysłowi dam zupełną wolność rozwinięcia się w swej sztuce. Nie, nie jesteś prostą studentką, ale kobieta rzadką i cenną, światłem jesteś. Będziesz miała książki, kongresy, wykłady, kliniki, laboratorja i nieograniczoną wolność, a ponadto wszystko absolutną miłość swojego męża.

Drżące ich ręce szukały się i złączyły; zamilkli, nie potrzebując słów, aby się rozumieć. Łza spadła z ócz Reni, gdy wstała, aby uchylić ciężką firankę.

Rzeka w nocy mieniła się blaskami perłowej konchy. Feerycznie świecące parowce sunęły w ciszy, jak wąskie nawy napełnione światłem, krając ciemną głębię i rzucając w nią mrowiska iskier. Ciemne, wielkie drzewa przed oknami dodawały jeszcze tajemniczości tej nocy.

Rozkochani długo razem patrzyli na ten archaiczny, milczący zakątek starego Paryża. Myśli ich powolne ginęły w wielkiem wzruszeniu, jakby czekali na jakiś cichy sygnał... Gdy złoty zegar, wiszący na ścianie, wydzwonił 10-tą, Renia szepnęła z prostotą i czułością:

— Pójdziemy na górę, *chcesz*?...

Rozdział II.

Nadszedł ranek, w którym Guéménć, wychodząc o zwykłej godzinie do chorych, odprowadził żonę do szpitala. Rozłączyli się przy wejściu. W przedpokoju Renia przebrała się, włożyła bluzkę i fartuch.

Stanęła jak zwykle w szklannych drzwiach, przebiegając oczyma wszystkie łóżka. Siostra na sali, zakonnica, młoda jeszcze z błyszczącemi pod kornetem oczami, zbliżyła się do niej uśmiechnięta, gdyż dziwna sympatja łączyła te dwie kobiety tak odrębne, które jednak mimo różnicy swych pojęć szły tą samą drogą. Uścisnęły sobie dłonie. Młoda siostrzyczka, zaledwie trochę starsza od młodej mężatki, dopiero od pięciu lat w zakonie, wnosiła w swą pracę żarliwe umiłowanie. Widywano ją wzruszoną i płaczącą przy umierających, sercem kochanki i matki oddawała tysiące usług nadobowiązkowych swym chorym. Prosta i nieświadoma dążyła do wielkiej doskonałości i dla miłości Chrystusa starała się nie odczuwać niewdzięczności, zwalczała popędliwość i antypatje względem niektórych pacjentów i starała się przedewszystkiem choć nie zawsze z powodzeniem, o cnotę najwyższą, to jest równą miłość dla wszystkich.

— Panno Herlinge!... chciałam powiedzieć „pani“ — przyjdź pani zobaczyć moją biedną chorą, numer 17-ty. Myślałam, że uratowana, tymczasem panna Skaroff powiedziała mi wczoraj, że ma zapalenie płuc... postawiłam 25 baniek dziś rano.

Chorą była 18-letnia służąca, którą Renia przed urlopem miała w kuracji. Zapalenie w takim wypadku, przerywające rekonwalescencję, pobudziło ciekawość Reni. Szybko zbliżyła się do łóżka 17-go, idąc za siostrą, która śledziła ją trwożnie. Odchylając koszulę, przyłożyła ucho do piersi gorącej, podnoszonej nieregularnemi uderzeniami serca i długo osłuchiwała chorą. Potem, przesuwając delikatnemi palcami, opukiwała płuca od dołu do szczytów. Chora, silna dziewczyna, wstrząsana bólem walczyła wszystkiemi siłami swojej młodej natury przeciw zdradzieckiej chorobie. W pięknem, młodem ciele zjednoczyły się wszystkie siły żywotne w gwałtownym buncie, lecz Renia zrozumiała, że naprożno.

— Utworzyło się ognisko, rzekła — prostując się.

Zakonnica odgadła we wzroku młodej kobiety, że nie ma ratunku.

— Biedactwo! — szepnęła — tak pragnie wyzdrowieć, wrócić do pracy i żyć!...

I obydwie, siostra miłosierdzia i kobieta-lekarz — pierwsza typ zanikający, druga powstający — sprowadzone tu odrębnemi drogami, pochyliły się nad łóżkiem chorej. Milczące, równo strwożone i poważne zdawały się także równie wzruszone. A jednak dzielił je świat cały: w dziewczynie, którą im śmierć wydzierała, jedna widziała tylko chorobę, druga — chorą.

Drzwi się otwarły znowu. Weszła Dina Skaroff. Od czterech tygodni zastępowała Renię i starała się codzień o 8½ rano być na sali.

Chuda, zmęczona, w swej białej bluzce, w skromnej sukience w czerwone pasy, w bucikach z dwiema łatkami na wierzchu, uśmiechnę-

ła się do przyjaciółki i francuszczyzną, która jej nieraz figle płatała, odezwała się:

— Już z powrotem? Niedługo pani bawiła we „śnie!"...

— Niema snów, Dino, jest tylko życie.

— Jest jedno i drugie — odparła Dina, i jedno lepsze niż drugie.

Oczy jej, jak węgle, zapadnięte zdawały się bez dna w szczupłej twarzyczce.

— Czyś przynajmniej pracowała podczas mej nieobecności? — pytała Renia, której szczęście, fortuna, dawały pewną wyższość nad Rosjanką.

— Bardzo pracowałam. W jednym miesiącu przewertowałam cały pierwszy tom patologji. Teraz wiem, że będę przyjętą do konkursu internistów.

— Hm! dlaczegożby nie — rzekła Renia niedowierzająco.

Przez salę przebiegł pewien niepokój ze zbliżeniem się wizyty lekarskiej. Wielkie sklepione otwory, podobne do okien kaplicy, wpuszczały szerokie strumienie światła. Rozmawiano cicho, przygotowywano się jak do jakiego obrzędu. Chore nerwowo wstrząsały głowami na poduszkach, niektóre, siedząc, szeptały między sobą, inne skarżyły się, jakby w oczekiwaniu jakiegoś oswobodzenia. Cała sala była jakby świątynią, oczekującą na przyjście kapłana.

Eksterniści schodzili się jeden po drugim, wśród nich ukazał się czarny surdut lekarza. Był to Pautel, młody doktor z ulicy Saint Severin, pilnie uczęszczający do kliniki Herlinge'a, z zamiarem specjalizowania się w chorobach sercowych. Był zawsze jednym z pierwszych, a oczy jego, błądząc pod binoklami, szukały zaraz w sali Diny Skaroff. Podczas całej wi-

zyty nie zamienili słowa ze sobą, ale Dina czuła się ciągle obserwowaną przez te oczy niepewne, niewyraźne w chudej twarzy blondyna. wiedziała, że mu się podoba, czuła to; lecz biedna, samotna dziewczyna obca i zaginiona w tym olbrzymim Paryżu, z którego nie znała nic prócz tej sali szpitalnej i swej restauracji na ulicy Bertholett — a przytem bardzo uprzedzona do temperamentu francuskiego, który przerażał jej naturę trochę „prude", unikała go i drżała jak słabe, prześladowane zwierzątko.

Herlinge punktualny wszedł, gdy zegar wydzwonił 9-tą. Pergaminowa twarz jego o niebieskich oczach rozjaśniła się uśmiechem, gdy spostrzegł córkę. Rzucił jej krótko:

— Jak się miewasz kochanie?

I niezwłocznie, ciągnąc za sobą orszak lekarzy i studentów, zbliżył się do pierwszego łóżka. Renia wzbudziła ogólną ciekawość. Przypatrywano się mocno tej młodej mężatce, która w pełni miodowego miesiąca, w godzinie, w której wielki przewrót wewnętrznego życia, nawet najdumniejsze wytrąca z równowagi umysłu i spokoju, wraca spokojna i pilnie zabiera się do pracy. W pierwszym rzędzie przyglądała jej się pani Lancelée. Był tam też Gilbertus, który, nie przyjmując chorych ani ich odwiedzając, asystował chętnie wykładom szpitalnym, aby, jak mówił „wyrabiać sobie rękę". Ubrany bez zarzutu, w modnym kołnierzu, uwydatniającym piękną brodę Assyryjczyka, zbierał z warg Herlinge'a ściśle naukowe zdania, barwne słowa, stanowiące fortunę w medycynie, która utrwala się w rozprawach patologicznych i które on poda w następnym artykule swym naiwnym czytelnikom. Towarzyszył mu wychudły, zasuszony Morner — przyszedł tu bez powodu, bez celu w chwili

nudy, w godzinie, w której knajpy są puste. Roztargnionem uchem słuchał subtelnej dyssertacji mistrza o wypadku niedokładności aorty; wiedza ta nie miała nic wspólnego z jego elektrycznemi płytami. Wokoło gromadzili się lekarze, młodsi i starsi a nawet przybyli z prowincji do Paryża, aby usłyszeć raz jeden w życiu wielkiego Herlinge'a. Stali także studenci, zebrani z odległych szpitali — wszyscy przechodzili kolejno tę klinikę przed egzaminami w nadzieji złapania wypadkiem „une colle" Herlinge'a.

Nieśmiało, z tyłu trzymała się grupy studentek Rosjanek, biednie odzianych, pochylających się chciwie z obawy, aby nie utracić jednego słowa. Ociężale posuwał się ten tłum za małym, biało ubranym człowieczkiem w czarnym berecie, od łóżka do łóżka, odbywając — niby gromadka nabożnych pielgrzymów — stacje tej dziwnej drogi krzyżowej.

Wreszcie Renia zawołała pół głosem:

— Panna Skaroff!... Gdzie jest panna Skaroff?

Ze swej strony zakonnica, szukając młodej studentki między rozsuwającym się tłumem, powtarzała:

— Panno Skaroff, pani Guéméné chce z panią mówić.

Wtedy Pautel flegmatycznie lekko uśmiechnięty odpowiedział wolno i cicho:

— Panna Skaroff wyszła.

Ukradkiem ostrożnie jak ścigane zwierzątko wymknęła się niespostrzeżenie. Jeszcze jej szukano, gdy cichutko w strachu, aby nie być odwołaną, zbiegała z ostatnich stopni piętra. Potem biegła przez korytarz, przechodziła plac Notre-Dame i nieśmiąc głowy odwrócić,

dążyła spiesznie do swego meblowanego pokoju na ulicy Cujas.

Prawie zawsze w ten sposób opuszczała szpital, od kiedy raz na ulicy zobaczyła Pantela, idącego za nią. Niewiele miała szacunku dla studentów-Francuzów tak odmiennych od jej rodaków, a którzy nie umieli patrzeć na kobietę samotną i słabą bez pożądania jej. Sentymentalna, ale rezonująca, jak wszystkie Rosjanki, nie chciała w marnej awanturze miłosnej, w jaką dałaby się wciągnąć pierwsza lepsza subretka, utracić spokoju, który jej dotychczas zastępował szczęście. Dlatego mimo, że Pautel podobał jej się i interesował ją, lękała go się i gardziła nim, jak uwodzicielem młodych, niewinnych dziewcząt.

O godzinie 11 znalazła się w swej studenckiej mansardzie, na 6 piętrze przy ulicy Cujas. Sufit pochylony załamywał się w stronę ściany, obitej niebieską tapetą. Wycięty z gazety portret Tołstoja przyszpilony był obok krzyża, kolorowana litografia przedstawiała carową. Przed okienkiem dość szerokiem, które obwiesiła — zresztą bez intencji straszliwości — piszczelami, goleniami, szczękami i innemi częściami szkieletów, przytwierdzonych czerwonemi nitkami na gwoździach, stał stolik zarzucony książkami. Nie zdejmując kapelusza, siadła przy nim i napisała streszczenie wykładu Herlinge'a. Potem wyjęła z szuflady malutką żelazną szkatułkę, od której kluczyk trzymała zawsze w kieszeni. Otworzyła i znalazła tylko dwie sztuki złote, 10 i 20 frankówka. Było to piętnastego, te dwie monety stanowiły całą jej fortunę aż do końca miesiąca. Wzięła 20 frankówkę i poszła w stronę ulicy Berthołet.

Dina Skaroff była córką niezamożnego kupca w Petersburgu. Miała dwóch młodszych braci i trzy starsze siostry, pracujące w wielkich magazynach stolicy. Dina nie chciała wegetować przez całe życie. Wychowana na małej pensji na przedmieściu, uczyła się dalej sama i z powodzeniem zdała maturę. Następnie wyjechała do Paryża śladem tych ptaków przelotnych, zapalczywych Israelitek, które odrzucane przez inne uniwersytety przyjmuje Francja i kształci i które potem, wracając do ojczystych śniegów z tytułem doktora, zamieniają go na dyplom krajowy, dający im prawo do praktykowania.

Ojciec, na pół zrujnowany, dawał jej 80 fr. miesięcznie, z tego musiała opłacać restaurację, pokój, wpisy i ubranie. Nie uważała się za źle uposażoną; znała rodaczki, które z mniejszą sumą dawały sobie radę. Odważnie nosiła kapelusze po franku pięćdziesiąt, kupowane w bazarach. Tylko biedne małe, chude nogi z powodu nieustannych kursów do szkoły, szpitali, restauracji zużywały w kilka tygodni nietrwałą skórę bucików i tych to okropnych bucików czasem się wstydziła, chowając je instynktownie pod suknię, które nie były wiele lepsze. Początkowo pracowała ponad siły, gorzko, chciwie, aby zwyciężyć raz tę nędzę i zdobyć sobie miejsce w życiu. Po pierwszych latach studjów i przyswojeniu sobie suchej teorji zaczęła się interesować żywo i jedynie swemi studjami. W zamiłowaniu tem znajdowała pociechę, jak gdyby nauka jedna miała litość nad tem życiem tak bezwzględnie twardem. Medycyna bawiła ją teraz — mawiała. Żywiła się gotowanem mięsem, nosiła bawełniane suknie; pokazywała zuchwale swą nędzę, lecz bez ostentacji asce-

tyzmu, naprawdę obojętna na te rzeczy, jak dziecko, znajdujące w swej pracy radość i pociechę.

Tego dnia było już po 12, gdy przybyła na ulicę Berthollet. Otworzyła małe, oszklone drzwi ruskiej restauracji paryskiej; ukazanie się ładnej i zgrabnej kobiety nie zwróciło niczyjej uwagi mimo, że wśród tej biedoty siedziało tam ze trzydziestu młodych ludzi o bujnych czuprynach, twarzach zdrowych i oczach palących. Napychając się chlebem, patrzyli w dal. Dina wślizgnęła się między stoły, spieszyła się, naglona apetytem 22-letniej, źle odżywianej istoty. Tu i tam podano jej dłonie, które, milcząc, ściskała. Wreszcie dostała się do kuchni, gdzie dwie kobiety, zajęte przy kotłach, napełniały podawane talerze. Z jednego stołu Dina wybrała szklankę, nóż, widelec cynowy i gruby fajansowy talerz, który kazała napełnić makaronem, do tego dodać gotowanego mięsa i kawałek chleba i zaczęła szukać miejsca przy stole, gdzie mogłaby umieścić swoje nakrycie. W tej chwili dwóch młodych studentów podniosło się, dano jej znać i zajęła miejsce.

Przystojny blady chłopak w aksamitnej kurtce, o rozczochranej i kędzierzawej czuprynie, siedział przy niej. Jedząc, czytał broszurkę Tołstoja. Tekst broszurki pisany był po francusku, młody człowiek robił uwagi na marginesie po rosyjsku i dawał do czytania towarzyszowi z prawej strony; obaj półgłosem zamieniali swe wrażenia. Za nimi siedziała kobieta z krótkiemi włosami, z oczyma dzikiemi, w męskim kapeluszu: podawała karteczki od stołu do stołu; oczy jej się zapalały, jakiś wiew konspiratorski powiał po sali, gdzie spokojne studentki o słodkich sło-

wiańskich źrenicach, marząc, jadły mięso twarde jak skóra.

Drzwi się otworzyły. Dina machinalnie podniosła głowę. Pautel stał w progu. Wahał się chwilę, szukając kogoś wzrokiem, potem zszedł dwa stopnie.

Dina zadrżała i zbladła. Czyżby ją śledził aż tutaj? Nie myliła się. Pautel, widząc wolne miejsce, siadł przy niej. Młoda dziewczyna pobladła więcej jeszcze z gniewu. Jakto, gdy ona instynktownie chroniła się tu, między swych braci, w tym czystym przybytku, gdzie każda kobieta uważaną była za siostrę, ten Francuz, czyhający na romansową przygodę, śmiał ją aż tu ścigać!.... O! że on miał ochotę na nią, aż nadto było widoczne. A gdyby uległa, trwałoby rok a najwyżej półtora w jakimś meblowanym pokoju, świadku tylu podobnych miłostek. A potem gdy ją oderwie od studjów zmarnowaną, zdenerwowaną, rozbitą, dla niego będzie to chwila pomyślenia o bogatym marjażu, a ona zostanie zniechęcona do pracy, do książek, bez energii do rozpoczęcia na nowo walki....

— Panno Skaroff... — zaczął szeptem młody człowiek.

Napróżno siliła się na sztywność, w głosie jego była pieszczota, coś nieokreślonego, coś co jej było przyjemne.

— Poznała mnie pani? — pytał Pautel, bardziej drżący niż ona.

— Tak.

— To tu ta sławna rosyjska restauracja? Byłem jej bardzo ciekaw, może sobie pani wyobrazić!... a mając chorego w pobliżu, przechodząc, wszedłem. Rodacy pani nie wezmą mi za złe?

— Nie.

I widząc, że czeka na służbę zdecydowała się — boć w końcu był trochę, jakby jej gościem — uprzedzić go.

— Nikt nie przyjdzie. Musisz pan sam podejść tam głębiej. Niech pan weźmie z sobą talerz i zażąda tego, co dziś mają do jedzenia.

Podziękował jej i poszedł za jej wskazówkami. Dina czuła, że lęk jej się wzmaga. Mówiła sobie, że jest pewna szlachetność i dobroć w tym początkującym lekarzu, który ufundował bezpłatną klinikę dla biednej inteligencji i małych urzędników, dla których doktór za kosztowny. I wielka słodycz mimo jej woli ogarniała ją na myśl, że w tym olbrzymim i okrutnym Paryżu, gniotącym ją swą obojętnością, ktoś kochał ją, myślał o niej, pragnął jej miłości, jak wielkiej łaski.

Powrócił do niej z krwawiącym beefsztykiem na talerzu i z apetytem człowieka zdrowego i czynnego, zaczął krajać twarde mięso. Wówczas Dina zauważyła, że to bardzo miło nie jeść samej i czuć przy sobie żywą duszę, oddychać jakby powiewem miłości. Wdzięczną mu była, że nie mówił; obawiała się sceny oświadczyn, a oto on zachowywał niewytłumaczone milczenie.

— Pani nie lubi wina? — zapytał, widząc, że chwyta za karafkę i napełnia szklankę wodą.

— Nie, — odparła dumnie, — nie lubię.

Kończyła już swoją porcję a była jeszcze głodna; sąsiad jej z lewej strony, ów piękny chłopiec w aksamitnej kurtce odszedł, zostawiwszy na stole resztkę chleba; wzięła ją, zjadła, połykając malutkiemi dozami makaron.

— Nic pani więcej nie je — pytał Pautel głosem, którego dotąd u niego nie znała.

— Nie jestem głodna, — odrzekła.

Skończywszy makaron, zatrzymała w ręku kromkę chleba, skubiąc ukradkiem, aby Pautel nie widział, że je chleb suchy. Nagle nerwowym ruchem zdjął Pautel binokle i zaczął je końcem serwety wycierać, potem, odpychając talerz, zawołał brutalnie:

— To jest nie do zjedzenia! jak pani może...

Zatrzymał się. W koło nich panny, studenci o długich włosach, konspiratorzy z odezwami, ideowi marzyciele, którym groził Sybir, szli z małymi podstawkami po deser i raczyli się — bogatsi herbatą, najubożsi chlebem, gotowanemi śliwkami suszonemi, morelami, które zastępowały im konfitury. Napełnione podstawki Dina mimowoli śledziła oczyma.

— Pani nie lubi tego? — zapytał Pautel ponuro.

— Nie, nie lubię.

Z zaciśniętą pięścią obserwował jej profil, zapadłe policzki, delikatne i anemiczne skronie, pokryte czarnemi puklami włosów. I to z takiem pożywieniem przygotowywała się, pracując po 11 godzin do konkursu internistów! Potem przyglądał się jej żakiecikowi bez podszewki, biednej sukience, w której jej drobne ciało musiało przenikać zimno, mimo szybkiego chodu po ulicach.

Dina nie spieszyła się do wyjścia. Pautel przestał ją niepokoić, przeciwnie ten milczący sąsiad był jej miłym. Niewyraźnie przypomniała sobie jak przed 6 miesiącami odważnie ujął się za nią w klinice przeciw samemu Herlinge'owi. Zegar podobny do szpitalnego wydzwonił pierwszą godzinę; zadrżała; cóż ona tu robiła? Przeraziła się nie Pautela, ale samej siebie, swego własnego serca, wielkiej

pustki życia i tego lęku, który ogarnął ją nagle na myśl samotności.

Możnaby powiedzieć, że dla wstania od stołu musiała wytężyć wszystkie siły. Była w niej jakaś ociężałość i wysiłek litość budzący, a w ciemnych oczach ogromny smutek.

Lecz się przezwyciężyła, strząsnęła okruszyny ze sukni, zimno pożegnała Pautela... i zobaczył ją wychodzącą lekkim krokiem, w obcisłym żakiecie i spódniczce w czerwone pasy. Byłby wolał znaleźć się gdzieś w ciemnym kącie, w odległym ogrodzie lub na pustyni, aby ulżyć sercu, pozwolić płynąć łzom, które go dławiły, łzom smutku, litości i miłości, gdyż wiedział już teraz, że ją kocha i kochać będzie na zawsze. Powtarzał sobie:

— Biedna, biedna mała!... jaka dzielna!...

ROZDZIAŁ III.

Stryj Gnéméné umieścił portret swej żony w głębi salonu, jak gdyby pragnął, aby przez szerokie okna widziała zieleń, posągi i ptaki luksemburskiego ogrodu, który tak kochała. Było coś tajemniczego w tym pokoju, co uwieczniało obecność zmarłej. Krosna stały przy kominku z zwieszającemi się jedwabiami i igłą zardzewiałą, utkniętą w środku gwoździka. Na dywanie wygnieciona wełna zachowała ślady dwóch drobnych pantofelków, które tu spoczywały w czasie długich godzin pracy. Wszystko zdawało się oczekiwać jej powrotu... ciągle, niezmordowanie. Często otwierały się drzwi i cicho z religijną czcią wchodził wdowiec krokiem ociężałym. Stawał bezczynny z rękoma złożonemi, wpatrzony w krosna, w pianino, w źwierciadło. Zdawało się, że widzi ją pochyloną nad igłą, że słyszy wibrujące tony fortepianu, że odnajduje ją w zwierciadle. Z portretu zdawały się patrzeć na niego jej piękne, rozmiłowane oczy.

Pewnego popołudnia w marcu wprowadzono tam Fernanda i Renię. Weszli bez szelestu na palcach, mówiąc cicho jak w kościele. Wdowiec w półmroku czytał stare listy. Jasne światło, płynące oknami, oświecało tylko ukosem twarz kościstą i siwiejące włosy. Podniósł głowę i poznawszy młode małżeństwo, zawołał:

— To wy, moje dzieci!...

Renia polubiła nieszczęśliwego stryja, tak wzruszającego w swym bólu, który po rozbiciu szczęścia swego życia zachował nadal blask jego promieni. Ta pełna uroku miłość małżeńska, która przez lat dwanaście trzymała go na klęczkach u stóp żony, dziwiła studentkę i budziła w niej ogromną litość dla jego bolu. Podała mu czoło do pocałowania. Pozostał obcy i daleki jakby w połowie drogi między żyjącymi a zgasłą towarzyszką. Fernand w obawie, aby serdeczną rozmową nie dotknąć bolesnego tematu, chwalił dom, jego rozkład, porównywał z własnym, mówił o wyspie Saint-Louis, o jej starożytnej architekturze, unikając wspomnienia zmarłej, ale daremne były jego wysiłki. Ona tu była, żyła dalej.... Wszystkie przedmioty wywoływały pamięć tej cichej, słodkiej kobiety, która dotykała ich swemi pięknemi rękoma. Oczy młodej pary bezwiednie błądziły od krosien do niemego pianina, od pianina do wzruszającego portretu, skąd uśmiechała się tak zagadkowo. Lecz przedewszystkiem żywą została w sercu nieszczęśliwego męża, który nią się tylko zajmował, o niej pragnął mówić.

— Tak, tu mi jest dobrze. Biedaczka moja, kochała to mieszkanie; urządzając je, myślałem o jej upodobaniach. Chciano mnie w Bretanji zatrzymać, ale nie mogę opuścić miasta, gdzie ona pragnęła pozostać, gdzie żyje tyle wspomnień ostatnich tygodni, spędzonych z nią razem. Długi czas siadywała tu w tym fotelu, który przysuwano do okna. Gdy przestała chodzić, już z łóżka z radością patrzała na zmieniający się wygląd ogrodu... więc rozumiecie, czem się stał dla mnie ten ogród...

Był zrezygnowany, spokojny, mówił łagodnie bez łez. Siedem miesięcy bólu zwalczyły

pierwszą gwałtowność rozpaczy. Tylko powieki miał opuszczone, a oczy bez blasku zagasłe.

— Zresztą, mówił, moja żona pragnęła, abym tu pozostał i praktykował. To była jej ostatnia prośba. Chciała, abym żył jeszcze po niej i wyznaczyła mi jasny program życia. Poddałem się jej woli... Widzisz, droga Reniu, to była jedna z tych kobiet, którym mężczyzna pozwala się prowadzić, nie wstydząc się tego... kochająca, oddana aż do zupełnego zaparcia się siebie, a której jasna i czysta dusza tym wyżej się wznosi im ona bardziej zatraca siebie w poświęceniu i miłości. Wobec niej byłem zaledwie uczniem. O, nasze życie było piękne!...

Renia czuła napływające łzy. Podniosła oczy na portret, ciekawa tej niezwykłej kobiety, która z męża swego zrobiła tak wyjątkową istotę li tylko siłą swej miłości.

Fernand głosem zmienionym ze wzruszenia zapytał zdziwiony:

— Praktykujesz, stryju?...

Wiedział, że stryj był zamożnym i prowadził życie skromne.

— O nie, nie praktykuję... daję czasem rady chorym tej dzielnicy...

Zarumienił się, widząc tajemnicę swą odkrytą.

— To było jej ostatnie życzenie... — tłomaczył się. — Nałożyła mi to jako obowiązek... Zresztą, praca to dobra rzecz, ona wiedziała o tem.

Fernand spojrzał z miłością na żonę, uśmiechnęła się do niego w porozumieniu. Oni także poznali miłość niezwykłą i gorącą i młody małżonek uczuł się dumny i pełen podziwu dla Reni, jej piękności i inteligencji, którą złożyła w ofierze miłości. I jego żona była kobietą wyjątkową. Renia zaś zazdrościła zmarłej tej po-

tęgi, która ją po śmierci przeżyła. Subtelnością człowieka, żyjącego poza życiem i widzącego rzeczy w przeszłości, wdowiec odczuł zaambarasowanie szczęśliwych małżonków, upojonych życiem, w tem Królestwie Cieniów, w którem on się czuł dobrze. Przezwyciężył się, aby powiedzieć:

— Ale mówmy o was, moje dzieci. Wasze szczęście jest mi drogie. Widzę w tem waszą delikatność, że nie mówicie mi o niem. Nie obawiajcie się, nie stałem się nieczułym, cieszę się waszem szczęściem...

— Tak, jesteśmy szczęśliwi... — odrzekł Fernand drżący.

Był uroczysty i wzruszony, bliskość Reni przyprawiała go o drżenie, patrzał na nią, gdy mówił to, a słowa jego miały nastrój pieśni.

Chcąc być uprzejmym, stryj odparł z uśmiechem:

— Sądzę, że medycyna obecnie niewielką gra rolę w życiu mej siostrzeniczki?

Lecz Renia, która dumna była ze swej równowagi i szczyciła się tem, że umiała pogodzić życie serca z życiem umysłowem, zawołała:

— Przeciwnie! nigdy tyle nie pracowałam, co teraz. O ósmej rano jestem w szpitalu, gdzie pozostaje do jedynastej i pół. O dwunastej spotykam się z mężem na śniadaniu. Po południu pracuję u siebie, albo w sali operacyjnej. O czwartej mam powtórną wizytę w szpitalu... nie mówiąc o pracach doświadczalnych, które mnie nieraz godzinami absorbują w laboratorjum. Nawet wieczorów nie mam wolnych, gdyż myślę o mej tezie doktorskiej. W tej chwili studjuję rozwój zaburzeń sercowych przy chorobach zakaźnych. Wtedy Fernand czyta swe naukowe przeglądy, paląc papierosy w gabine-

cie obok mego. Drzwi mamy otwarte, w razie potrzeby możemy rozmawiać z oddalenia.

Stryj przestał się uśmiechać, popatrzał na nią z dziwną przenikliwością, a smutna jego twarz sposępniała jeszcze więcej. Wyobrażał sobie pracowite wieczory tych dwojga małżonków-lekarzy, ich silne indywidualności i dwa ogniska życia. „Z oddalenia", mówiła Renia. Myślał o własnem życiu, o słodyczy wieczorów, spędzanych z żoną, która haftowała przy nim, przy tej samej lampie.

— W takim razie mało się widujecie?... — dodał, nie mogąc powstrzymać się od pytania.

— Ale za to, z jakąż przyjemnością się odnajdujemy! — zawołała młoda kobieta wesoło. — Jesteśmy rozsądnem małżeństwem, nie nadużywamy przyjemności obcowania z sobą. Raczymy się nią po kropelce, jak drogocennym nektarem.

Fernandowi, wrażliwszemu, nie uszło uwagi wrażenie, jakie słowa Reni wywarły na tym wielkim ekspercie rzeczy serca — bronił swej żony.

— Renia jest naturą tak wszechstronną, że może poświęcić całe swe zdolności umysłowe studjom, a zachować mimo to całą świeżość i zdolność serca. Nawet ma czas — o czem ci nie mówiła — uprzyjemniać mi dom.

Wdowiec zamilkł. Przyglądał się ciekawie młodym, przedewszystkiem Renia niepokoiła go. Nie rozumiał jej jeszcze. Chciałby był ją zatrzymać, przyjrzeć się lepiej tej towarzyszce człowieka, którego kochał uczuciem ojcowskiem, lecz młoda kobieta, czując się obserwowaną, wymykała się.

— Drogi stryju — rzekła serdecznie — muszę cię pożegnać. Jeszcze jestem studentką; obowiązek mnie wzywa na salę. Godzina się

zbliża, muszę jechać, ale możeby Fernand został?... Będzie ci miło, mój drogi, pozostać tu dłużej, prawda?

— Moje dzieci — rzekł Guéménée, patrząc uparcie w Renię — nie rozłączajcie się, nie rozłączajcie się nigdy z własnej winy. Gdy się jest małżeństwem, trzeba o ile można łączyć swe życia. Pamiętajcie o tem.

* * *

Na bulwarach Renia i Fernand, milcząc, przytulali się do siebie instynktownie. Wizyta ta wzruszyła ich. Podobni byli do wiernych, wychodzących z kościoła, gdzie przykłady gorącej wiary ostrzegły ich o ich obojętności. Szczególnie ostatnie słowa stryja, „trzeba łączyć swe życia", nurtowały młodą kobietę. Łączyć życie... to było hasło wielkiej miłości, gdyż padło z ust tego heroicznego kochanka. Łączyć swe życia... czyżby to było wyrzec się swego „ja", zatonąć w drugiej istocie, nie istnieć wcale?... I nagle przypomniała sobie, kim była: Teresą Herlinge, asystentką w szpitalu paryskim. W przypływie próżności wyprostowała się u ramienia męża. Oto temu skromnemu lekarzowi dzielnicowemu poświęciła swe sławne nazwisko, oddała siebie, swoją miłość: czuła się bardzo wspaniałomyślną. A potem, jakżeż go kochała mimo, że zachowała całą swą indywidualność! Z całem oddaniem oparła się o ramię męża.

— Mój drogi! — szeptała z czułością.

— Jak ci się podobał stryj? — zapytał Fernand.

— Dziwny i tajemniczy — odrzekła — to człowiek, który żyje z umarłą.

Zbliżyli się do muzeum Cluny. Świeża zieleń zaczęła okrywać niektóre drzewa skweru a z pośród zieleni wychylały się gotyckie fra-

gmenty, łuki, ogniwa, smukłe kolumny o wdzięcznych kapitelach — służyły za grzadki hałaśliwym wróblom.

— Dzień dobry państwu!

W cylindrze, w długim surducie, ciasno zapiętym stanął przed nimi Pautel. Wychodził ze swojej kliniki na ulicy Saint Severin.

— Chciałbym państwu słówko powiedzieć — rzekł po przywitaniu się z Renią. Szczęśliwy traf stawia mnie na waszej drodze, może pani Guéménć, oddając mi usługę, pomoże losowi. Ni mniej ni więcej chodzi...

— Co tobie, Pautel — zapytał Guéménć, rozbawiony nagłem pomieszaniem tego flegmatycznego zazwyczaj chłopca — coś taki niezdecydowany?

— Nic, nic mi nie jest; jestem zupełnie spokojny i nigdy jeszcze tak dobrze nie wiedziałem czego chcę, jak w tej chwili; to daje ogromny spokój umysłu. Postanowiłem poślubić kobietę, którą kocham. Gdy się widzi jasno swe życie przed sobą prosto i pewno zakreślone, wszelkie niepewności usunięte, to ma się, mój drogi, raczej uczucie przyjemne.

— A przedewszystkiem, gdy ta kobieta jest ładną — wtrącił Guéménć.

— I gdy ma zalety Diny — dodała Renia, wybuchając śmiechem.

— Skąd to wiecie? — pytał wystrászony Pautel.

— Skąd wiemy? Ależ to aż nadto widoczne. Od czasu, gdy pan uczęszczasz do szpitala, krążysz stale koło niej, masz tylko oczy dla niej, a gdy ona się oddala, poprawiasz bezwiednie binokle, aby ścigać jak najdłużej jej białą bluzę po sali.

Powietrze było łagodne. Guénémć zaproponował usiąść w cieniu drzew skweru.

— Pautel opowie nam historję swej miłości.

— Przepadam za takiemi — rzekła Renia — tylko o której godzinie dostanę się do szpitala?

Zajęli trzy krzesła. Kilku starszych panów czytało gazety na sąsiedniej ławce.

— Ożenię się z panną Skaroff, jeśli się zgodzi, mówił Pautel, udając większą pewność siebie, niż ją rzeczywiście posiadał. Oddawna pociągała mnie swym charakterem, myślę, że będziemy szczęśliwi; jest łagodna i poważna. W takiej kobiecie znajduje się przyjaciela.

— Dina! panie drogi — zawołała Renia — rozkochany jesteś, to się czuje mimo twego spokoju, ale gdybyś ją znał, jak ja, kochałbyś ją dziesięć razy więcej.

Pautel upuścił binokle, które wycierał rozmarzony. Niepewne oczy krótkowidza błądziły wdali, potem zapytał:

— Czyż mogę panią prosić o wstawienie się do niej za mną?

— Ależ bardzo chętnie, bardzo chętnie! — pospieszyła Renia. Zobaczę ją jutro w szpitalu. Przyjdź pan jutro do nas na śniadanie. Wypijemy na wasze zdrowie.

— O, nasze zdrowie! — rzekł Pautel smutnie.

— No, no, nie troskaj się, stary — pocieszał Guéménć, klepiąc go po ramieniu. Gdyby odmówiła, nie byłaby tą dobrą, sympatyczną dziewczyną, którą znamy... Ona miałażby cię niekochać, ta dzika gazela z temi swemi pięknemi oczyma, czychającemi tylko na miłość!... Te jej oczy tak czułe i niedowierzające zdradzają całą głębię jej osamotnienia. Prawda, Reniu?

Właściwie oboje brali trochę lekko tę jego historję miłosną. Jedna miłość ich zajmowała, wydawała im się wielką, pełną, olśniewającą:

to ich własna. Przez przyjaźń udawali żywe zainteresowanie się miłością młodego kolegi, Renia chciała coś odpowiedzieć, gdy Pautel zażenowany tem, o co miał ją prosić, wyrzucił z siebie słowo, nie przeczuwając, jakie będzie miało znaczenie dla dwojga małżonków.

— Czy pani przypuszcza, że porzuci medycynę?

Renia i Fernand spojrzeli na siebie. Co? znowu ten przykry problem przed nimi! Dość im już bólu ta kwestja sprawiła i samo jej wspomnienie budziło wątpliwość w ich duszach. Oczy Reni mówiły mężowi: „Czyście wy wszyscy zmówili się, aby knuć przeciw naszej wolności osobistej, naszej sławie? Nie wystarcza, że oddajemy wam serca, pieszczoty, wam trzeba posiąść aż nasz umysł, który zmuszacie do ograniczeń, naszą indywidualność więcej niż do połowy, już zdobytą.“ Oczy Fernanda mówiły żonie: „Widzisz, widzisz! on także chce ją całą. Nie byłem więc potworem!...“

Renia, śmiejąc się, odrzekła:

— Dla czego chcesz ją pan wyrwać z medycyny? Biedna mała!

— O! — wyjąkał Pautel, zażenowany podobieństwem sytuacji pani Guénémé — to moje osobiste zapatrywania. Nie mogę sobie wyobrazić siebie mężem kobiety-lekarza. Wy lekarki za mądre jesteście dla nas, przygniatacie nas waszą mądrością. Byłbym strasznie upokorzony, gdybym miał mniej umieć, niż moja żona. A przytem pod względem małżeństwa mam stare tradycyjne zapatrywania.

— Mój drogi, — odezwał się Guénémé z naiwnym zapałem — nie mamy prawa żądać od naszych żon podobnej ofiary. One są i zostaną mimo wszystko paniami swego życia. My

proponujemy im połączyć się z nami, lecz nie możemy żądać od nich całopalenia. Pragniemy towarzyszek a nie niewolnic. Trzeba szanować ich intelektualizm, ochraniać go, bronić w razie potrzeby a nie zabijać. O, to byłoby ohydne!

— Nigdy, nigdy prawdziwa studentka nie wyrzeknie się karjery, nawet dla miłości, — oświadczyła Renia. — Dina zapala się dziś do swego zawodu. W naszych studjach jest zawsze epoka zachwytu dla wiedzy. Ona ją przechodzi, obserwuję ją z bliska, od kilku tygodni pracuje z zapałem, który ją przeistoczył. Literalnie połyka książki.

— Zresztą, — wtrącił wesoło Guénémé — zdobyłem sobie prawo mówić o tych rzeczach. Masz u nas żywy przykład. Kochałem na tyle moją żonę, poślubiając ją, aby przyznać jej takie samo prawo istnienia w społeczeństwie, jak sobie. Umiemy się kochać mimo tożsamości naszych zajęć. Jesteśmy małżeństwem nowem, rozpoczynamy nową erę i to o pełnej harmonji i szczęściu.

A nuda — rzekła Renia — ten podstępny wąż dobrych małżeństw jest z góry pokonany. Wierz mi pan: w małżeństwie dobrze jest, gdy kobieta jest pracą zajęta.

— To prawda — odrzekł Pautel, który słuchał ich wywodzeń z powolnością i miną przekonanego; lecz mimo to zapytaj pani swą przyjaciółkę, czy poślubiając mnie, zechce stać się kobietą dawniejszą.

Pautel był człowiekiem północy, zimny, rozważny, zamknięty w sobie. Jego spokojny upór zirytował Renię.

— Jesteś pan uparty, jak widzę. Nie licz na mnie, abym się wstawiała za tobą, bo nie ja namawiać będę Dinę do złego czynu, a to, o co mnie prosisz, jest złym czynem.

Wstała, zapięła żakiet, wzięła rękawiczki i zabierając się do odejścia, cedziła dumnie z obrażoną miną.

— Zły czyn, słyszysz pan!

Guéméné promieniał, patrząc na nią. Wydała mu się dumną i śliczną Minerwą i tak zawsze kobiecą w tych swoich gniewach dziecinnych i nieuzasadnionych! Zadąsana odsunęła się od obydwóch mężczyzn. I oni wstali. Guéméné zwracając się do Pantela zobaczył, jak tenże pobladł, i żal mu się go zrobiło.

— Uspokój się, stary! Na nic się zdały takie rozprawy. Jeśli cię kocha, to wszystko zdobyte.

— Tak, ale jeśli mnie nie kocha, to po mnie.

— Słuchaj pan — rzekła Renia udobruchana, zbliżając się do niego. — Jestem zdecydowana zrobić to, czego żądasz odemnie, ale nie chcę tego na własną odpowiedzialność. Nie powiem jej nic w szpitalu, przyprowadzę ją na śniadanie i w naszem gniazdku, w atmosferze naszej małżeńskiej miłości dowie się o twojej miłości i o ofierze, której od niej żądasz.

Uścisnąwszy mu dłoń po przyjacielsku, zostawiła go rozmarzonego na ławce i szła trjumfująca przy boku męża. Guéméné usłyszał jak szeptała doń czule:

— Fernandzie, Fernandzie, dzięki ci za to, coś powiedział. Widzę, żeś mnie wreszcie zrozumiał. O ja wiem, co to szczęście!

Czuł ją drżącą u swego ramienia: szła rozkochana, pulsująca, trjumfująca w stronę ciemnych murów szpitala, którego portyk widać już było z drugiej strony wody. Przedstawiała idealny typ nowej kobiety. Umysłowa praca nie przeszkadzała żyć sercu, nie psuła jej młodości. Zagorzała w pracy studentka była najczulszą żoną.

ROZDZIAŁ IV.

Od czterech, pięciu tygodni Dina Skaroff zapracowywała się bez pamięci. Zbliżał się czas konkursu internistów. Najwięcej obawiała się pracy piśmiennej z patologji; przeglądała książki, a czyniła to teraz z całem zamiłowaniem. Czuła, że umie. Przerzucając stronicę, widziała przesuwający się, jak w panoramie bolesny zespół całej nędzy ludzkiej, przedstawiony bez osłonek, w kolorowanych rycinach — i z dumą myślała, że wszystko to posiada w pamięci. Wspomnienie krwawych autopsji, przykry odór prosektorjum, wstrętny widok ran, obrzydzenie, litość nawet — wszystko nabrało innego znaczenia: medycyna zmieniła się w wielki poemat, choroby w tajemnicze poruszenia komórek organicznych, terapja w walkę przeciw nieprzyjacielowi w tej mikroskopicznej epopei. Powaga wyrażeń naukowych, ich bezbarwność i obojętność idealizowały okropności patologiczne w delikatnym umyśle młodej dziewczyny. A nadzieja zdobycia z czasem autorytetu medycznego, przed którym kiedyś skłoni głowę klientela, zapalała nieraz wesołe iskierki nadziei w oczach biednej nieznanej studentki.

Ranki spędzała w szpitalu, w południe połykała szybko śniadanie w jakiej nędznej winiarni w głębi uliczki starego Paryża; w restauracji rosyjskiej przy ulicy Berthelot już jej nie widziano. O 2-giej była już przy pracy. O 6-tej gotowała sobie na maszynce jajka i herbatę — i to był jej obiad. Potem znów pogrą-

żała się w pracy, z płonącemi oczyma, rozpalonemi policzkami siadywała długo w noc. I tak, jak to się zawsze zdarza, znajdowała szczęście tam, gdzie śmiało po nie sięgnęła. Zatarła w sobie wspomnienie wzruszenia, którego doznała przy śniadaniu wobec Pautela; przez ostrożność nie wracała tam więcej. I dziś, kiedy przypadkiem przyszły jej na pamięć owe burzliwe minuty, jedyne w jej życiu, doznała zawrotu głowy. Szybko oddaliła wspomnienie. Cóżby się było z nią stało, gdyby Pautel był wówczas poprosił o jej miłość!...

Ale jak się opanowała! Dumną była z takiego zwycięstwa nad samą sobą. Dla nauki, która ją uratowała, powzięła dziwną czułość; w swej egzaltowanej wyobraźni słowiańskiej nadawała nawet postać ludzką tej opiekuńczej, macierzyńskiej medycynie, swej opatrzności.

Tymczasem około niej w Quartier Latin wszystko drgało życiem, młodością, weselem; miłość płynęła po ulicach podobna do wielkiej fali, toczącej swe wody. Widząc przy drzwiach winiarni tworzące się pary, które szły przechadzać się o zmroku, Dina litowała się nad kobietami i gardziła Francuzami, którzy bawili się w ten sposób. Ona rozumiała tylko jedną miłość — wieczną, niezłomnie wierną jednej istocie.

Pewnego wieczoru, powracając z uniwersytetu, zobaczyła na rogu bulwarów i ulicy Cujas dwoje całujących się kochanków. Młody człowiek wysoki, jasny student w berecie, odwrócony był do niej tyłem, ale jego sentymentalna i ładna kochanka ukazała Dinie na jedno oka mgnienie swą twarz rozpromienioną, jakby w ekstazie. Dina wpadła z pospiechem do swego pokoiku na 6-tem piętrze, i zamknawszy się w niem, oparła się nad książkami bez ochoty

do pracy i płakała długo. Życie było takie smutne!...

Życie było bardzo smutne, ale wesołym był ów ranek marcowy, kiedy nazajutrz młoda dziewczyna szła bulwarami do szpitala Hôtel-Dieu. Z teką pod ramieniem, w zniszczonym żakieciku szła szybko, poważna, bez marzeń. Drzewa na bulwarach miały wielkie pąki wezbrane sokami; głosy Paryża wznosiły się wesoło; polewacze z magistratu polewali ulicę, na skłonie błękitu wyniosła, złocona Sainte-Chapelle odcinała się strzelistą wieżycą, palącą się w słońcu. Dina skręciła na prawo, za chwilę przeszła próg Hôtel-Dieu i weszła na schody.

Renia Guéménė wyprzedziła ją i czekała w laboratorjum. Widząc wchodzącą Dinę, zatrzymała ją. Uścisnęły sobie dłonie.

— Dobrze idzie?

— Owszem, dziękuję.

Renia przyglądała się cudzoziemce z rozczuleniem. Walka z własnem sercem, z wrodzoną słabością wyżłobiła bolesny wyraz na jej miłej twarzyczce. Wiedząc, jak gorąco była kochaną przez dobrego Pautela, Renia cieszyła się nad cudowną sprawiedliwością życia. Tak zasługiwała na trochę szczęścia, ta mała Dina, taka samotna, biedna a taka dzielna!

— Nad czem interesującem pracujesz teraz? — zapytała młoda dziewczyna internistkę.

— O, nic nadzwyczajnego; zawsze jeszcze nad moją tezą.

Dina chciała przejść do garderoby, aby włożyć bluzę. Renia zatrzymała ją.

— Słuchaj, mój mąż chciałby z tobą pomówić... tak, o „bladze“ Boussarda... w kwestji twego konkursu... przyjdź do nas na śniadanie.

— Do was? — zapytała Dina.

— Tak... do nas, lepiej się rozmówicie.

Dina zastanowiła się chwileczkę. Dotychczas wspólne studja, wspólna praca w szpitalu, koleżeństwo zacierały różnicę między elegancką córką sławnego profesora a biedną studentką — Rosjanką w bawełnianej sukience. Zaproszenie Reni uprzytomniło jej własne ubóstwo i rzekła wesoło:

— Śniadanie u was, moja droga! cóż ty myślisz? patrz, jak jestem ubrana... Zgorszę waszego służącego.

I strzepując fałdy zniszczonej sukienki, pokazała łatane buciki.

— Tego się nie prezentuje, — rzekła. — W szpitalu mam bluzę, ale w waszym salonie...

Renia jeszcze bardziej rozczulona, uściskała ją.

— Jesteś przemiła! Jesteś Hygea, boginią zdrowia, córą Eskulapa, wspólnego nam wszystkim boga. Nie masz w ręku czary ani węża, ale masz wiedzę, która cię uczyni kiedyś wielką lekarką, o ile skończysz swe studja... normalnie... Czy myślisz, że to nie będzie dla mnie zaszczytem przyjmować u siebie kolegę tej miary? Trzebaby Francji dużo takich pracownic, jak ty, Dino, aby zdobyć kobiecie stanowisko lekarza.

Każda szła za myślą, która jej była drogą. Rosjanka rzekła poważnie:

— W dniu, w którym będę mogła zapracować na życie... elegancję — drwić sobie z niej będę, ale będę nosić porządne tualety.

Obydwie na chwilę zatopiły się w marzeniu; Renia pragnęła tryumfu emancypacji intelektualistek, Dina... wizyt po 2 franki, aby sobie kupić płaszcz sukienny taki, jak pani Lancelée.

— W łóżku nr. 7 jest nowa chora dla ciebie, Dino, — rzekła wreszcie młoda kobieta. — Zba-

daj jej serce, zanim mój ojciec przybędzie, — zapyta się o chorą.

Dina poszła do sali. Gdy Herlinge wszedł, otoczony swem audytorjum, podniosła oczy, aby się upewnić, że nie ma Pautela. Przychodził teraz rzadko. Mimo to ile razy otwierały się drzwi oszklone, rzucała ukradkiem wzrokiem, myśląc, że go zobaczy i drżała.

Podczas całej wizyty była wesoła. Herlinge egzaminował ją co do chorej. Śmiało wymówiła słowo „miocardite", co zgadzało się z diagnozą mistrza.

— Uzasadnij to pani, — rzekł sławny człowiek, przed którym drżeli najstarsi lekarze.

Bez wahania udowodniła. Zaproszenie Guéménów dodało jej pewności siebie. Cieszyła się na to jak dziecko. A potem jeśli w egzaminie ustnym wpadnie w pazury Boussarda, przyda jej się, jeśli pozna ulubiona jego pułapkę, którą studenci nazywają „blagą" profesora. Często profesorzy bywają natchnieni przez specjalne zdarzenia, dostarczane im przez pacjentów; w tym czasie w świecie lekarskim mówiono o głośnej kuracji przeprowadzonej przez Boussarda w rodzinie panującej. Dziecko wyleczono z choroby uszu. Prawdopodobnie to, co jej Guéméné chce powiedzieć, tyczyć się będzie kwestji tak miłej profesorowi.

Po wyjściu Herlinge'a Dina i Renia ubierały się razem. Jedna, używając za zwierciadło szybę laboratorjum, przyczepiała szpilkami ciemny kapelusz z eleganckiemi piórami, druga obojętnym ruchem włożyła na dwa pukle fryzowanych włosów wielki wypłowiały kapelusz filcowy, bez żadnej ozdoby.

Doszły do wyspy Saint Louis, rozmawiając o dokonanej dnia poprzedniego autopsji, przy której Renia asystowała.

— Mikroskopijne płuca, — mówiła — ot, tak wielkie, i nerki maleńkie, jak u lalki; minjaturowe organa i wiesz... miał lat trzydzieści!

— Spotkałaś już kiedy takie nierozwinięte organa? — pytała Dina nagle zainteresowana.

Bo w przeciwieństwie do mężczyzn, którzy w chwilach wolnych unikają kwestji medycznych, kobiety o nich rozprawiają, pragnąc się ciągle uczyć.

Przerwano im. Przed niemi szedł człowiek w wytartym palcie, prowadząc gromadkę hałaśliwych dzieci, składającą się z dwóch chłopców i dwóch dziewczynek.

— Patrz! pan Adeline, — zawołała Renia, która w urzędzie dobroczynności poznała męża doktorki.

Podniósł rękę, aby się ukłonić ceremonjalnie, w rękawie widać było brudny mankiet. Renia lubiła to pracowite stadło, gdzie kobieta pięknym przykładem zadawała kłam wszystkim dowodzeniom, jakoby nie można pogodzić zawodu lekarskiego z obowiązkami małżeńskiemi. Zatrzymała się, aby uścisnąć dłoń poczciwego pana Adelina. Stali na ulicy Cloitre przy Notre Dame. Obaj chłopcy wdrapali się na sztachety, siostry ich zrobiły to samo. Ojciec opowiadał:

— Idziemy z Morgi, jak nas panie widzą. Wielkanocne wakacje... trzeba je trochę uprzyjemnić dzieciom. Miały ochotę tam pójść. Doprawdy niewiadomo, co z niemi robić. Moja biedna Joanna nie może się dziećmi zająć: trzy połogi w trzech dniach a raczej w trzech nocach — wczoraj wieczór jeszcze dr. Artout telefonował po nią. W tej chwili jest przy operacji ślepej kiszki... Artout proteguje więcej panią Lancelée, rzecz jasna, ale czasem wzywa także Joannę, i jak na przekór telefon przycho-

dzi, gdy moja żona jest przy chorej całą noc! Więc bez odpoczynku jedzie rano.

— Operacja w dzielnicy Etoile więcej przynosi, niż połóg w ulicy Dauphiné, — rzekła Renia. — W tym wypadku pani Adeline powinna wybrać pierwsze.

Urzędnik przybrał minę konfidencjonalną.

— Między nami mówiąc, gdyby się było pewnym doktora Artout, Joanna mogłaby porzucić swoją klientelę, która jej mało przynosi, lecz gdy Artout wzywa mą żonę, to tylko dowód, że ta druga doktorka mu nie dopisuje. W tych warunkach nie można zaniedbywać klienteli, która jest pewniejsza.

Przerwał, aby rozdać kilka klapsów, które jakby cudem odczepiły całą czwórkę ze sztachetów. Dziewczynki dusiły się od śmiechu, chłopaki na nowo się wdrapywali.

— Chodźcie, chodźcie! trzeba wracać — mówił ojciec — ulica Buci jeszcze daleko, a o drugiej muszę być w biurze... Ach pani... te wakacje! te wakacje!...

Biedny człowiek wzbudzał litość. Tajemniczo pochylając się do Reni i zasłaniając usta brzegiem kapelusza, aby zagłuszyć słowa, szeptał:

— Najgorzej, że służąca ich bije, gdy sami zostaną w domu.

Zebrał swą gromadkę, kazał się ukłonić paniom. Renia, odchodząc, rzekła na pocieszenie:

— Ba! ale są zdrowi i mili...

Adeline miał lat czterdzieści cztery, był cichy, skromny, zrezygnowany. Bieliznę miał zmiętą, kapelusz zakurzony, ubranie zniszczone — wszystko zdradzało nieporządek. Z poddaniem znosił swe opuszczenie, a w ich gospo-

darstwie zdezorganizowanem żałował tylko żony. Dina zamyśliła się. Renia oświadczyła:

— Nie mogę sobie wytłomaczyć, skąd u nich ta bieda, gdyż ostatecznie każde z nich, tak mąż jak i żona, zarabiają...

Przeszły most Saint-Louis, wąska fasada małego domku ukazała się za drzewami.

— Cieszę się, Dino, że mogę ci mój dom pokazać — rzekła Renia.

Dina pomyślała, że i ona też kiedyś będzie miała swój w Petersburgu, i służbę, której, jak Renia, powierzy gospodarstwo i gabinet konsultacyjny, dokąd panie z arystokracji wchodzić będą z uszanowaniem. Gdy pani Guéméné wprowadziła ją do saloniku na pierwszem piętrze, poprosiła:

— Pokaż mi twój gabinet, Reniu.

Postanowiła bowiem umeblować swój gabinet podług mody paryskiej.

— Przeproszę cię na chwilę — rzekła Renia — muszę dopilnować śniadania..

Udawała ogromne staranie o swe gospodarstwo, jak to często czynią młode mężatki. Dom jej, jak u Herlinge'ów, składał się z trojga służby: kucharki, służącego i pokojowej. Służącym był Leon, który służył u doktora przed ślubem. Renia zabrała ze sobą kucharkę rodziców. Konieczność bycia przed dziewiątą w szpitalu, odejmowała jej możność wydawania rano rozporządzeń, stąd Rozalja była absolutną panią organizacji wewnętrznej. Aby jednakże podtrzymać swą zasadę możności połączenia obowiązków domowych z zawodem, po powrocie ze szpitala szła prosto do kuchni i ku wielkiemu niezadowoleniu starej sługi kazała sobie zdawać sprawę z całodziennego menu.

Tego dnia przyszło nawet do lekkiej burzy. Dina, czekając w saloniku, dosłyszała jej echa. Minutę później Renia powróciła, nie mogąc ukryć swego niezadowolenia.

— Rozalja jest nieznośna; zrobiła śniadanie, którego mój mąż nie tknie. Możnaby powiedzieć, że umyślnie wybrała potrawy, których najwięcej nie lubi. Kotlety z purée z cebulką — od czego ucieka — langoustę — do której ma wstręt i kurczęta pieczone, mimo, że dziesięć razy jej mówiłam, że mąż mój jada tylko kurczęta na zimno.

Potem opanowując się:

— Przepraszam cię, Dino, musi ci się to wydawać śmiesznem, ale widzisz, gdy się jest zamężną, te rzeczy nabierają wielkiego znaczenia. Żona, która kocha męża, musi się starać o jego wygody, prawda?

— Zupełnie nie wydaje mi się to śmiesznem, myślę tylko, że kobietom jak my, trudno jest być żonami.

— Dlaczego trudno? Wcale nie, moja droga, całą tę nieprzyjemność przypisać trzeba starej słudze, która zapomniała o mem zleceniu, tyle razy powtarzanem... Przeciwnie, pochlebiam sobie, że jestem dobrą żoną, a przedewszystkiem dobrą internistką!

Ktoś wchodził na schody; Renia uśmiechnęła się radośnie. Doktor wracał. Otworzył drzwi, uścisnął silnie dłoń Diny i ucałował żonę. Ranne wizyty męczyły go.

— Umieram z głodu!

Widać było radość, jaką sprawiał mu powrót do ładnie urządzonego domu, gotowego śniadania i czułej żony. Renia zrozpaczona zawołała:

— Mój ty biedaku kochany! mój biedaku!

— Co się stało?

Idąc do sali jadalnej, Renia tłomaczyła mu pomyłkę Rozalji, wyrecytowała nieszczęsne menu: cebulowe purée, langusta i pieczone kurczęta...

Rozczarowanie, gniew, potem chmurna rezygnacja odbiły się kolejno na twarzy doktora. Dina usłyszała szeptem wymówione słowa, których nie mógł powstrzymać:

— Do djabła!

Potem śmiał się z własnego niepowodzenia, a widząc zmartwienie Reni:

— No, no, mniejsza z tem, będę jadł przekąski. Niech mi jajka dadzą.

Kiedy siedli do stołu, Dina, która dotychczas zachowywała się ceremonjalnie, zapytała:

— Chciałeś mi pan powiedzieć jedną z „blag" Boussarda.

Fernand otworzył oczy:

— „Blag" Boussarda?

— Tak — rzekła Renia — wiesz przecież... dlaczego ją tu sprowadziliśmy!...

Popatrzyli na siebie, na Dinę, i wybuchnęli śmiechem, jak dzieci. Jedno na drugie spychało obowiązek powiedzenia.

— Powiedz ty, Fernandzie!

— Ależ nie, to twoja rzecz, Reniu, twoja rzecz.

Cudzoziemka przyglądała im się swemi pięknemi, zalęknionemi oczyma, w których malowało się zdziwienie. Gdy Renia pod jakimś pozorem oddaliła służącego, mąż jej odezwał się wreszcie:

— Panno Skaroff... pani jest bardzo kochana przez mego przyjaciela...

W tej chwili Renia przerwała mu:

— Tak, Dinetko, to to owa sławna „blaga" Boussarda! Nie o niego chodzi, ale o kogoś drugiego, który w tobie do szaleństwa rozko-

chany, do szaleństwa, moja droga... i aby ci to małżeństwo zaproponować, zaprosiliśmy cię do siebie. Powiedz... chcesz wyjść za mąż?

Obie ręce Diny drżące opadły na obrus, lecz ona pozostała niewzruszona. Daremnie Renia chciała ją przeniknąć. Młoda mężatka przypomniała sobie porównanie swego męża o pięknych oczach panny Skaroff, podobnych do oczu „gazeli". Będąc dziewczynką często głaskała w ogrodzie zoologicznym obłaskawione śliczne zwierzątka, dumne i smutne, które brały delikatnie z jej palców kawałeczki chleba. Patrząc na nią gazele miały owe oczy tajemnicze i słodkie, w których dziecko czytało doskonale: przyjaźń, pogardę albo obojętność. — Dusza cudzoziemek jest często dla nas również tajemniczą, jak dusza naszych niższych braci.

— Jak się nazywa wasz przyjaciel? — spytała młoda dziewczyna.

— To Pautel, moja droga... wiesz dobrze, Pautel, który przychodził często do kliniki...

— A...

I to było wszystko. Na ustach zjawił się uśmiech, powieki opadły, bladość pokryła policzki. Milczała. Widocznie uderzenie było zbyt silne, cała jej istota była niem poruszona. Niewątpliwie żałowała w tej chwili swej samotnej mansardy, gdzieby się mogła dowoli nacieszyć rozkosznym bólem swego wzruszenia. Tu panowała nad sobą.

— Kocha panią bardzo — rzekł Guéménć.

— A więc chce mnie poślubić?

— Doprawdy zasługuje, abyś mu pani dała trochę szczęścia. Bardzo cenię Pautela; to jeden z najzacniejszych ludzi, jakich znam; dobry, bardzo dobry człowiek.

Pierś Diny wznosiła się zwolna, lecz mimo wysiłku nad opanowaniem siebie, dwie łzy zabłysły na rzęsach i promień heroicznej miłości prawie dzikiej trysnął z jej głębokich źrenic.

— Tak, on jest dobry!... szepnęła gorąco.

Miłość tak długo odpychana weszła zwycięzka, owładnęła ją i przeistoczyła w jednej sekundzie. Słaba, osaczona gazela w strasznym myśliwym rozpoznała dobroczynnego pasterza, znalazła bezpieczne schronienie, opiekę i pieszczoty.

— Jakam ja szczęśliwa! taka byłam zmęczona samotnością! — rzekła poprostu.

Nie panowała nad swem wzruszeniem, przepraszając za nie swych gospodarzy. Fernand i Renia rozczuleni, milczeli. Prostota biednej dziewczyny wzruszyła ich szczerze. Prawdziwą przyjemność robiło im patrzeć na nią, tak naiwnie szczęśliwą z tego, że była kochaną po tylu utrapieniach, ukrywanych przez całą młodość.

Renia pochyliła się nad nią.

— Kochamy cię szczerze i twoje szczęście sprawia nam wielką radość. Wzięła jej rękę. Zostaniesz więc żoną Pautela?... tylko ten kochany przyjaciel ma specjalne swoje zapatrywania na małżeństwo... prosi cię o ofiarę, której pewnie nie zrobisz.

— Może moją religję? — pytała Dina.

Była prawosławną praktykującą i było w tem coś dziwnego, bo dużo z jej kolegów to zauważyło.

— Nie — rzekła Renia — ale twoją medycynę.

— A! — zawołała Dina, nie zdradzając swoich uczuć.

Wszyscy troje zamilkli. Dina rozmyślała. Miłość pracowała w tej duszy, jeszcze dziecię-

cej, mimo pewnej dojrzałości. Renia obserwowała przyjaciółkę, a przedewszystkiem Guéméné, przypominając sobie własne przejścia, z niepokojem oczekiwał odpowiedzi młodej dziewczyny. Wszedł służący, podając półmisek, obecność jego wniosła pewną rezerwę między biesiadników. Dina wzięła kawałek kurczęcia na talerz. Gdy służący wyszedł, wyprostowała się. Guéméné drgnął. Co powie? Zapał do zawodu weźmieli górę nad kobiecem pragnieniem podobania się temu, który ją wybrał?

— Żądanie jego nie dziwi mnie — rzekła wreszcie.

— Ależ, Dino — zawołała żywo młoda mężatka — myślę, że się nad tem zastanowisz...

— Już się zastanowiłam. Gdyby mnie o to nie był prosił, byłabym mu sama zaproponowała.

— Jakto! — zawołała Renia oburzona, więc twoja wiedza, twoja sztuka, wszystko, coś zdobyła, czem się stałaś, wszystko ma przepaść, wszystko zniknąć dla egoistycznego życzenia jednego mężczyzny!...

— To byłoby najmniejsze — odparła młoda dziewczyna, najmniejsze. Jestem biedną, nie jestem ładną, nie zwracam niczyjej uwagi. Pautel jest bogaty, ceniony, mówią, że ma świetną przyszłość. Jest wolny, szczęśliwy w swym kraju, mógłby się świetnie ożenić a bierze mnie. Nie będzie już tak wolny, będzie mniej bogaty, bo będzie miał żonę. Świetna przyszłość trudniejsza mu będzie do osiągnięcia, gdyż nie dam mu wysokich stosunków, któreby mu ją ułatwiły. Gdy mnie prosi, abym cała należała do niego, miałabym mu odmówić?... Nie, nie, aż nadto naturalne, że tego żąda.

— Naturalne? — zawołała Renia egzaltując się. — Kobieta w małżeństwie nie ma mieć prawa istnieć jako indywidualna jednostka, rozwijać się, iść za swemi upodobaniami, stwierdzić swoją odrębność. Dlatego, że zamężna, wyrzec ma się życia, które zaczęła jako panna?

— Żądasz dużo praw — odrzekła słodko Dina, ale nie myślisz o obowiązkach, jakie ma żona? Ja ich widzę dużo, i wychodząc zamąż z góry je przyjmuję i kocham. Zdaje mi się, że nie dorównujemy mężczyznom, jesteśmy tylko ich „asystentami", jak się mówi w Rosji; cała racja naszego bytu jest w tem: pomóc im żyć i uszczęśliwiać ich...

— Niewolnica więc!... —wybuchnęła Renia zadąsana.

— Nie używam tak wielkich słów, mówię poprostu żona, co znaczy, że kobieta, która nosi to miano, poświęciła się mężczyźnie. Jak się mówi po francusku w tym wypadku poświęciła czy oddała?

Doktor był mocno podniecony.

— Ależ panno Skaroff, kobieta-lekarz może się zupełnie oddać mężowi. Cieszę się dla Pautela z pani wspaniałomyślności, będzie ci wdzięczny za zastosowanie się do jego życzenia, ale wierz mi, że praktyka lekarska nie przeszkadza kobiecie wypełniać z oddaniem obowiązków żony.

Nie skończył, gdy drzwi od kredensu się otwarły, weszła Rozalja, stara kucharka, w czepeczku na siwiejących włosach, wysoka, gruba, w niebieskim fartuchu. Wniosła sama langusty. Z miną godną i obrażoną postawiła półmisek na stół i oświadczyła:

— Chciałam się usprawiedliwić przed panem doktorem i proszę mi wierzyć, że mi bardzo żal, bo pani była bardzo przykra dla mnie.

Nie mogę przeczuć gustów pana doktora. Pani mówi, że mi powiedziała, żeby nigdy nie podawać langusty, ani pieczonych kurcząt, ale rozkaz prędko z głowy uleci. Starszy pan Herlinge może poświadczyć, że, gdy służyłam u rodziców pani, nigdy starszy pan nie miał mi nic do zarzucenia, chyba, że pochwalił, ale tam było co innego. Starsza pani wydawała rozkazy i była zawsze przy tem, wiedziało się co robić...

Guéméné przerwał jej krótko:

— Już dobrze Rozaljo, rzecz skończona, nie wracajmy do niej.

Ale Renia zarumieniła się, jak gdyby honor jej był dotknięty.

— Nie można naprawdę wytrzymać z tą starą służbą — rzekła, wzruszając ramionami. Dlatego, że służyła u moich rodziców dziesięć lat, myśli, że jej wszystko wolno. Nie będę mogła jej zatrzymać.

Potem widząc pusty talerz męża:

— Jak mi przykro, jak mi przykro, mój biedaku.

Ambarasujące milczenie zapanowało w pokoju, Dina, idąc za swą myślą i sądząc, że rozerwie towarzyszy, zaczęła opowiadać.

— Spotkałyśmy przed chwilą pana Adeline, gdy prowadził na spacer swoją gromadkę. Wie pan, dokąd ich zaprowadzi? Do Morgue'i! słyszysz, doktorze, do Morgue'i! I śmiała się na wspomnienie zaambarasowanej miny poczciwego Adelina, ciągnącego za sobą swą niesforną bandę. I oto w czasie śniadaniowym między dwoma powrotami do biura, urządził tę żałobną wycieczkę. Przerażony figlami czworga urwiszów na wakacjach, przypominał tych pożałowania godnych wdowców, których się czasem widuje obarczonych dziećmi.

Tak opowiadała panna Skaroff.

— Możnaby go nazwać wdowcem. A przecież ma żonę i taką doskonałą! Ale cóż? jej zawód ją zamęcza. Wzywana każdej godziny i w dzień i w nocy, czyż może systematycznie zajmować się dobrobytem najbliższych?

— Kobieta-doktór nie powinna też mieć czworga dzieci! — zawołała Renia, którą ta rozmowa irytowała skrycie.

Kurcz przeszedł przez twarz Fernanda, w milczeniu kręcił wąsa. Zbladł. Możliwość macierzyństwa dla Reni — tak upragniona przez męża, a wzgardzona przez żonę — była cierniem w młodem małżeństwie. Oboje zgodnie unikali rozmowy na ten temat, a okoliczności złożyły się tak, że dotychczas dziecko, owa kwestja ukrytej niezgody, pozostało dla młodej kobiety groźbą, lecz oddaloną: przyzwyczaiła się mniej jej obawiać wobec tego, że czas płynął, nie dając jej tego, co nazywają „nadzieją".

— Co do mnie — oświadczyła Dina — przepadam za dziećmi.

— Należymy do istot żyjących w rodzinie, — rzekł Guémené rozmarzony. To potężny instynkt to nasze pragnienie potomstwa. Człowiek chce kontynuować siebie w życiu i mimo śmierci stwarzać sobie nowe przedmioty dla swego uczucia. Serce tak, jak ciało, ma swe potrzeby niezbędne.

— Z czterema urwisami, jak te Adelinów — rzekła śmiejąc się młoda Rosjanka, kobieta może zaspokoić dostatecznie swe pragnienia miłości, a jestem pewna, że ta nasza zacna doktorka z chęcią wyrzekłaby się medycyny.

— To dziwne, Dino, z jaką ty obojętnością mówisz o medycynie, a ja sądziłam, że masz tyle dla niej zapału! — rzekła Renia.

Dina zastanowiła się.

— Kochałam mój zawód — mówiła — i słusznie. Tylko jemu mogłam ufać. Był moim ratunkiem. Miał mnie żywić, poświęciłam mu się. Był moim mężem, rozumiesz mnie? Ale gdy znalazłam miłość, to, czego każda kobieta pragnie najwięcej... o! byłabym szaloną, gdybym się opierała. Nie uważasz tego?...

Zadzwoniono na dole przy drzwiach wchodowych. Guéméné wejrzał na zegarek.

— Pierwsza — rzekł. — Pacjenci... niech poczekają. Dziś moje śniadanie zjadam przy deserze.

Po chwili wszedł Leon.

— Pan dr. Pautel chciałby z panem pomówić.

Renia i mąż jej uśmiechnęli się; doktór rzekł:

— Pautel przyszedł po poradę, jest ciężko chory... Gdybyś pani poszła mu jej udzielić? w wypadku, o który chodzi zrobisz to najlepiej.

— To będzie moja pierwsza konsultacja — rzekła Dina — wstając od stołu.

Była blada i rozpromieniona; z pod falistych włosów zajaśniały wspaniale jej oczy piękne, słodkie i rozmiłowane, kiedy dodała:

— I ostatnia...

Radosne upojenie z uczynionej ofiary zrobiło z biednej dziewczyny w tej jednej chwili niezrównaną kobietę. Spokojna i szczęśliwa zwróciła się w stronę drzwi, swym lekkim, elastycznem chodem.

Wychodząc, uśmiechnęła się do swych przyjaciół, którzy objaśniali:

— Na drugiem piętrze drzwi na prawo... rozmówcie się sami.

— Za pięć minut przyjdźcie — prosiła.

Doktor z żoną kończyli śniadanie w milczeniu. Troska osiadła w ich duszach. Oboje myśleli o dopełniających się w tej chwili pod ich dachem zaręczynach. Były radosne, spokojne, bez chmurki; — myśleli o swoich, tak niewypowiedzianie smutnych. Ta dziwna Dina szła złożyć ofiarę ze swej sławy, swej wiedzy, osoby, słowem z całego swojego „ja“ z prostotą małej dziewczynki. Przykre porównanie przychodziło na myśl obojgu.

— Pójdziemy? — zapytał mąż.

— Zostawmy ich jeszcze samych — odrzekła Renia.

Pół godziny później otwierali drzwi do gabinetu Fernanda. Pautel miał oczy zaczerwienione, Dina nosiła jeszcze na swych delikatnych licach rumieniec i dumę pierwszego pocałunku. Guéménéowie złożyli im życzenia. Banalny przedstawiali widok, ten flegmatyczny młodzieniec z narzeczoną w lichej sukience, trzymający się za ręce, jak wieśniacy na fotografji. Dina Skaroff stawała się już tylko zwykłą panną, istotą przeznaczoną żyć w promieniu swego towarzysza. Kapłanka wiedzy, która przez tyle miesięcy obnosiła po paryskich szpitalach powagę białego munduru eksternistki i nadzieję wielkiej przyszłości, cofnęła się w cień mężczyzny. Lekarze nie zobaczą jej więcej, powoli przejdzie w zapomnienie. Reni wydawało się to smutnem jak pogrzeb, siliła się jednak na zwykłą uprzejmość.

— Masz szczęście, panie Pautel, tak, masz szczęście! I... i ty Dino, nie wyciągnęłaś złego losu. Będziecie tworzyć miłą parę... prawda Fernandzie?

Odwróciła się, szukając oczyma męża. Guéménć zniknął. Zajrzała do sąsiedniego pokoju — był pusty.

— Gdzie Fernand? — pytała.

Rod pretekstem pozostawienia zakochanych samych zeszła do salki jadalnej, wołając męża. Służba zbierała ze stołu. Przypuszczali, że pan jest na górze. Renia sama nie wiedziała dla czego jej serce ścisnęło się trwogą. Przebiegła szybko dwa piętra, aż się zadyszała.

Fernand był w sypialni, stał przy oknie, oddychał ciężko, pięście miał zaciśnięte, drżący cały.

— Co tobie? Mój Boże! co tobie? — zawołała przerażona.

Nie odpowiedział. Spostrzegła, że rysy jego były ściągnięte. Wziął ją w ramiona i zgniótł prawie w uścisku; z bezdennym smutkiem w oczach wykrztusił:

— Ja także chciałem mieć cię całą!

CZĘŚĆ III.

I.

Cały świat medyczny poruszony był w czerwcu przyjęciem Boussarda do Akademji Umiejętności. Laureat miał zaledwie czterdzieści sześć lat. Książka jego o terapji, a przedewszystkiem ostatnie jego dzieło o chorobie nerek, otworzyły mu podwoje Instytutu. Nie wiedziano właściwie, dlaczego stał się bożyszczem młodzieży. Związek studentów uchwalił ofiarować mu bronz artystyczny. Nazwisko Boussarda było na ustach wszystkich i zewsząd słychać było wykrzykniki zachwytu i podziwu. Sympatja, jaką obdarzali go sławni koledzy jego, była znaną ogólnie. Wszyscy go honorowali. Państwo Herlinge wydali obiad na jego cześć, zaprosiwszy ośmnaście osób.

Renia i jej mąż spóźnili się tego wieczora. Suknia zamówiona na ten dzień nie była gotowa. Krawcowa tłomaczyła się, że pani Guéménć trzy razy nie przyszła do przymierzenia. Wsadzono do dorożki dwie szwaczki wraz z nieskończoną suknią; miały ją na Reni wykończyć. Młoda kobieta śmiała się, mówiła, że pracuje dziesięć godzin na dzień a przymierzanie sukien nie wchodzi w zakres jej zadań. Mąż we fraku, w rękawiczkach przyglądał się żonie i uśmiechał rozkochany.

Gdy weszli do salonu rodziców, gdzie czternaście osób było już obecnych, przerwano rozmowę. Wszyscy powstali na ich powitanie. Tyle osób ruszających się naraz i otaczających

ją olśniły Renię w pierwszej chwili. Pierwsza pani Lancelée swą ciemną elegancką sylwetką, odznaczająca się zawsze w każdem towarzystwie, zwróciła jej uwagę. Potem Artout, którego wiek poważny, potężna postawa i głos donośny wyróżniały wszędzie, zbliżył się do niej. Poklepał ją lekko po ramieniu, jak młodszego kolegę, mówiąc głosem, który rozbrzmiał po całym salonie:

— I cóż? niema jeszcze nic małego?

Z miną poważną starego akuszera, przyglądał się jej figurze. Za nim ukazała się śniada twarz i piękna, assyryjska broda Gilbertusa. Ten, dzięki swojej zręczności, swoim manewrom i intrygom, zdołał się wcisnąć na listę zaproszonych gości u Herlingéów. Ubrany jak z igły, przybierał uroczyste pozy aktora. Renię bawiła osoba tego genjalnego szarlatana, i dziwiła poważna mina wśród tego kółka prawdziwych uczonych. Zdawało się, że cały ciężar medycznej wiedzy tkwi na jego bladem czole. W chwili, kiedy w milczeniu dla większej godności kłaniał się — ukazała się obok niego, czerwona toaleta a w niej elegancka, dobrze uczesana Dina Pautel. Śmiała się rozbawiona tem, że jej Renia nie poznała; a gdy ta tłómaczyła się wrażeniem tylu osób, młoda mężatka zaprotestowała:

— Nie, nie, nie poznałaś mnie. Coś mnie zmieniło: pewnie moja suknia.

Była przemiła i tak egzotyczna w czerwonych jedwabiach, z promieniami w rozkochanych oczach. Studentka z Rosji była już daleko; wraz z filcowym kapeluszem i bawełnianą sukienką zniknęła tajemnicza aureola młodej intelektualistki. Mówiąc, zapominała o swem poświęceniu, podnosiła jedynie dobroć swego męża.

— Jest po drugiej stronie salonu, tam przy kominku, rozmawia z panem Guéménć i Janivot — mówiła do Reni.

Młoda kobieta ujrzała rzeczywiście jasną głowę i binokle Pautela w grupie lekarzy, dyskutujących żywo. Artout trzymał się zdala; pociągnął we framugę okna młodego Bernarda de Bunod, wielkiego, bladego chłopca o oczach rozmarzonych i, aby odwrócić uwagę jego od pani Lancelée, której ten nie spuszczał z oczu, opowiadał mu jedną po drugiej ploteczki ze świata lekarskiego.

W tej samej chwili pani Herlinge zawołała:

— Kwandrans po ósmej! a Boussarda niema!

Niepokoiła się, że „risotto“ przyprawione rakami i truflami się nie uda, jeśli obiad będzie spóźniony. Była to osoba około lat pięćdziesięciu, dystyngowana, nieprzystępna, której jasne pasma włosów, nadawały wiek nieokreślony. Oczy miała zamglone, mówiła głosem stłumionym; subtelnym rzutem oka obejmowała cały salon, bacznie śledząc potrzeby każdego gościa. Siedziała obok pani Bounod, starszej osoby, o rysach surowych i białych włosach. Nieco dalej młoda osoba w ciemnej toalecie siedziała koło swojego męża chorobliwie wyglądającego, o przeraźliwie bladej twarzy. Stanowisko pacjentów wykluczało ich z grona uczonych. Byli odosobnieni, nie rozmawiając z nikim. Pani Herlinge spostrzegła ich osamotnienie, dała znak córce, zajętej Diną i panią Lancelée.

— Chodź, Reniu, przedstawię cię pani Jourdeaux.

Akcent macierzyńskiej dumy brzmiał w słowach, gdy wymawiała:

— Moja córka, doktorowa Guéméné, „asystentka szpitala Hotel-Dieu".

Młode kobiety zmierzyły się wzrokiem; były równie piękne, w równym wieku, równego wzrostu, tylko jedna kwitnąca szczęściem, druga o fizyognomji słodkiej, zrezygnowanej, wlokąca za sobą aż tutaj nieszczęśliwego męża, którego pożerała najstraszniejsza z chorób wewnętrznych — rak w wątrobie.

Koło fortepianu słychać było głos pani Lancelée:

— Boussard? Nie znam go prawie. Rzadko go widywałam.

Opodal duchem nieobecny, w pół drogi między rzeczywistością a światem wspomnień, gdzie odnajdywał swą towarzyszkę, stryj Guéméné z kąta salonu, patrzał obojętnie na tworzące się i rozchodzące grupy. Przyszedł tu z przywiązania do Reni, która go o to prosiła, myśląc, że go tem rozerwie. Nie łączyło go nic z tym światem. Zmęczone rysy, opadłe ramiona wyrażały zupełne oderwanie od życia. Lecz, gdy wzrok jego padł na chorego, podszedł do niego, jakby tknięty współczuciem. Milczący Jourdeaux stał się odrazu wymownym: wiedział, że jego interlokutor jest lekarzem, spieszył więc objaśnić go, że cierpi na raka w wątrobie. Pochlebiając sobie, że zainteresował zawodowca, przedstawiał się jako jeden z ciekawych *„wypadków"* i szeroko opowiedział swoje cierpienie.

Obojętne i zimne oczy doktora przybrały wyraz dziwnej słodyczy.

— Rak, mówisz pan?... A kto ci to powiedział?... Jaki lekarz może napewno postawić djagnozę raka we wątrobie?

— Czytałem książki lekarskie i porównując z łatwością do tego doszedłem — westchnął biedny człowiek.

— A gdybyś pan za rok był wyleczony — pytał poważnie dr. Guéméné z autorytetem, w którym brzmiało głębokie współczucie.

Coś jakby olśnienie przeszło po trupiej twarzy chorego. Odrobiną nadziei życia wlał w skazańca dziwny fluid szczęścia; wydał się choremu wielkim i potężnym jak Bóg.

— Spotkałem podobny wypadek. — mówił doktor, — gdzie wbrew wszelkim prognostykom chory do dziś jest zdrów. Lekarze....

Guéméné nie dokończył. Wszyscy zamilkli. Uroczysta cisza zaległa salon. Wdowiec odwrócił się i ujrzał łysego, wysokiego mężczyznę, witającego panią domu. Był to Boussard.

Herlinge, Artout i Janivot pospieszyli, aby mu dłoń uścisnąć; poruszenie było ogólne. Nastąpiła prezentacja. Pani Lancelée, przed którą wielki człowiek się skłonił, cofnęła się w głąb salonu, gdzie stała onieśmielona Dina, i rozpoczęła na nowo przerwaną pogawędkę.

— Niczego pani nie żałujesz? Jesteś szczęśliwa?

— O tak, bardzo szczęśliwą... Mąż mi codziennie dziękuje, a ja mu mówię, że nie ma za co.

Boussard poprawił monokl i szybkim rzutem oka objął doktorkę i nachylając się do Artout, rzekł:

— Czy nie była ona w roku 1898 ekstern istką w Beaujou w twoim oddziele? Czy to nie ta, którą dla jej niewzruszoności i letargicznego spokoju twoi uczniowie nazywali „Morfiną“

— A ona! — odrzekł Artout, wstrzymując się od śmiechu. To wielkiej wartości kobieta. Bardzo ją cenię. Nie można już drwić z lekarek mój drogi...

Zaanonsowano obiad.

— Doktor Adeline jeszcze nie przyszła — rzekła pani Herlinge — lecz prosiła, aby na nią nie czekać.

Przyjęła ramię Artout, Boussard podał swoje Reni, która już w przejściu z salonu do sali rozpoczęła z znakomitym kolegą rozmowę z dziedziny medycyny. Pan domu prowadził panią Bunod. Zbliżając się do zięcia, pani Herlinge szepnęła mu w ucho:

— Panią Jourdeaux... tam...

Fernand poszukał wzrokiem i odnalazł smutną kobietę. Zaledwie położyła rękę na jego ramieniu, a już zapytała:

— Pan jesteś zięciem pani Herlinge... także doktorem, prawda?

Odebrawszy twierdzącą odpowiedź, uczuła się pełną ufności. Nieszczęśliwi małżonkowie, z równą chciwością przyczepiali się do każdego, kto nosił tytuł lekarza. Herlinge'ów poznali w zeszłym roku w Vichy. Pani Herlinge zainteresowała się sympatyczną młodą kobietą. Pani Jourdeaux przejęta była jednem uczuciem — litością dla swego męża. Potoki światła w sali jadalnej, blask rzadkich kwiatów, śnieżna białość długiego stołu, delikatne złocenia porcelany, srebra, kryształy, olbrzymie owoce, cała ta świąteczna wesołość rozlana w atmosferze sali nie interesowała jej. W wirze biesiadników szukających przeznaczonych miejsc upatrywała swego chorego męża, aż znalazła go po stronie przeciwnej, między Janivotem a panią Lancelée. Natychmiast, za nim jeszcze siedli do stołu, wskazała go gestem Guéménowi.

— Oto tam, mój biedny mąż, doktorze.

Podano zupę. Powoli, wśród tłumionego brzęku łyżek zawiązywała się rozmowa. Usłyszano gruby głos profesora Artout, który pochwyciwszy kilka słów zamienionych między panią Jourdeaux a Fernandem — zawołał:

— Nadzwyczajne! słowo daję! Z tem wszystkiem, czego się obecnie uczą laicy, jesteśmy straceni. Łapią nas na każdym kroku, znają swoje choroby, dyskutują i dają wskazówki co do swego stanu. Powinno się zakazać w przeglądach ogłaszać artykuły z fizjologji i terapji... Bo cóż nam zostanie, jeżeli chorzy, wiedzą tyle co i my?

Trochę przerażona słodka pani Jourdeaux, podniosła na niego swe ciemne oczy, ale poczciwiec śmiał się, mimo groźnej swej miny; to też uspokojona, opowiadała dalej sąsiadowi przebieg cierpień swego męża.

Boussard, bohater dnia, mówił mało. Naprożno Renia starała się zawiązać z nim rozmowę o zaburzeniach sercowych, bardzo dla niej cenną. Nie dał się wciągnąć. Nawet gdy zwierzyła mu tajemnice swej tezy, odrzekł krótko:

— A! a! bardzo ciekawe... Winszuję pani.

I pogrążył się w swej zadumie. Właśnie w tym czasie, spotkał go dotkliwy zawód w życiu małżeńskiem. Rozwód był w toku. Mówiono, że był tym bardzo przejęty, zresztą była to jedna z tych cichych inteligencyj bez blasku, ale głęboka, podobna do źródeł o małej spokojnej powierzchni, lecz z wodą czystą i głębią nieznaną.

Między nim a siedzącą naprzeciw panią Lancelée, stał wazonik kryształowy z gałązką heliotropu. Wyciągnął rękę i odsunął go. Przez chwilę przyglądali się sobie swobodnie. Dok-

torka była bardzo piękną tego wieczora. Pod wspaniałym łukiem brwi paliły się jej oczy zmienne, ruchliwe, niespokojne, tragiczne. Podawano rybę, gdy z za portjery rozległ się śmiech Jeanne Adeline. Weszła, zdejmując rękawiczki, tłusta, jasna, ufryzowana. Drwiła sobie z wszelkiej etykiety, a gdy mężczyźni powstali, machała tłustemi rękoma, pachnącemi jeszcze mydłem antyseptycznem.

— Nie, nie, proszę siedzieć, inaczej znikam.

Siadła na pozostawionem dla niej miejscu obok Artout. Służący podał jej zupę. Opowiadała o swych dwunastu wizytach popołudniowych i kursie na ulicę Buci, aby się przebrać.

— I otóż jestem, — kończyła, — wzięłam dorożkę, żeby się mniej spóźnić.

Wszystkim przyszła ta sama myśl, że półtora franka za dorożkę umniejszyło o jedną wizytę, owe dwanaście popołudniowych.

Rozmowa stała się ogólną, poczem zeszła na kwestję kobiet-lekarzy. Oczywiście, że zawód lekarski przerastał siły kobiece, jednakże nowo-kreowane lekarki dawały dowody energji, siły woli, zupełnie nieznanej przeszłym pokoleniom. Koniec stołu, gdzie pięciu mężczyzn siedziało koło siebie, coraz bardziej się ożywiał. Elegancki Gilbertus utrzymywał, że żadna misja nie odpowiada tak kobiecie jak zawód lekarski. Kobieta-lekarz była dla niego wcieleniem siostry miłosierdzia. Biedny Jourdeaux, siedzący obok pani Lancelée, z trudem zdobył się na zdanie:

— Jak to musi być miło, być pielęgnowanym przez kobietę.

Janivot przeciwnie, bez względu na obecne panie, swe koleżanki, oburzał się na to:

— Kobiety mają płat czołowy mniejszej objętości, nie mogą rywalizować z mężczyznami w karjerze naukowej. Są to istoty nerwowe, wrażliwe, impulsywne — szkodzą nauce i kompromitują ją. Kobieta z natury dogmatyczna, zdolna tylko rejestrować naukę w swym mózgu, zacieśnia ją, nie umiejąc jej rozszerzyć, przystosować racjonalnie do nowego wypadku przez logiczne wnioskowanie. Przyswajają sobie książki — krzyczał wśród wrzawy całego stołu, naprzekór zaprzeczaniom oburzonej Reni — ale nigdy nic nowego nie wymyślą, a prawdziwy lekarz musi być niezmordowanym wynalazcą i stać ciągle na straży.

— On ma rację, ma rację — krzyczała komiczna pani Adeline, klaskając tłustemi rękoma ponad swoim talerzem — spojrzyjcie na mnie, wy wszyscy, którzy temu przeczycie i powiedzcie mi, jaką mam minę przy panu Artout!

— Siostry miłosierdzia! Gadaj zdrów Gilbertusie — wołał Janivot podniecony ogólnem ożywieniem. Spytajcie się tylko tych pań, czy ciekawość nie była w nich zawsze silniejsza od wrażliwości. Spytajcie, czy się wzruszają, czy płaczą a przedewszystkiem, dlaczego leczą chorych, czy jedynie litość dla ludzi doprowadziła je tam, gdzie są dzisiaj?

— Brawo — odezwała się głośno pani Bunod — która nienawidziła panią Lancelée za miłość, jaką ta wzbudziła w jej synu.

Artout śmiał się na całe gardło, uderzając pięścią w stół. Rzucić tak bezczelna krytykę w twarz obecnym lekarkom, wydawało mu się zbyt śmiałem, bawiło go to, zachwycało. Nie przeczył, zostawiając słowo Janivotowi i bawił się ogólnem osłupieniem. Znacznie mniej zadowolonym zdawał się być profesor Herlinge. Niebieskie jego oczy błyszczały twardym reflek-

sem w pergaminowej twarzy. Był dumny z córki, więc ta rozmowa irytowała go w duszy.

— W prezydenturze nie podzielają pańskiego zapatrywania — odezwał się wreszcie — mają zupełne zaufanie do pani Lancelée.

Zapach pieczystego rozszedł się w powietrzu; w gorącu lamp rozkwitłe kielichy kwiatów wydawały woń upajającą, podczas gdy wrzawa głosów wzmagała się coraz bardziej, służący Herlinge'ów obchodził stół, trzymając dwie omszałe butelki i wsuwając dyskretnie ich szyjki między siedzących, rzucał od czasu do czasu:

— Chateau Laffite?... Pomard?...

Artout, wysuwając głowę, aby spotkać wzrok Janivota, zawołał tonem, który wszystkich rozweselił.

— Co się tyczy kości czołowej, mój drogi kolego, to stawiam czoła tych pań, djablo wyżej, od niejednych czaszek męskich, kolega rozumie...

A Boussard, który dotąd milczał, dorzucił głosem cichym, sympatycznym kobietom:

— Przy dziecku są niezrównane, przed, w czasie i po urodzeniu... Znajduje w nich czasem niezrównane pomocnice. Jestem dla nich z całem uznaniem.

I jakby zażenowany swem odezwaniem się, sławny człowiek wypił łyk wody.

— O, zaczął znowu psychiatra, obawiając się, że poszedł za daleko. W każdej regule są wyjątki, dowodem tego, obecne tu panie. Nietylko swą pięknością interesują...

Boussard podniósł swą łysą głowę i skronie jakby w marmurze rzeźbione; jego oczy myślące i łagodne przesunęły się kolejno po współbiesiadnikach. Czuło się, że chce mówić. Zro-

biła się cisza, którą przerywało monotonne pytanie:

— Chateau Laffite?... Pomard?

— Jest tu między nami — zaczął wreszcie — młoda osoba była naszym kolegą, pracowita i dzielna kandydatka na internistkę, cudzoziemka, o ile sobie przypominam... Zwracano mi na nią uwagę. Przestała być studentką. Poślubiła jednego z naszych kolegów, a w dowód miłości, zrezygnowała ze swych ambicyj, z swej świetnej przyszłości. To wielka dusza, nie każda by to zrobiła.

Pani Herlinge, pochylając się w stronę Boussarda, wskazała Dinę, siedzącą między Bernardem de Bunod a stryjem Guéménė, uśmiechniętą i zarumienioną z radości. Rozkochane oczy gazeli zwrócone były na Pautela i jak w dniu zaręczyn powtarzała:

— O, to drobnostka... to drobnostka.

Wówczas uwaga wszystkich zwróciła się na Pautela, który prawdziwie miał chwilę triumfu. Był tym, któremu kobieta poświęciła całą swą świetną przyszłość. Jego klinika na ulicy Saint Severin dla sercowo chorych wyrobiła mu pewną sławę; ale o ile więcej ta jego miłosna historja, ten sensacyjny poetyczny podbój kobiety uczonej, która dla niego wyrzekła się sławy i zstąpiła do zwykłego codziennego życia cichej, dobrej żony! Zdawałoby się, że odziedziczył całą jej sławę. Mała gwiazdeczka, wznoszącą się w świecie nauki, gasnąc zlewała cały swój blask na gwiazdę towarzysza.

Z radosną pewnością siebie, jaką daje wielkie szczęście, rzekł:

— Mam nadzieję, że miłość moja nie pozwoli nigdy żałować mojej żonie tego, co dla mnie zrobiła.

Wówczas Boussard, zwracając się do Reni, rzekł prawie szeptem:

— Niech pani nie bierze jako naganę mojej admiracji dla tej młodej studentki, bo i pani na tem skończy.

— Ja? doktorze? Nigdy! nigdy! zawołała Renia gwałtownie, z właściwym sobie uporem. Ja, nigdy!

Fernandowi zrobiło się przykro. Apoteoza, której bohaterem stał się wśród tego uroczystego obiadu Pautel, przypomniała mu los jego własny. Jego szczęście małżeńskie wydało mu się znacznie mniejsze. Nie otrzymał nic, ani jednego ustępstwa, ani jednego wyrzeczenia się. Niemiłe uczucie, jakie nim owładnęło wobec tej owacji, dowodziło mu, że popełnili oboje błąd na samym początku swego związku. Dochodziły go urywki zdań tego, co Renia mówiła Boussardowi, o warunkach życia zamężnej lekarki, o prawach żon i prawach kobiet pracujących zawodowo. Odczuwał zapał, z jakim broniła swojej teorji, jej wzburzenie na myśl, że można było ją posądzić, iż gotowa była przyjąć, ona, jarzmo, w którem równają się wszystkie kochające kobiety. Gniew ogarniał Fernanda. W tej chwili lepiej ocenił swą zbolałą sąsiadkę. Znajdował ją zrazu mało inteligentną. Uważał nawet za brak taktu, tę niedyskretną konsultację, jaką z nim miała od początku obiadu, jakby słowa jego mogły uzdrowić chorego. Ale ta łagodna kobieta, delikatną intuicją swoją wyczuwała, że cierpiał i mówiła:

— Doktor Boussard nie powiedział wszystkiego. Kobieta powinna się czuć szczęśliwą, że pomimo swego zawodu, który zazwyczaj tak odstrasza, została poślubioną z wielkiej miłości. Potem opowiedziała jak dwa lata temu poznała

w Vichy pannę Herlinge. Jakże ją podziwiała! Jakże piękne porozumienie musi być w takim związku małżeńskim!... Onaby tak pragnęła być lekarzem, aby leczyć i pielęgnować męża!... Oczy jej szukały po drugiej stronie stołu Jourdeaux, który zamiast obiadu, wypił trochę mleka.

Pani Herlinge mało mieszała się do rozmowy, słuchała jednem uchem, nie jedząc prawie. Obserwowała talerze, szklanki, fizjognomje, podawane potrawy. Oczyma dawała tajemne rozkazy; między panią a służbą było tajne porozumienie. Obiad udał się znakomicie. Herlinge był uszczęśliwiony. Jego sławne obiady wzbudzały w nim równą próżność jak świetna djagnoza. Opowiadano sobie o nich w mieście i tem pobijał Boussarda, który przewyższał go talentem, śmiałością, inicjatywą naukową, lecz nie mógł w swym rozbitym domu, jako człowiek bez ogniska domowego, wydawać podobnych przyjęć.

Przy stole zapanowało ogólne podniecenie. Hałas wzrastał. Między Artout, Herlinge i Janivot z jednej strony a Boussardem z drugiej, powstała sprzeczka na temat seropatji w tuberkulozie. Trzej pierwsi zaprzeczali wartości małpiej surowicy dla człowieka, Boussard, przeciwnie, cytował fakta, dowodzące jej użyteczności. Odważnie stanęła Renia po jego stronie. Młoda, zapalna, wierzyła w serum silniej niż jej starsi koledzy. Zabrała głos; zamilkli wszyscy. Z oczyma pałającemi wiarą, szczerością, entuzjazmem, przeciwstawiała się Janivotowi, ojcu, nawet staremu Artout. Zresztą mogła dowodzić. Małpie serum zdobyła od kolegi z Hotel Dieu, który preparował je w instytucie — zaszczepiła białemu królikowi; byłaby sobie samej zaszczepiła z równą wiarą,

a w następstwie przyjęłaby chorobę bez zmrużenia powiek.

Boussard popierał ją; przytaczał argumenta mniej głośne, a więcej logiczne, oparte na analizie krwi; z pewną rezerwą potwierdzał podobieństwa organizmów człowieka i szympansa... Jego twierdzenia popierały wywody młodej kobiety i nadawały im pozór siły. Spełniło się marzenie całej jej młodości: dyskutowała z uczonymi, dorównywała im w rozumowaniu, dała się poznać, zmusiła uznać swą inteligencję.

Wszystkie zwierzęta zdechły w różnym przeciągu czasu zależnie od rodzaju; jedynie kotka przeżyła. Przez zręcznie zastosowany traumatyzm, wywołała uraz serca, niedomykalność klapki w następstwie szkarlatyny. Odtąd próbuje nowego sposobu leczenia, lecz to jej tajemnica.

Zwycięsko patrzała na Janivota. Czy odważy się jeszcze twierdzić o niedostatecznej wielkości jej zwojów mózgowych?

Pani Lancelée była milcząca. Coś dziwnego działo się z nią tego wieczora. Niektórzy myśleli, że jest zazdrosna o powodzenie Reni. Artout rzeczywiście oświadczył głośno, że „pani Guéménć wprawia go poprostu w zdumienie". Afektowany Gilbertus nie zawahał się powiedzieć, że „ten umysł kobiecy ukrywa może w sobie wielkie tajemnice wiedzy jutrzejszej". Morner uważał za śmieszne, że kobieta pracuje aż do tego stopnia.

Pani Bunod winszowała ojcu. Jeanne Adeline z wielkiem ożywieniem powtarzała Fernandowi Guéménć, sąsiadowi swemu z lewej strony:

— Pięknie! pięknie! Zuch kobieta ta pańska żona!

Boussard odezwał się:

— Dajesz pani przykład młodym lekarzom.

Pani Lancelée posiadała także własne laboratorjum. Pracowała w bakterjologji. Mogła była dużo powiedzieć w tej kwestji, ale milczała. Sądzono, że czuje się dotknięta. Jedynie Bernard de Bunod, który blady, z zębami zaciśniętemi obserwował Boussarda, domyślił się dlaczego pani Lancelée zachowywała się tak dziwnie.

Po skończonym deserze, goście przeszli do salonu na czarną kawę. Kwestja poruszona przez Renię zajmowała dalej towarzystwo. Fernand obserwował żonę: promieniała dumą i zadowoleniem. Po kawie mężczyźni w gabinecie pana Herlinge przy papierosach dyskutowali dalej nad trudnościami doświadczeń w seroterapji wobec niemożności robienia ich na właściwym terenie t. j. na człowieku. Przytaczano lekarzy, którzy sami próby te robili na sobie. Pautel poddał myśl, aby używać do tego celu kryminalistów skazanych na śmierć, co wywołało gorącą opozycję. Jedni uważali to za średniowieczne okrucieństwo, inni uznawali za słuszne, aby te wyrzutki społeczeństwa chociaż w ten sposób stały się użyteczne dla ogółu. Te i tym podobne punkty kazuistyki lekarskiej rozpatrywano. Boussard subtelniejszy od innych poruszył kwestję zastrzykiwań morfiny celem przyspieszenia końca bolesnej agonji. Pod tym względem miał dużo niepewności. Tam, gdzie zachodzi konflikt między etyką a uczuciem humanitarnem, czyż może decydować niekompetentne sumienie?

— Ja daję pierwszeństwo uczuciu humanitarnemu — ciągnął swym niskim głosem. Zadaję śmierć bez względu na etykę; wolę

czyn, za który sam cierpię, niż przedłużanie cierpień konającym.

Janivot uważał to za rzecz prostą.

— Trzeba być zwierzęciem, żeby, mogąc skrócić cierpienia, nie zrobić tego.

Z kolei zabrał głos Artout. Mówił o połogach. Narodziny nazywał świętem ludzkości. W dziecku widział nietykalną potęgę — ludzkość jutra. Stary ten kawaler o przysłowiowej surowości zasad, występował jako twórca istnień ludzkich, jako kapłan płodności, przywykły do ofiary i ofiarowywania nowonarodzonych życiu. Pragnął szybkiego rozmnażania się rasy, chciał widzieć ludzkość bujną, zalewającą ziemię. A gdy go pytano dlaczego, odpowiadał uroczyście:

— Są prawa tajemne, które przechodzą nasz rozum.

Pautel dowodził, że w żadnym razie niewolno się wahać poświęcać dziecko dla matki, gdyż matka jest żoną, istotą skończoną, dojrzałą... Dowodził zawzięcie, mając bezwiednie przed oczami swą ukochaną Dinę, o której wiedział, że jest w stanie odmiennym.

Rozmowa weszła na wspomnienia młodości. Wuj Guéménć, kończący studja w szpitalu Pitié, przypominał sobie różne anegdotki. Każdy dodawał swoje.

W ogólnem ożywieniu, jakie wznieca nikotyna, Fernand Guéménć nie brał udziału. Dusił się w pokoju, więc usunął się we framugę okna i żuł cygaro, zajęty myślą, która mu przed chwilą przyszła do głowy. Rumieniec oblał mu czoło, wzruszenie ściskało gardło. Nie słyszał, co mówiono około niego, słyszał ciągle Renię, hardą, pewną siebie, dowodzącą swej wartości, opowiadającą o swych poszuki-

waniach, przedstawiającą swe powodzenia, wciskającą się mimo swych lat dwudziestu pięciu, między najpierwsze sławy lekarskie. I mówił sobie: „Co ona o mnie może myśleć? Jak mnie ocenia?“...

W rzeczywistości czemże on był? Ot, skromnym nic nieznaczącym lekarzem dzielnicowym, nic więcej. A ona? jak wspaniale przedstawiała się przed chwilą obok Boussarda, tego księcia nauki, do którego dziennikarze przyjeżdżają na interwiew z najdalszych miast wschodnich! Śmiała przeciwstawić się Artout. Wobec niej zamilkł Janivot. Jakąż nędzną rolę grał on? Krew nabiegła mu do mózgu, waliła w skroniach. Głowa mu ciężyła. Nagle uświadomił sobie swą własną inteligencję zdrową, czynną, nie podniecaną dotąd żadną ambicją. Jak uderzenie biczem, upokorzenie wywołało w głębi jego jestestwa odruch obrażonej dumy. Czyż zawsze będzie tylko niedojrzałym chłopcem wobec Boussarda i dla Herlinge, dla wszystkich tylko mężem sławnej lekarki?

Długo wchłaniał w siebie świeże powietrze, cisnące się z ulicy. Spostrzegł, że dotąd cieszyło go tylko skromne uznanie, że nie troszczył się o nic więcej w swej bezpretensjonalności zwykłego człowieka. Teraz obudziło się w nim gorące pragnienie jakiegoś znaczenia. Patrzał na Boussarda palącego papierosy pod świecznikiem, zazdrościł mu. Zazdrościł nawet sześćdziesięciu lat majestatycznemu Artout, z którym zamieniłby swą młodość, byleby zaimponować Reni. Lecz co robić?... Wyobrażał sobie, że w dniu, w którym stanie się sławnym, ona ugnie się przed nim! Ale czy ona go kocha? Kto wie?... Łzy mu stanęły w oczach, ukrył je, patrząc na ulicę.

Gdy wrócono do salonu, państwo Jourdeaux właśnie wychodzili. Nieszczęśliwa piękna kobieta pospieszyła do Fernanda Guéménć. Wzbudził w niej ogromne zaufanie.

— Doktorze — prosiła go — zrób mi ten zaszczyt, zajmij się mym mężem. Proszę, przyjdź go jutro zbadać. Powiedziałeś mi dziś rzeczy, które mnie zastanowiły. Jestem przekonaną, że znajdziesz w nim to, czego inni nie dostrzegli.

Guéménć uśmiechnął się niezdecydowany. Pan Jourdeaux ze swej strony dodał:

— Wiem dobrze, że mój rachunek skończony; jednakże... gdyby spróbowano nowego leczenia... o, wszystko co zechcesz, doktorze... w twoje ręce się oddaję.

Guéménć spojrzał na niego. Błysk rozjaśnił jego oczy. Potem notując adres państwa Jourdeaux Boulevard Saint Martin, odrzekł:

— To zaszczyt dla mnie, proszę mi wierzyć.

Jadąc z powrotem do domu, Fernand zwrócił się do żony:

— Wiesz, państwo Jourdeaux prosili mnie, abym przyszedł zbadać chorego. Są przekonani, że go wyleczę. Cóżbyś ty o mnie pomyślała, gdyby mi się powiodła ta kuracja?

Wybuchnęła śmiechem, rzucając się w głąb powozu:

— Wyleczyć raka? mój biedaku drogi! czyś ty oszalał?

II.

Lato zapowiadało się bardzo gorące. Wyspa Saint-Louis, podobna do olbrzymiego kosza zieleni na powierzchni wód, ukazywała się zdala wśród żaru ulic, jak oaza chłodu i świeżości. Sekwana, zalana słońcem, odbijała miljardy swych ogni w fasadach domów; zdawała się toczyć roztopiony metal. Dom państwa Guéménć, zwrócony ukosem do zachodu, wystawiony był na upał całodzienny. Słońce pożerało go formalnie. Z rana pieściło promieniami skośnemi, w południe paliło tak, że farba popękała na ścianach. O czwartej pełnemi snopami wpadało przez szerokie okna, godząc w głąb pokoji. Wieczorem o siódmej i ósmej jeszcze tam było — dalekie, a zawsze widoczne, przebijało się przez gęste listowie topoli, mrugając maleńkiemi światełkami po tapetach ścian. Malutkie parowce przesuwały się bezustannie, śruby ich biły wodę, czyniąc hałas, podobny do koła młyńskiego. Gołębie krążyły około drzew — słychać je było o zmroku gruchające między gałęziami.

Fernand przebiegał wyspę we wszystkich kierunkach, to pieszo, to dorożką. Był przemęczony, gonił ostatkami sił. Wspomnienia krajobrazów Bretanji nęciły go. W oczach stawały mu pola, pokryte kwieciem, lasy druidycznych dębów lub niebieskie groty, śmiejące się do oceanu. Wyjechać! Wyjechać! Marzył, śnił o nich, niestety, rano budził go hałas ciężarowych wozów, toczących się po ulicy aux

Fleurs. Przyznał się Reni do swego chorobliwego stanu, do trawiącej żądzy wypoczynku. Lecz ona, zapamiętała w swych studjach, błagała go najczulszemi pieszczotami o trochę zwłoki; teza pochłaniała ją do tego stopnia, że nie miała odwagi przerwać pracy. Za sześć tygodni będzie gotowa. Wówczas skończą się także jej obserwacje kliniczne i będzie można pomyśleć o wypoczynku.

Upominała się o swe prawa do pracy z taką słodyczą i uległością, że Guéméné miał wyrzuty sumienia. Nie chciał jej skrzywdzić. Szacunek, jaki należał się dziełu tej wyjątkowej kobiety, poskramiał jego męską chęć rozkazywania. Zresztą zgodził się ustępować, o ile ważne powody nie będą wymagały użycia jego autorytetu.

Lipiec mijał, Renia nie opuszczała teraz prawie swego laboratorjum w Hôtel-Dieu. Na sali miała cztery stare kobiety, chore na serce. Jedna z nich umarła. Renia z prawdziwym entuzjazmem robiła sama sekcję. Badanie trwało długo, musiała uprzedzić męża, że śniadanie spożyje w szpitalu. Ręce poplamione nie pozwoliły jej nawet napisać słówka.

Laboratorjum roiło się od zwierzątek. Białe myszy kręciły się w pięciu słojach, napełnionych białą, jak one, watą. Szczury z różowemi pyszczkami drapały nerwowo szklanne ściany akwarjum. Między czterema nogami stołu ustawiono pudło z morskiemi świnkami. Większa ich część szczepiona i chora kuliła się w swych płowych futerkach. Inne zdrowe i wesołe siadały w słomie i drobniutkiemi, przedniemi łapkami, z minami poważnemi obrabiały swą toaletę. Pięć pięknych, tłustych królików w klatce gryzło marchew, a pod aparatem

w koszyku, spała chora na serce kotka, zwinięta w kłębek.

Renia hodowała bakcyle w rosole, w mleku, w syropie z kartofli; słoje najrozmaitszych form z mętnymi płynami zapełniały etażerki. Cienkie i zręczne palce, jak u młodej patrycjuszki, stworzone do koronek, jedwabi i haftów, gospodarzyły w tych strasznych flakonach zabójczych trucizn i plag ludzkości. Rozkoszując się swą straszną potęgą, rozkazywała febrze tyfoidalnej, szkarlatynie, dyfterji, nawet niewidocznym zarazkom tuberkulozy. Czuła się władczynią śmierci.

Ta praca dawała jej tyle przyjemności, że nie mogła się od niej oderwać. Pod kierunkiem ojca przeprowadzała kurację u pewnej chorej na serce i osiągnęła niespodziewane rezultaty. Nie opuszczała tej kobiety, sama robiła okłady, zapisywała obserwacje przydatne do swej tezy. Szpital absorbował ją do tego stopnia, że przyzwyczaiła się jadać śniadanie na sali. Powrót do domu zabierał tyle czasu, gdyż Fernand wracał często po pierwszej; czekała więc na niego bezczynna, z niecierpliwością myślała o swych przerwanych pracach. Jedząc śniadanie na miejscu, zyskiwała co dnia dwie godziny. Obawiała się, czy to nowe urządzenie nie będzie przykre mężowi, ale Fernand nie okazał żadnego niezadowolenia. Od czasu owego obiadu u Herlinge'ów zgadzał się chętnie na wszystkie jej wymagania. Spostrzegła to i była przekonana, że zachowanie się sławnych kolegów wobec niej wpłynęło tak na Fernanda. Chlubiła się tem, wyobrażając sobie, że nabrała większego znaczenia w oczach męża.

On ustąpił — bo ze swej strony, nie mówiąc nic żonie, oddał się nadzwyczajnej pracy.

Nie zaniedbując klienteli, podjął się badań w laboratorjum eksperymentalnem w Szkole Medycznej.

Starzy państwo Herlinge bawili w Szkocji; Artout w Szwajcarji; Boussard w Norwegji. Ilustrowane reklamy na wszystkich murach przypominały podróże. Widać tam było dymiące parowce, pociągi w biegu, śmiejące się wioski, różowe góry pomiędzy chmurami, bretońskie wieśniaczki, morze... Wielkich rozmiarów napisy: Bilety... Bilety powrotne... Bilety wycieczkowe... Bilety do kąpieli morskich... oplątywały umysł. Niemożność wyjazdu czyniła atmosferę tembardziej duszącą, zmęczenie tem cięższe, pragnienie ucieczki z Paryża tem gwałtowniejsze. Zgarbiony, z miną zmęczoną, chodził od pacjenta do pacjenta; potem trzy razy w tygodniu szedł na bulwar Saint-Michel do Szkoły Medycznej. Tam zamykał się w wielkich laboratorjach, gdzie słońce lało się przez ogromne okna.

Wieczorem spotykał się z żoną przy obiedzie. Jedno i drugie przemęczone skarżyło się na upał. O zmroku siadali w oknie, szukając trochę wieczornego chłodu. Ale gęsta ściana włoskich topoli tamowała przypływ świeżego powietrza: dusili się. Ani on, ani ona nie śmieli mówić o podróży, chociaż oboje o niej myśleli. Tulili się do siebie bez słowa, namiętnie, jak kochankowie w przypadkowych spotkaniach.

Gdy lampy zapalono, wracali do pracy, każde do swego gabinetu. Noc ich łączyła zmęczonych; nazajutrz od rana życie rozdzielało ich znowu.

Pewnego dnia doktor wrócił do domu cierpiący. Nie skarżył się. Znał zawodowe kłopoty Reni, tak różne od domowych trosk,

któremi przejmują się zwykle czułe małżonki. Położył się do łóżka wcześniej. Nazajutrz wyszedł o zwykłej godzinie, lecz w dorożce tak osłabł, że kazał zawrócić do domu. Chwiał się na nogach, miał zawrót głowy, mdłości i dreszcze. Przyszedł mu na myśl tyfus i szukał symptomów z dni poprzednich. Gdy służący przyszedł do niego, zaledwie mógł mu powiedzieć dwa słowa:

— Przygotuj mi łóżko...

Myślał, że Reni nie ma, że jej nie będzie przez cały dzień i uczuł bolesne opuszczenie. Gdy się położył, weszła stara Rozalja do pokoju. Widząc go tak chorym, chciała pójść uprzedzić panią w szpitalu, ale nie pozwolił przez wstydliwość kochanka, który czuje się niedostatecznie kochanym i ból swój pokrywa dyskrecją. Podniecała go gorzka przyjemność wykazania winy tej, która dla niego nic nie chciała poświęcić. Zresztą praca żony w laboratorjum nie znosiła nieprzewidzianej przerwy. Gdyby miała ją przerwać i powrócić, może nie mogłaby ukryć swego złego humoru... cóżby to była dla niego za męka! Oświadczył służbie, że jest tylko zmęczony.

Było to pierwsze niedomaganie od czasu ślubu. Cierpiał nad swem osamotnieniem gwałtownie, bezmiernie, wskutek rozpętanych nerwów i niepomiernej wrażliwości. Marzył o lekkiej chorobie przy Reni, zupełnie jemu oddanej. Wsuwałaby się cicho do pokoju, podawała ziółka i lekarstwa ruchami zakochanej, które tak podniecają. Uspakajałaby go samą swą obecnością, łagodnym uśmiechem, widokiem odbitym w lustrze, swem milczeniem. Chwilami wyobrażał ją sobie u wezgłowia... Nic z tego; ona była daleko, nie myślała o nim,

zajęta przekładaniem jadowitych zarazków do słojów.

Wzywał ją, sugestjonował do powrotu, wierząc w cudowną moc telepatji. Uderzenia kiwi waliły mu w uszach, odpowiadając rytmowi zegara. Ogarnęła go straszna nuda; próbował zasnąć. Obudziwszy się po krótkiej drzemce, myślał, że już schyłek dnia; tymczasem zegar wskazywał pierwszą. Od tej chwili, co pięć minut patrzył na godzinę. W przerwach liczył kwiaty na tapetach, wykrywał fantastyczne figury. Zmierzył temperaturę, rozwiązywał w pamięci zadania arytmetyczne, starał się przypomnieć sobie nazwy wszystkich muskułów człowieka; ból głowy ubezwładniał go.

Chciał już posłać po Renię, lecz się opanował. Decydując się żenić ze studentką, czyż nie zobowiązał się szanować jej zawodu?... Czyż mógł się spodziewać od niej tego całkowitego poświęcenia kobiety, oddanej tylko swemu ognisku? Nie! To był tylko wspólnik, któremu nie powinien przeszkadzać w pracy. Trzeba się przyzwyczaić do tej trochę oryginalnej koncepcji małżeństwa. Lecz co będzie, gdy ona zostanie lekarzem? Czy mąż liczy się wobec pacjentów doktora-kobiety? Myśl jego mimo wysiłków wracała stale do Reni. Wyobrażał sobie, że jest przy nim, piękne czarne włosy, rozsypane na poduszce, okalające twarz jej o delikatnych rysach. Przypominał ją sobie z rozpaczą, jakby ją był stracił... Potem podnosił się w nim gniew przeciwko niej. Jakże skąpą była ta jej miłość! Jak się rezerwowała, nie dając nic ponadto, co najkonieczniejsze, targując się o resztę, żyjąc poza nim, odmawiając całkowitego zlania się ich egzystencyj... Przypomniał sobie wszystkie przykrości,

smutki, niby drobne, a okrutne i niezliczone, które mu wyrządzała od siedmiu miesięcy. Wreszcie popadł w śmiertelny smutek — nigdy nie będzie szczęśliwy, jego życie chybione...

O szóstej drzwi się nagle otworzyły i Renia weszła zadyszana, przerażona, pobladła.

— Mój drogi! mój jedyny! co tobie?

Oparł się na poduszce, przycisnął ją do siebie. W radości, że ją odzyskał, zapomniał, co jej chciał powiedzieć.

Gdy się zmęczyli pocałunkami, pytała strapiona:

— Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? szpital o dwa kroki...

— Chciałem się wyleczyć, nauczyć się obywać bez ciebie. Ale nie mogę, Reniu, nie mogę.

Młoda kobieta drgnęła: skarga męża dotknęła ją do żywego. Niczego się nie dopominał, żadnego pragnienia nie określił, nie wyjawił woli. Lecz ona zesztywniała — jak gdyby chciał siłą zabrać jej wolność, a ona musiała się bronić. Był zazdrosny o jej medycynę, widziała to każdego dnia, i ta drażliwość miłości jego więcej jej pochlebiała niż obrażała. Jakiej siły potrzeba kobiecie, aby walczyć stale przeciw niewyrażonemu życzeniu i niemej prośbie męża, którego uwielbia. Prowadziła dwa życia równie pełne, namiętne, intensywne: życie miłości, rozwijające się przy ognisku rodzinnem i życie intelektualne w atmosferze szpitala. Odebrać jej jedno z tych egzystencyj, to uczynić ją najnieszczęśliwszą istotą. A Fernand pracował nad tem; chciał zniweczyć to drugie życie wraz z jego radościami, wysiłkiem i ambicją. Była to okrutna walka i nie było dnia, aby jej nie ścigał słowem, zachowaniem, albo skargą, jak ta, która mu się wyrwała. Renia

drżała z trwogi, bo każdemu z tych niemych pragnień męża, odpowiadał w niej poryw wspaniałomyślności, pragnienie poświęcenia się wstrzymywane tylko refleksją. Lecz czyż nie ulegnie pewnego dnia? Czyż wytrwa do końca mimo zasadzek i zdrad własnego serca?...

Fernand wyzdrowiał nazajutrz; była to zwykła febra. Renia musiała go opuścić, gdyż o 2-giej miała wizytę w szpitalu, lecz w dwie godziny powróciła. Zatrzymała go w łóżku.

— Jedźmy do Bretanji, dobrze? — rzekła do niego czule. Jedźmy zaraz.

Popatrzał na nią zdziwiony.

— A twoja teza?... Twoja chora w obserwacji?... Twoje masarze serca?...

— Mój drogi — zawołała, jakby w porywie wewnętrznego oburzenia. — Wszystko to mało mnie obchodzi z chwilą, gdy twe zdrowie narażone. I moja teza mi obojętna, gdy ty cierpisz. Co do mej chorej, prawda, był to wypadek bardzo interesujący, ale obejdę się bez niej... i nikt nie zauważy luki w mych obserwacjach.

Guéméné wchłaniał te słowa tak czułego zaparcia się; radość upajała go. Poświęcenie się Reni uważał za nadzwyczajne; zaledwie śmiał je przyjąć...

— O kochana moja! moja! — mówił, całując ją po rękach. Czym ja godzien ciebie?

Renia promieniała. Nareszcie przekonają się, czy jest złą żoną, zobaczą, że ona także umie się poświęcać, że mąż u niej na pierwszem miejscu, może teraz przestaną stawiać jej przy każdej sposobności w dyskretnych, zawoalowanych aluzjach przykład Diny...

Spędzili nad morzem cały wrzesień. Guéméné zaznał tu wymarzonego szczęścia. Wszystkie niepokoje, udręczenia opuściły go.

Poco się było tak niepotrzebnie i złośliwie irytować na Renię? Czyż nie jest idealną małżonką, gotową dla niego zapomnieć o sobie, poświęcić się, dla jego dobra zaniedbać najbardziej pociągające studja? Nie rozłączali się; kochali się wesołą, młodzieńczą miłością, przechodząc z pocałunków do uśmiechów. Złączeni spacerowali po drobnym piasku wybrzeża, całowali się w zagłębieniach grot, na zakrętach dróg, na drodze nawet, a przechodnie zatrzymywali się, aby przyglądać się pięknej, zakochanej parze.

W końcu Renia zaczęła tęsknić za szpitalem. Myśl o tezie trapiła ją, jak obowiązek niespełniony. Niepokoiła się swemi bakcylami, zwierzątkami, myślała o szarej kotce, białych królikach i świnkach morskich... Rano pierwszego października była w Hôtel-Dieu.

Rozpoczął się teraz dla niej czas gorączkowej pracy. Chciała zdobyć wszystkie wiadomości, jakie praktyka w szpitalach może dać poważnemu studentowi; postanowiła zmienić szpital. Przeszła do Boussarda do Charité. Oddalenie, jakie dzieli wyspę Saint-Louis od ulicy Jacob, męczyło ją strasznie; musiała się wyrzec śniadania w domu. Wychodziła rano, wracała dopiero wieczorem. Przytem studja bakterjologiczne wymagały eksperymentów na psach, a że małe laboratorjum Boussarda nie mogło trzymać tak dużych zwierząt, musiała pójść do Szkoły Medycznej. Drugiego dnia spotkała na schodach męża.

— Co ty tu robisz? — zawołała zdziwiona.

I oto na stopniu szerokich schodów Szkoły, przekomarzając się z radości i niespodziewanego zobaczenia swej żony, odkrył jej w kilku słowach swą tajemnicę. Zainteresował się

cierpieniem Jourdeaux; w raku widział infekcję. Szukał...

— Czego? — pytała Renia — niedowierzając.

— Wszystko jedno — rzekł — a jeśli znajdę?

Od tego dnia spotykali się tam nieraz przypadkiem. Spotkania te były krótkie. Całowali się ukradkiem między dwoma oknami, zamieniali szybko kilka słów i rozłączali, aby potem z oddalenia kilku metrów obrócić się jeszcze i uśmiechnąć do siebie; kroki ich rozlegały się na podłodze pustych korytarzy. Ona udawała się do patologji, on do terapji.

Klinika Boussarda pasjonowała Renię. Ten człowiek marmurowy, niezgłębiony, przy łóżku chorego nabierał słodkiej wymowy. Młoda kobieta nie przypuszczała, ile nowych rzeczy nauczy się w sztuce djagnozy, rzeczy niepisanych w książkach, wiedzy niedrukowanej, ale osobistej z wyniku obserwacji, własnego genjuszu medycznego, które przechodząc w ucznia dobrze przygotowanego, czynią z niego drugiego mistrza. Boussard formował Renię, przygotowywał ją po mistrzowsku do karjery. Każdego dnia szła do jego kliniki z lekkiem sercem kobiety, którą wielka radość czeka.

Pewnego ranka przy wstawaniu zemdlała. Przerażony Fernand pochwycił ją i przywołał służbę. Lecz ona przyszedłszy do siebie, oddaliła obie służące; siedziała blada z wyrazem niewytłomaczonego smutku w głębi załzawionych oczu.

— Cierpisz? — zapytał Fernand przerażony.

Zaprzeczyła głową.

— Ależ jesteś chora, Reniu! Co ci się stało?

— Wiem, co mi jest — odrzekła — to omdlenie objaśniło mnie.

Padła na fotel, ręce zwiesiła w niewypowiedzianem zniechęceniu, potem z jej oczu trysnęły łzy, płynęły wolno, coraz obfitsze w miarę, jak myśl wyraźna koncentrowała się w jej wzroku.

— Reniu! — krzyknął Fernand.

Zerwała się gwałtownie, zarzuciła mu ramiona na szyję i, łkając, zwierzała swą troskę ze słodyczą, w której tkwiła gorąca wymówka.

— Tyś tego chciał, najdroższy, tyś tego chciał! Tak nam było dobrze bez tego dziecka! Wystarczaliśmy sobie, byliśmy dla siebie wszystkiem, a teraz ileż niepokoju, ileż zamieszania!

Guéménć wyprostował się, wziął obie jej dłonie i rzekł rozkazująco:

— Nie płacz, Reniu! Jestem bardzo szczęśliwy!

Drżał, przyglądając jej się ze czcią, powtarzał:

— Dziecko! dziecko od ciebie!... nasze dziecko!... istnieje... żyje... Nie rozumiesz tego? Odtąd my nieśmiertelni, uwiecznieni — ono będzie tobą, mną, przedłuży nasze życie... Dziecko z ciebie... Co za tajemnica! O Reniu, zdaje mi się, że kocham cię mocniej, wiedząc, iż jesteś matką... Ty matką jesteś, Reniu, matką!

Egzaltował się, przypatrując się żonie, jakby ona pierwsza nosiła w swem łonie potomstwo. Wymawiał słowa bez związku, robił wrażenie człowieka pijanego. Ta gwałtowna jego radość obraziła ją.

— Jednej myśli nie masz dla mnie w swej naiwnej dumie ojcowskiej. Nie czujesz, że rozwiały się wszystkie sny moje, ani tego, co

ten stan czyni ze mnie, która miałam tyle nowych idei, projektów, pragnień!... Czyż nie jestem bardziej interesującą niż ta istotka zaledwie poczęta, która wprawia w drżenie twój instynkt ojcowski?... Czy ja jestem człowiekiem wolnym, który ma prawo wyboru swego życia albo też biernem narzędziem poddanem genjuszowi rodzaju, prostem ogniwem w łańcuchu ludzkości?... Zapewne, że będę kochała to dziecko, które się urodzi; nie jestem potworem, będę je kochała prawem natury, jak zwierzę kocha swe małe. Ale jego nie było, kilka dni temu nie istniało, nie pragnęłam go. życie miałam urządzone. Ostatni rok pracy zapowiadał się wspaniale. Teza wykończona byłaby zrobiła wrażenie, otworzyła mi drogę do sławy. Czwarty rok internatu się kończył, któż byłby mi zabronił zostać szefem w szpitalu dziecięcym? Przeszkoda przyszła, „stworzenie", jak mówisz tak dumnie! Muszę wziąść urlop. Do czegóż będę zdolna przez te dziewięć miesięcy choroby?... A potem dopieroż będzie wygoda z urządzeniem domu, z pacjentami, z tem dzieckiem, z mamką...

— Z mamką? — zawołał żywo Guéménć. Nie będziesz karmiła sama?

— O, co to, to nie! — zawołała z mocą. — Dziewięć miesięcy można wytrzymać, ale nie trzydzieści sześć!

Guéménć wyprostował się i patrząc niedowierzająco:

— Moim klientkom, jako warunek mego przybycia do połogu, stawiam zobowiązanie się do karmienia swych niemowląt.

— W takim razie — rzekła Renia głosem zmienionym — wezmę Artout.

Nie płakała, padła na fotel drżąca, nie mogąc przeszkodzić zniweczeniu swoich nadziei.

On chodził po pokoju wielkiemi krokami. Cisza — cisza pierwszego ich poważnego nieporozumienia zawisła, oddzielając ich jakby grubym murem.

— Pomyśleć, że nie masz jednego słowa współczucia, litości dla mnie — rzekła Renia gorzko.

Zatrzymał się, gniewem drgnęły mu kąciki ust.

— Litości? że szczęśliwa, kochana, młoda i zdrowa rozwiniesz się normalnie w macierzyństwie?... Czy, rodząc dziecko, poniżasz się?... Czy to jaka hańba?... Nie chcesz być narzędziem na usługach sił życia; lecz czy się dyskutuje nad prawami natury? „Są prawa tajemne, które przechodzą nasz rozum — mówi Artout — nie depce się po nich, o ile się nie jest anormalnym". Naprawdę, pytam, czem wy chcecie być, wy intelektualistki, nowoczesne Amazonki, jeśli nie chcecie być kobietami!

Odparła wolno:

— Byłam niezależna, spokojna, szczęśliwa, wolność była mi przewodnikiem, zależałam tylko od siebie samej, ale zgodziłam się na niewolę... Ha! teraz rozumiem panią Lancelée!...

Potem, podnosząc wzrok na męża, i czując, jaki mu ból sprawia, wybuchnęła znowu płaczem.

— Przebacz mi, przebacz! — błagała wyciągając ramiona. — Zapomnij to, co powiedziałam... Niczego nie żałuję, kocham cię... Tylko zrozum, że bardzo cierpię nad zniweczeniem mych marzeń, które mi były tak drogie.

Przebaczył, porwany namiętną czułością dla tej wyjątkowej kobiety, w której odtąd widział dwa istniejące przedmioty miłości. Lecz nieuleczalny smutek w nim pozostał. Pełen kultu dla tradycji i dla życia rodzinnego,

myślał o swem małżeństwie anormalnem, tak różnem od tego, o którem marzył. Co za fatalna pomyłka to jego małżeństwo!

— Biedna moja Reniu! — westchnął ciężko. Moja biedna Reniu!...

Nie mówił o bezmiernym smutku, który go gnębił. Zrezygnowany, zadowolnił się półszczęściem; będzie pracował.

Zresztą, ostrożności, które musi jego żona zachować, zatrzymywać ją będą w domu. Myśl ta, jak również duma ojcostwa, rozweseliły go. Sam poszedł do Charité do Boussarda, aby go uprzedzić, co spowodowało młodą internistkę do opuszczenia tak nagle szpitala. Spotkał sławnego człowieka, gdy ze swymi uczniami przechodził z jednej sali do drugiej i nie zwlekając, na środku korytarza, powiedział mu do ucha wielką nowinę. Boussard, który był także jego profesorem, uśmiechnął się, uścisnął mu dłoń, winszując.

— A przedewszystkiem — mówił — żadnych studjów podczas ciąży!... Zresztą, mój drogi, masz żonę czarującą, niezwykle inteligentną — byłem zawsze dla niej pełen podziwu. Otóż dzięki temu dziecku będziesz ją miał więcej dla siebie. Medycyna obędzie się bez niej łatwiej, niż niemowlę. Założmy się, że gdy urodzi dziecko, nie otworzy więcej książki.

Guéménée odparł stanowczo:

— Moja żona nigdy nie porzuci medycyny, wiem o tem. Zresztą uważam za moją powinność nie żądać tego od niej.

Nie zauważył lekkiego ruchu Boussarda. Widział tylko, że był bledszy niż zazwyczaj, smutny i poważny w szpitalnej bluzie, w fartuchu i sztywnym kołnierzu, wspierającym jego siwiejącą głowę.

Przed trzema tygodniami otrzymał rozwód. W czterdziestym szóstym roku życia znalazł się sam, wolny, bez ogniska domowego, z pragnieniem życia rodzinnego, z potrzebą towarzyszki; do tego dziś dźwigał zmęczenie przeżyć życiowych, utratę złudzeń, rozwianie się entuzjazmów.

Od pięciu miesięcy pewna kobieta opanowała jego umysł. Pilnie chodziła na jego wykłady, konferencje, do kliniki szpitalnej, nawet nieobecna dręczyła go swym obrazem. Była to pani doktor Lancelée, która w czasie obiadu u Herlinge'ów wywarła na nim silne wrażenie. Przeciw temu wrażeniu walczył, czasem mu folgował, zależnie od dnia. Dziwne było, że przy tem spotkaniu tak on, jak i ona doznali tego samego wstrząśnienia. Nie zamienili z sobą ani słowa. Niepokoili się nawzajem zdala, podobni do tych dumnych zwierząt, między któremi ma wybuchnąć pojedynek, które prowokują się, nie dowierzają, zbliżają, cofają, mierzą, badają, uciekają, brawują, podczas gdy głucha namiętność i zniecierpliwienie trawi ich wnętrzności.

Boussard bronił się myśli małżeństwa, instynktownie liczył się z przyzwoitością i potrzebą żałoby po zamarłej przeszłości. Poważny ten człowiek kłamałby sobie samemu, rzucając się w nowy związek nazajutrz po tak bolesnem zerwaniu. Niewzruszenie prowadził dalej swe życie nauki. Nikt nie znał burzy, która huczała w nim w czasie tych miesięcy walki. Zresztą nie miał zamiaru żenić się z kobietą-lekarzem. Rozumiał Pautela, nie rozumiał Guéménégo, dla tego nie mógł ukryć swego oburzenia przed tym mężem tak szanującym prawa kobiety.

Tego dnia oczekiwano doktora Guéménć u Jourdeaux. Nie zatrzymując się w szpitalu, skoczył do dorożki i kazał się zawieść na bulwar Saint-Martin. Pani Jourdeaux haftowała przy łóżku męża. Synek ich, mały Andrzejek, aż zanadto grzeczny na swoje pięć latek, bawił się na dywanie w domino; doktor, patrząc na tego człowieka w szponach śmierci, obolałego, zrozpaczonego, między tą piękną, młodą, oddaną mu żoną i tym malcem nienaturalnie spokojnym, zazdrościł mu....

III.

— A więc jest... chłopak... ogromny... 8 funtów... ojca duma rozpiera... dzielna kobieta ta mała Guéménė — świetnie się spisała... Ponieważ to dwudziesty czwarty czerwca będzie mu na imię Jan.

Artout wszedł poufale do gabinetu pani Lancelée. Wchodził tam, ile razy mu się podobało; zawsze mile witany. Zmęczony rzucił się na fotel. Stała przed nim czarna, smukła, z wyrazem lekkiej ironji.

— Nie przeszkadza panu słońce? — zapytała. Można spuścić storę.

— Nie, nie, światło to zdrowie. Czuję się zadowolony i potrzebuję wesołości... A do kata! nie wiem, jak to robicie, że tak tu wesoło w tym wielkim pokoju, gdzie tyle bywa chorób.

Było zaledwie w pół do drugiej; a ponieważ pani Lancelée przyjmowała chorych o drugiej, poczciwiec skorzystał z przerwy, aby oznajmić lekarce nowinę o szczęśliwem urodzeniu małego Guéménė...

— Pamięta pani, jak pierwszego wieczora po ich ślubie przepowiedziałaś im rozwód, a tymczasem mamy już malca... i to okrągły, pulchniutki, zgrabny, możesz mi pani wierzyć!... Kochana Renia — miała wielkie oczy, ot takie, gdy go zobaczyła. Podaliśmy jej na-

gusieńkiego; pocałowała w pulchne piersiki pocałunkiem, jakiego, ręczę, mąż jej napewno nigdy nie dostał... Możesz sobie pani mówić, co chcesz, widziałem ja kobiety we wszystkich fazach ich życia, a tę obserwuję od dzieciństwa... i wierz mi pani, jest tylko jedna minuta, w której kobieta staje się prawdziwie kobietą, to wtenczas, kiedy jej przedłożą przed oczy maleństwo, które urodziła. Ach, trzeba widzieć ten wzrok, tę promienność w twarzy i siłę tego pierwszego pocałunku — wszystko weń wkłada, wszystko, co przechodzi — i tę nagłą przemianę, która ją od razu robi matką... Ja przy każdym połogu nowicjuszki czycham na to, raduję się zarówno w szpitalu przy łóżku wyrobnicy, jak intelektualistki takiej, jak ta nasza Guéménć.

Pani Lancelée siadła, śmiejąc się.

— Drogi mistrzu, komu to mówisz! To także moja funkcja prezentować małego naguska jego mamie. Przyznaję, że to ładny obrazek, ale nie nowość dla mnie. Do czego zmierzałeś, doktorze?

— Aby pani powiedzieć kilka słów prawdy: nic mnie więcej nie gniewa, jak widzieć kobietę taką, jak pani, zbudowaną jak pani, zakrojoną na dziesięć macierzyństw, silną, piękną, uposażoną wspaniale duchowo i fizycznie, uchylającą się od małżeństwa i obowiązku założenia rodziny.

— Ależ, drogi mistrzu, mam przecież prawo mieć osobiste poglądy.

— Nic niewarte... przedewszystkiem jesteś pani szczęśliwa?

Pytanie, tak bez ogródek postawione, zaskoczyło ją.

— Ależ... ależ tak — wyjąkała — bardzo szczęśliwa!

— To nieprawda.

Na zimnej twarzy lekarki odbił się niepokój, źrenice zamigotały.

— Dlaczego pan to mówisz?

— Bo znam kobiety. Panią specjalnie. Z twoją naturą, twoim zdrowiem, twoją równowagą, musisz być pełną pragnień niezaspokojonych... I powiedzieć, że nie widać tu wcale ani kota, ani papugi do pieszczenia, nic, co tak klasycznie łudzi uczuciowość kobiet samotnych...

— Mam mój zawód, powiedziałam panu sto razy.

— Nonsens! Zawód! Gdy mi pani stawiasz ten argument, przychodzi mi na myśl bajka o zgłodniałem księciu, siedzącym przy stole pełnym złota. Wy tak, jak i inne, głodne jesteście czułości istotnej, szczęścia w miłości. Ofiarujecie sobie na zaspokojenie serca... tomy patologji!... A jestem pewny, że w twojem byłyby skarby...

— W mem sercu jest to, co w nie włożyłam — rzekła dumnie.

— Ja, droga pani, nie szukam południa o północy, patrzę na rzeczy trzeźwo. Na przekór twemu potężnemu intelektowi jesteś pani, zdrową i normalną dziewczyną. Przyjrzałem się małżeństwu kobiety twego pokroju, która dała mężowi najpiękniejszego w świecie chłopca, mimo swego zawodu i swego intelektu. Wczoraj spotkałem Bernarda de Bunod, zawsze w tobie, pani, zakochany. Rzecz prosta, że nasunęło mi się porównanie i powiedziałem sobie: ponieważ ten młody człowiek ofiaruje ci nazwisko, fortunę i romantyczną miłość, zrobiłabyś pani równocześnie dobry uczynek i niezły interes, idąc za przykładem Reni Herlinge... Bunod jest inteligentny, subtelny i dając

mu trochę szczęścia, zrobiłabyś pani z tego dziś bladego neurastenika dziarskiego obywatela... Powiedz szczerze, czy taka miłość nie wzrusza cię? Nie jesteś przecież marmurową statuą!

Odpowiedziała zwolna, skandując zdanie:

— Kobieta-lekarz niema serca; kobieta-lekarz niema zmysłów; kobieta-lekarz nie jest kobietą. Matki zdają sobie z tego sprawę. Pani Bunod powierzyła mi swego jedynaka z tem samem zaufaniem, z jakiem inne prowadzą do młodych spowiedników swe dorastające córki. Między nami a pacjentami jest ustalona konwencja bardzo poważana i nienaruszalna. Jesteśmy tylko lekarzami — przed nami są tylko chorzy. Honor nasz delikatniejszy i subtelniejszy, niż honor innych kobiet. Bez składania ślubów musimy przechodzić życie samotne, obojętne jak zakonnice. Brutalny nowicjat zabił w nas wrażliwość kobiecą. Dom rodzicielski sztucznie, z czułą pieczołowitością utrzymywał dusze nasze w nieświadomości i naiwności na to, by potem nagłem, brutalnem uderzeniem, z naukową dokładnością pokazano nam życie w całym jego realizmie. Niema w nas tajemnic, ani marzeń, ani poezji. Jesteśmy jakby wysuszone; widziałyśmy wszystko, słyszałyśmy i poznałyśmy wszystko. Nie jesteśmy nerwowe, ani uczuciowe, ani wstydliwe, ani nawet wrażliwe; siła nasza leży właśnie w tem, czego nam braknie. Zdobyłyśmy prawo docierania wszędzie; przy chorym jesteśmy zawsze na miejscu; możemy wejrzyć do dna każdej nędzy, słyszeć całe spowiedzie. Kiedy leczę mężczyznę w moich latach, mężczyzną jestem ja. I ty chciałbyś, mistrzu, abym zakochała się w pierwszym kliencie, który się we mnie zadurzy, jak doktorka z wode-

wilu? Toby doprawdy aż nazbyt potwierdzało gorzką krytykę, jaką przeciw nam głoszą stare konwenanse. Nie, nie! Musimy nie wiedzieć przy łożu mężczyzny, że w danym razie możemy go zaniepokoić. Inaczej, cóżby się stało z zaufaniem matek, które wzywają nas do swych synów, lub żon, które przed nami odsłaniają pierś swych mężów do auskultacji?

Wyprostowała się, chcąc się okazać niewzruszoną i zimną. Była tem piękniejszą. Policzki zapłonione, oczy pałające, przyspieszony oddech, wszystko przeczyło teorji istoty bezrodzajowej, jaką się głosiła. Artout powtarzał:

— Dziwną jesteś pani, zadziwiającą! To ciekawe...

Potem z prostotą ludzi nauki, dla których prawda nie osłania się hypokryzją:

— Lecz powiedz mi, ty kobieto absolutnie szczera, czyś nigdy nie pragnęła miłości? Nigdy niczego nie żałowałaś? Wszelkie pragnienia, uczucia zamarły w tobie?

— Nie — rzekła powoli — nie zamarły.

Potem, skrzyżowawszy ręce, spuściła oczy, dodając niewypowiedzianie zimno:

— Budzą się czasem.

— I wtenczas?

— Usypiam je pracą.

Słuchał jej zdziwiony; nigdy nie odsłoniła mu tyle ze siebie w tych bezustannych dyskusjach, jakie stale ze sobą prowadzili. Pobudzona odwołaniem się do szczerości przez starego swego mistrza, czuła się w obowiązku do dalszych wynurzeń.

— Rozumiesz mistrzu, że pomimo pozoru nie jestem tak marmurową, jak się wydaję i satysfakcje, jakiemi się zadawalniam, są bardzo względne. Wybrałam życie nauki, chciałam je mieć doskonałe, dlatego z góry odsunęłam

przeszkody i najniebezpieczniejszą ze wszystkich: małżeństwo i rodzinę. Lecz, gdy mówię: „kobieta-lekarz nie ma zmysłów“, to mówię o pozorze, który ma jej zapewnić stanowisko w tym zawodzie, bo poza zimnym pozorem, który trzeba zachować, kryje się prawdziwa kobieta, która cierpi, która umiałaby kochać...

— A więc — rzekł Artout wzruszony, były dramaty w twem życiu?

— Nie, lecz czasem smutki. Mężczyźni, którzy mnie kochali, prawie wszyscy chcieli mnie poślubić. A na to nie zgodziłabym się nigdy. Ci inni ani mi się dosyć podobali, ani ich nie ceniłam na tyle, abym mogła uczciwie i godnie oddać im w darze moją osobę.

— Nigdy nie zastanawiałaś się pani, jak postąpiłabyś, gdyby twój ideał, człowiek, którego się kocha, stanął przed tobą?...

— Owszem — rzekła z prawością prawie zuchwałą. Wiem, żebym go kochała.

— A la bonne heure! Otóż i zagadka rozwiązana! to rozumiem. O moja droga, wolę cię taką... zdolną do poświęcenia dla jednej pieszczoty wszystkich twych dumnych teoryj.

— Mylisz się, drogi mistrzu, nigdy nie poniżyłabym się do tego stopnia, aby stać się nieużyteczną, bezczynną, opuszczając karjerę, która mnie zrobiła tem, czem jestem i nigdy nie zapomniałabym mej zasady o niemożliwości pogodzenia małżeństwa z naszym zawodem. Pozostając doktorem Lancelée, kochałabym człowieka miłością wolną, bez więzów i kontraktu.

— Ho! ho! — wykrzyknął stary chirurg, daleko idziesz!...

— Doprowadzam zasadę do ostatnich konsekwencyj, rzecz prosta. Gorszy cię to? Cóżbym zrobiła złego, stając się z miłości kochan-

ką człowieka wybranego, zależą tylko od siebie, nie uznaję innych praw nad sobą, jak prawa własnego sumienia, nic mnie nie obchodzą konwenanse świata. Czyż to świat tworzy prawa moralne? Rozum mój i moja logika są dość wyrobione, aby mną kierować. Do kogoż mam mieć więcej zaufania, niż do siebie samej? Ludziom, którzyby się na to oburzali, nie przyznaję autorytetu, nie przyznaję prawa dyktowania mi, jak się mam zachowywać.

— Ależ, ależ, moja droga — przerwał Artout — gdyby wszyscy tak myśleli, jak pani, mielibyśmy dziwne społeczeństwo! Każdyby się tylko do siebie odnosił, ta pozwalałaby sobie na jednego kochanka, inna na dwóch lub trzech, podług formy swego sumienia; żadnych zasad ogólnie uznanych i tyle rodzajów moralności, ile indywiduów, jedne ciasne, drugie bardzo szerokie, a wszyscy byliby godni szacunku, szlachetni, stwarzający sobie własne reguły życia... Djabloby się ta nasza cywilizacja i nasze obyczaje pochyliły w stronę naszej braci z menażerji. Widzi pani, może jestem starym nudziarzem, ale nie dowierzałem nigdy sobie samemu i nie przeceniałem mego „ja“; zapewne, rozumowałem także, ale nigdy nie drwiłem ze zdrowego rozsądku i tradycji, zastosowując własne moje pojęcia — bo to takie ludzkie mylić się! — do pojęć ogólnych mojej rasy i mojej epoki. Otóż małżeństwo jest organizacją, odpowiadającą naszej dziedziczności, naszemu temperamentowi i porządkowi publicznemu. Zawsze byłem jego zwolennikiem. Dlaczego ja, stary kawaler, pozwalam sobie o niem mówić? O! to bardzo proste, bo pragnąłem go zawsze. Lecz do trzydziestego piątego roku życia pracowałem, jak skazaniec; w tym wieku dopiero zdobyłem i ustaliłem so-

bie stanowisko. Szukałem towarzyszki. Ofiarowano mi małżeństwo po małżeństwie, ale ja chciałem zawsze czegoś piękniejszego! Marzyłem o wielkiej miłości, czekałem na kobietę, na tę jedyną, która cię bierze na całe życie. Rozumiesz... odrobina romantyzmu pozostała we mnie mimo wszystkich dissekcyj, odrzucałem marjaż dla pieniędzy, czekałem na mój ideał... i zestarzałem się, głupio oczekując go ciągle i nie znajdując go nigdy. A teraz żałuję. Lepsza miłość mniej doskonała, niż życie samotne. Byłbym teraz dziadkiem, miałbym dużo radości...

Głos mu drżał, potężne ramiona podniosły się, gdy mówił dalej:

— Pocieszam się, pomagając innym wydawać na świat dzieci. To jakby ogromne ojcostwo.

I powstając, wyciągnął ramiona, te sławne swoje ręce, gestem tak szerokiem, że zdawał się obejmować nim całe generacje.

Ta, którą w szkole ongiś nazywano „morfiną", przysłuchiwała się temu milcząca, potem, cicho, wracając do swej myśli, zaczęła:

— Jaką moralną różnicę widzisz między małżeństwem a wolnym związkiem?

— Związek jest rzeczą prywatną, prawie zawsze tajemną, jakby hańbiącą. Małżeństwo ogłasza się publicznie z dumą. Małżeństwo to związek, uznany przez wszystkich, potwierdzony przez społeczeństwo.

— To potwierdzenie nie ma żadnego moralnego znaczenia.

— Związek jest przejściowy, małżeństwo trwałe.

— A rozwód? co z nim zrobisz?

— Rozwód, rozwód, mój Boże, to tylko wyjątek.

— Ależ, mój mistrzu drogi, cały świat dziś się rozwodzi, częściej dwa razy niż raz! Więc co? Jeżeli kobieta może się spotkać w towarzystwie z trzema mężczyznami i powiedzieć sobie, że do wszystkich trzech należała legalnie i według wymagań społecznych, nie widzę moralnej wartości tej legalizacji i nie uważam za hańbę wyzwolić się z tego... Słuchaj pan, trzeba być szczerym i przyznać, że istnieje tylko jedno małżeństwo, mające znaczenie, to małżeństwo kościelne, nierozerwalne, uświęcone, które łączy małżonków aktem mistycznym, nieodwołalnym, podczas gdy małżeństwo cywilne wiąże ich tylko z sobą. Byłam kiedyś wierzącą, znałam to pojęcie, uznawałam nienaruszalność związku małżeńskiego, uświęconego przez Boga, tajemnicę połączonych ciał, świętokradztwo rozwodu. Teraz, gdy odrzuciłam dogmaty i prawo boskie, czyż mam przyjąć jego pozór w etyce ludzkiej, która nie wytrzymuje rozumowania? Nie, nie! prawo kościelne tłumaczy się przynajmniej Bogiem; ja nie wierzę w nic, prócz siebie samą i swe sumienie. Mówię całkiem lojalnie: nie widzę nic nagannego być kochanką wybranego człowieka. I zapewniam cię, mistrzu, że gdy spotkam człowieka, który będzie umiał we mnie wzbudzić miłość, ponieważ nie chcę wychodzić za mąż, ani krępować się rodziną, nie będę się wstydziła należeć do niego wbrew wszelkim konwenansom.

Artout śmiał się, uważając to oświadczenie za niesłychanie śmiałe; podziwiał brawurę i szczerość młodej kobiety, tak hardej i tak pociągającej zarazem. Wreszcie powiedział jej, że odmawiając założenia ogniska i oddając się mężczyźnie wbrew prawom socjalnym, popełnia

co najmniej jak żartobliwie nazwał „péché laïc"... grzech cywilny...

Kilkakrotnie już odzywał się dzwonek. Pacjenci gromadzili się w poczekalni. Bliskość klienteli dodawała lekarce więcej pewności siebie i poczucia własnej wartości. A gdy Artout przytaczał raz jeszcze przykład Reni Guéménć, która została matką, i pogodziła życie rodzinne i obowiązki społeczne kobiety z medycyną, zawołała:

— A dziecko? co się z niem stanie? Czyż ona będzie dalej praktykowała jako lekarz? Musi się zdecydować: albo pacjenci albo dziecko. Nie bardzo umiem sobie wyobrazić młodej matki, biegającej po ulicach od rana do wieczora. W każdym razie nie może karmić małego. Wyobrażasz sobie dziecko u mnie, mój mistrzu drogi? W tej chwili pięć osób czeka na moją konsultację; na mieście pielęgnuję siedem młodych mężatek i troje dzieci; w każdej chwili mogę być wezwaną na drugi koniec Paryża; jutro chloroformuję z tobą na ulicy Montaigne; w przyszłym tygodniu mam trzy połogi, studja bakterjologiczne w biegu, bardzo poważne a moje laboratorjum zabiera mi trzy godziny rano; jutro proszone śniadanie na avenue Marigny, pojutrze koncert u jednej z pacjentek...

Z uśmiechem triumfu, który ją czynił mniej dumną a więcej kobietą, rzuciła:

— I chcesz, żebym przytem miała dzieci!

Wstał, by ustąpić miejsca czekającym pacjentom i podał rękę młodej kobiecie:

— Żegnam cię, Fenomenie!

Potem po ojcowsku dodał ode drzwi:

— Życzę ci wielkiej miłości... która cię zwycięży!

Zostawszy sama, pani Lanceleé stała chwilę na środku wielkiego pokoju; patrząc przed

siebie, oczy złagodniały, gdy szepnęła do siebie: „Wielka miłość... dlaczegoby nie!“

I myśląc, że kiedyś może Boussard stać tu będzie przed nią i mówić jej słowa, które odkryją jej nieznaną dotąd jego duszę, dziwiła się, że czuła w sobie tyle słodkiego wzruszenia.

Lecz natychmiast, przybierając zimną maskę obojętności, otworzyła drzwi poczekalni i zaczęła przyjmować pacjentów.

IV.

Renia zdała doktorat z początkiem roku. Znudzona długą bezczynnością, rwała się teraz, by wreszcie zrealizować swe marzenie i rozpocząć praktykę lekarską. Zdrowa i silna jej konstrukcja przez kilka dni buntowała się przeciw sztucznemu powstrzymywaniu wydzielającego się pomimo to pokarmu. Zdrowie jej cierpiało z tego powodu. Fernand wybrał mamkę. Gdy ją przyprowadził i przystawił maleńkie usteczka niemowlęcia do grubej piersi wieśniaczki, Renia, obserwując go z łóżka, widziała, że zbladł. Jej również zrobiło się przykro.

— Cóż chcesz, mój drogi, — szepnęła — to konieczność.

Popatrzył na nią wzrokiem tak chmurnym i zimnym, że zamilkła i opadła na poduszki z obawą, że mąż mniej ją kocha za to, że nie ustąpiła i tym razem.

Długi czas mamka, jako ta trzecia między nim a nią, była przyczyną bolesnych chwil. Doktor nie mógł bez bólu patrzeć na syna ssącego obcą pierś. Renia unikała jego wzroku. Potem czas, przyzwyczajenie zrobiły swoje — powoli uspokoiło się wszystko. Zresztą niemowlę rosło. Ojciec ważył je codziennie, dumny z okrągłych bioderek, z różowych, wypukłych piersi. Śmiejąc się ze szczęścia, sadzał naguska na dłoni: malca zdawała się ogarniać rozkosz, a ojciec promieniał wyobrażając sobie, że robi synowi wielką przyjemność. Renia, tuląc do piersi dziecko, miała porywy niemej

czułości, całowała syna długo, nie nużąc się. W uczuciu jej dużo było litości, uważała go za nieszczęśliwego, że taki mały, taki słaby, taki nieudolny. Wyobrażała sobie cierpienia, których wcale nie doznawał, dla przyjemności łagodzenia ich. Kiedy wstała i zeszła do gabinetu, trzymała go ciągle na ręku z obawy, aby się nie nudził. A gdy zatrzymał na niej swe niemowlęce źrenice, tak pełne tajemniczości, dech w niej zamierał, bo zdawało jej się, że odgaduje nieme porozumienie w ich krzyżującym się wzroku. Kiedy Fernand wracał do domu, czy to przy jedzeniu, czy wieczorem, rozmowy ich toczyły się stale około malca.

— Gdy Dzidzi będzie duże...

Ona byłaby chciała, aby miał już roczek, by mówił kilka słów. Guéméné rozkoszował się drobnemi błyskami jego inteligencji. Nie pragnął przyspieszać jego rozwoju, powolne budzenie się syna do życia interesowało go, pasjonowało, zadawalniało — kochał go takim, jakim był więcej niż w przyszłości.

W sierpniu Renia była zupełnie zdrowa. Wyjechali do Morgat, gdzie rok temu zostawili tak miłe wspomnienia. Odnaleźli je. Fernand przeżył znowu wszystkie fazy swej miłości. Dwa lata minęły od ich zaręczyn, a uczucia ich trwały zwycięsko. Piękność żony pociągała go zawsze tak samo, zawsze tak samo spragniony był jej pieszczot. Pewno, że miłość ich przeszła kryzys: Renia wydała mu się nieugiętą, prawie twardą, odmawiając karmienia dziecka. Nie byłby jej tego wyznał, sam przed sobą ukrywał, ale w owej chwili ciężki smutek gniótł mu serce — smutek, jaki następuje po zgaszonem wielkiem szczęściu. Potem namiętność wróciła z nową siłą. Nie myślał o pokarmie przemocą zatrzymanym,

o swem życzeniu niezaspokojonem, o zasadzie karmienia przez matkę, głoszonej wszędzie, a nieuznanej we własnym domu. Renia była taka samowolna, wyjątkowa — wyższa nad inne i wiedział dobrze, że mimo największych przykrości od niej doznanych, będzie ją zawsze kochał. Zresztą czuł się szczęśliwy. Gdy patrzał jak usypiała maleńkiego, tę istotkę powstałą z ich krwi i kości, czuł się zjednoczonym z nią, było to ostateczne spojenie ich istot, absolutne zadowolenie wszystkich jego potrzeb, spokój w porządku rodzinnym. Często odsyłał mamkę i we troje zostawali na plaży. Renia trzymała małego na kolanach. Guéménć milczał; błogie uczucie zadowolenia przejmowało go, miał poczucie własności, gdy patrzał na żonę. To ona wyrywała go z niebiańskiej ekstazy słowami:

— Gdy wrócę do Paryża, zaraz pójdę do Boussarda.

Albo:

— Napiszę jutro, aby stół ginekologiczny wstawiono do mego pokoju....

* * *

Powrót do Paryża miał zamknąć okres tego prowizorycznego spokoju. W tydzień po ich powrocie młoda pacjentka, przysłana przez Artout, przyszła poradzić się pani dr. Guéménć. Pięć lat starsza od lekarki, matka trojga dzieci, bogata ,elegancka, powierzała się Reni z całą ufnością i uległością. Badając ją, Renia drżała trochę, opuściła ją pewność siebie, owładnęły nią wątpliwości, skrupuły — zamierzała ją odesłać do Artout, nie mogąc skonstatować choroby. Potem opanowała się, zaczęła na nowo badać i cierpienie nie wydało jej się groźnem.

— I cóż doktorze? — pytała chora trwożnie.

Upojenie ogarnęło Renię. Tytuł doktora, który jej dano po raz pierwszy, wywołał zawrót głowy. Nareszcie posiada upragnione od lat dziesięciu znaczenie, możność wymawiania słów, które rozdzierają albo pokrzepiają serca, autorytet, przed którym schylają się najdumniejsze głowy!

Pierwsze słowa w tym pierwszym występie były wyrokiem łagodzącym i uspokoiły młodą kobietę. Rozpoczęła pod dobrą wróżbą. Była dobra, miło jej było rozproszyć niepokój klientki i móc powiedzieć:

— Nic złego.

Lecz natychmiast trzeba było rozpocząć kurację. Napisała receptę. Czuła się równą Artout i Boussardowi. Kazała pacjentce położyć się i obiecała odwiedzać ją co tydzień.

Od tej chwili rozpoczyna się świetna karjera lekarki. W dwa dni później sąsiadka przyprowadziła jej chore dziecko. Zawezwano ją na ulicę d'Anjou. Boussard, który był przepracowany, powierzył jej kilka połogów. Po sześciu tygodniach pierwsza jej pacjentka zupełnie zdrowa, przyszła wraz z mężem podziękować; wyglądali oboje uszczęśliwieni. Renia cieszyła się ich entuzjazmem i hołdem, składanym jej wiedzy. Jej powierzyli odtąd leczenie swych trojga dzieci.

Oznaczyła trzy dni w tygodniu dla przyjęć: poniedziałki, środy i piątki. Gdy godzina konsultacji się zbliżała, uczuwała zawsze lekki niepokój, obawiając się, że nikt nie przyjdzie, albo że się nie uda. Napływ chorych do męża wywoływał w niej zazdrość. Chorym, którzy przychodzili, służący stawiał pytanie:

— Do pana doktora czy do pani doktór?

Nieraz chore kobiety, które przyszły do doktora, decydowały się nagle zasięgnąć rady u niej i przechodziły do gabinetu na lewo, zamiast na prawo.

Renia uszczęśliwiona, myślała wówczas: „Jedno zmęczenie mniej dla mego biednego Fernanda!....“

W rzeczywistości odebranie pacjenta mężowi radowało ją. Wkrótce stała się modna. Damy wielkiego świata uważały za szyk leczyć się u kobiety-lekarza. Długo jeszcze była w pojęciu ogółu istotą wyjątkową, przedmiotem ciekawości. Otaczano ją względami, szacunkiem. Okazywano jej specjalną sympatję, zapraszano na wszelkie sposoby.

— A moje maleństwo! — mówiła, aby motywować swą odmowę.

Miał teraz pięć miesięcy, wielkie czarne oczy podobne do oczu Reni. Umiał na prośbę mamki zrobić kilka gestów rączkami dość już silnemi. Rozpoznawał swą mamę, chociaż ją tak mało widywał — zazwyczaj spał, gdy wracała do domu. Ojca wołał i na sam widok jego wąsów okazywał nadzwyczajną radość.

Pani Herlinge, babcia, oświadczyła, że nad wiek rozwinięty. I istotnie zdradzał miły charakter, żywy i wesoły; najdrobniejszy świecący przedmiot wywoływał w jego dobrych oczkach zachwyt i uwielbienie.

Doktorowi aż oddech zamierał ze szczęścia gdy patrzał na syna, ale serce mu się rozdzierało, gdy Renia wyszła a i on musiał odejść i zostawić dziecko na opiece piastunki.

Przez pierwsze miesiące malec sypiał przynajmniej w ich pokoju; teraz zdarzało się, że dzwonek telefoniczny wzywał Renię wśród nocy, nieraz gdy doktor był także poza domem. Trzeba było dziecko oddać i na noc niańce.

Młoda lekarka, pasjonowana do swego zawodu, oddana mu była całą duszą; mąż miał jej za złe, że nie doznawała żadnego niepokoju o dziecko. Czyż sprawdzą się jego dawniejsze obawy, że ten zawód, który ją coraz to więcej pochłania, stanie się jedynem zadaniem całego jej życia? Gamil ją w skrytości. Byłby może więcej jeszcze cierpiał, gdyby nie to, że w tym samym czasie i on całkowicie był pracą zajęty.

Skromny, cichy, zamknięty w sobie, oddawał się skrycie studjom w laboratorjum terapji doświadczalnej w Ecole de Médecine. Nikt z jego otoczenia nie wiedział, że robił poszukiwania przeciw rakowi. Wczasie długich miesięcy, z cierpliwością, hodował w rosole z wymienia krowiego tego tajemniczego mikroba, którego jego geniusz naukowy oddawna przeczuwał. Przytem była to praca szczepienia zarazków raka, rozmnażania wrzodów różnych typów na świnkach morskich, królikach, szczurach białych. Równocześnie podobne leczenie prowadził u biednego pana Jourdeau'a, zwalczając jego osłabienie, usiłując zatrzymać go przy życiu do dnia, w którym jego terapja w laboratorjum zatriumfuje.... I dzień ten nadszedł. Rozrzedzając zarazek jadu przez dawki zwolna wypróbowanych soli chemicznych, wyprodukował serum. Na siedem królików zaszczepionych, cztery dostały raka, u trzech wstrzyknięcie serum spowodowało zaabsorbowanie materji rakowatej, cztery tylko zdechły. Na trzynaście świnek morskich z rakami otrzymał trzy zupełne zagojenia, pięć zniknięć zakażenia; pięć zmarniało.

Wówczas zaaplikował Jourdeau'owi metodę zastrzyknięcia.

Pewnego wieczoru wrócił triumfujący; zabawił dłużej na bulwarze Saint Martin, dokąd

chodził codziennie i powróciwszy, schwycił Renię w ramiona:

— Wiesz, wyleczyłem Jourdeau'a!

Młoda kobieta popatrzała na niego potem uśmiechnęła się:

— Mój drogi, co za żarty!

— Ja nie żartuję, znalazłem szczepionkę przeciwko zarazkowi raka.

Zbladła pod obuchem ogromu tej wiadomości, która ją zaskoczyła tak nagle, — ją lekarza, sceptyczną, przezorną, niedowierzającą zwycięstwom przedwcześnie głoszonym. Wówczas Guéménć zimno, jak człowiek panujący nad sobą, wyliczył zmiany, jakie zaszły u chorego od trzech tygodni leczenia seroterapją. Schorzałość zdawała się ustępować, przybrał na wadze, trawienie zaczęło funkcjonować i bole wątroby zmniejszyły się, coby potwierdzało zatrzymanie się procesu rakowego. Renia znała zanadto szczerość męża, aby wątpić w jego twierdzenia.

— Dlaczego, — rzekła zasmucona. — tyś nigdy poważnie nie mówił o swych pracach?

— Tak rzadko z sobą możemy rozmawiać — odrzekł Fernand, tym razem bez żadnej ubocznej myśli ani żalu — ty masz tyle kłopotów osobistych!.... Potem nie byłem pewny, czy mi się uda. Powodzenie nadało znaczenie mym studjom; niepowodzenie byłoby je ośmieszyło. Byłabyś je krytykowała ostro, nie możesz być naiwną żoną, zachwycająca się najmniejszą ideą swego męża.... Zresztą masz swoje życie poza mojem i nie mogłem obarczać cię mem zniechęceniem, trwogą, udręczeniem, wszystkiem tem co mną wstrząsało przez te półtora roku, a o czem ci nie mówiłem.

Zaczęła płakać.

— Możnaby myśleć, że cię nie kocham! Co mi masz do zarzucenia? Ukryłeś przedemną swoje dzieło i teraz mnie winę przypisujesz.

Zostawił ją i zażądał syna. Ojcowie wiedzą, że kiedyś dzieci ich osądzą. Guéménć myślał o chwili, w której syn jego jako młodzieniec podziwiać go będzie. Całował go zapamiętale szczęśliwy, że dając mu życie, przygotowuje dlań atmosferę sławy, wielkości, w której dziecko odtąd pójdzie jego śladem.

Renia przechodziła dziwne uczucia. Mąż jej ogłosił referat o rezultacie swych badań. Artout, Boussard, Herlinge, wielcy chirurdzy, dyskutowali gorąco nad jego odkryciem. Mówiono o nim we wszystkich akademjach europejskich. Nie był to jeszcze olśniewający sukces, stwierdzony przez liczne przekonywujące doświadczenia, ale gwiazda sławy zabłysła w skromnym życiu młodego lekarza. Renia była smutna i przygnębiona. Jej karjera wydała jej się teraz bez znaczenia. Myślała o rozgłosie, jaki zdobyłaby swą tezą, gdyby macierzyństwo nie było przeszkodziło w studjach tak świetnie rozpoczętych. Teza jej ograniczyła się do skromnej kontrybucji, złożonej w poszukiwaniach *stanów serca w chorobach zakaźnych* — temat banalny, kilkakrotnie przez innych już poruszany. Dzieło Fernanda zaćmiło ją. W praktyce lekarskiej zaledwie odróżniała się od takiej pani Adeline tem, że miała dostęp do domów bogatszych, ale pielęgnowała podobnie, jak ona, jak dyplomowana i inteligentna sage-femme, choroby kobiece. Często myślała o laboratorjum pani Lancelée... Rozpytywała męża o Jourdeaux'a: wówczas stawał się wymowny. Bywał u chorego codziennie, choćby na kilka minut i nie miał słów, by odmalować przywiązanie i charakter pani Jour-

deaux. Była dla niego najdzielniejszym pomocnikiem, podtrzymywała go w zmudnych doświadczeniach, gdy zmęczony, zniechęcony, miał ochotę wszystko rzucić, błagała, by walczył, by dalej szukał.

— Więc wtajemniczyłeś ją w twoje prace? pytała Renia.

— Było trzeba.

Nienawidząc szarlatanizmu, nie uważał za potrzebne ukrywać swych poszukiwań. I gdy widział panią Jourdeaux, nieopuszczającą chorego ani na chwilę, wyrzekającą się wszelkich rozrywek, odwiedzin, to poświęcenie żony, ta straszliwa walka ze śmiercią, podniecała go więcej, niż chęć sławy lub zainteresowanie naukowe. Jedynie z sympatji osobistej dla Jourdeaux prowadził do końca swe pracowite dzieło.

* * *

W styczniu dziecko zachorowało.

— To są ząbki — oświadczyła mamka.

Kwilił słabiutkim głosikiem, tak zatrważającym, przenikającym i skarżącym się, że miało się ochotę uciekać, by nie słyszeć. Ojciec i matka spędzili wieczór i noc pochyleni nad nim, bladzi, skuleni, wymieniając głuchym głosem techniczne nazwy chorób dziecinnych. Służba biegała do apteki. Dano mu lekarstwo na wymioty, kąpano go. Mamka powiedziała:

— Już od pięciu, czy sześciu dni nie chciał ssać.

— Nieszczęsna! — zawołała Renia, czemu mi tego nie powiedziałaś!

— Przeszkadzać pani dla tak drobnej rzeczy nie śmiałam... tembardziej, że pani nie ma czasu.

Wyciągnięty i sztywny leżał na kolanach matki, która mu główkę podpierała ręką. Powieki miał szeroko otwarte; oczy wywracały się jak gałki perłowe; skarżył się ciągle. Renia, cała skulona, zmieniona bólem, wpatrywała się w syna. Doktór stojąc, dyszał; łzy płynęły mu po policzkach. O piątej rano szepnął:

— Nic więcej nie wiem; nie jestem w stanie myśleć.

Żona poddała:

— Telefonuj do pani Lancelée, ona leczy dzieci.

W godzinę później przybyła lekarka. Cicho, bez słowa, dyskretna, jak cień. Zdjęła futro, wzięła dziecko i badała skórę pod lampą. Renia miała oczy wlepione w niewzruszoną twarz lekarki; łudziła się że wyczyta w tych spokojnych rysach djagnozę uspakajającą. Może jasnowidzeniem, do którego matka nie była już zdolną, odkryje zwykłą niedyspozycję w cierpieniu dziecka.

Lekarka wyszła z mamką do sąsiedniego pokoju. Po kilku minutach wszedł Guéménć; zastał mamkę, stojącą w gorsecie, i auskultowaną przez panią Lancelée.

— Co pani znalazła? — pytał.

— Nic, — odrzekła lekarka stanowczo.

Wróciła do dziecka. Guéménć i Renia próbowali naukowej z nią dyskusji. Ucięła krótko, jak kobieta, która nie chce mówić. Potem zażądała, aby telefonicznie zawezwać Boussarda. Nagle straszne łkanie wstrząsnęło Renią: nie opanowując rozpaczy, zaczęła okrywać syna pocałunkami, płacząc, wołając, aby nie pozwolono umierać, wzywała go tak rozdzierającym głosem „Mój Nunuś, mój Nunuś!“.. że łzy stanęły w oczach lekarki.

— To mamka go zabiła: ona go otruła, prawda? Ona go otruła?

— Nie, — odrzekła stanowczo pani Lancelée, nie mów pani tego.

O siódmej drzwi się otwarły. Wszedł Boussard. Przybiegł w możliwie najkrótszym czasie. Przeszedł pokój, nie widząc prawie pani Lancelée, zbliżył się do Reni. Ukląkł, badał dziecko, nachyliwszy nad niem swe siwiejące skronie.

— Chciałabym z panem pomówić na osobności, — rzekła doń cicho pani Lancelée.

Guéménć chciał iść z nimi, odsunęła go łagodnie.

W przyległym pokoju, gdzie świt zaczynał bielić gipiury firanek, znaleźli się sam na sam. Patrzeli na siebie przez chwilę, powieki im drżały — w milczeniu ich było coś tak dziwnego, tragicznego, że oboje odczuli wzajemny pociąg, wzruszenie, oddziaływanie, któremu się opierają jeszcze, jakoby godzina nie była nadeszła... Zawsze tak bywało. Widywali się w klinice, w Charité dokąd czasem przychodziła na wykłady, nie tając tego, że szuka jego obecności i dumna ze swej otwartości, mieściła się w pierwszym rzędzie w prosektorium. Spotykali się u chorych, gdzie go wzywała na konsylium. Nigdy żadne słowo, nic w ich zachowaniu nie zakłóciło ich sztywności. Lecz za każdym razem, naprzekór wszystkiemu, potężniał urok, jaki jedno na drugie wywierało. On olśniewał ją genjuszem — ona opanowywała go swoją tajemniczością. Oboje sztywni, podobni do posągów, patrzeli na siebie, nie dowierzając sobie.

— Mistrzu, rzekła, jest w tem małżeństwie punkt delikatny, o którym chciałabym cię uprzedzić. Pani Guéménć, chcąc swobodnie

oddać się swemu zawodowi, wzięła mamkę; wiem, od innych, że to było wbrew woli męża... Otóż, zdaje mi się, że ta mamka jest przyczyną choroby dziecka. Badałam ją. Przyznała mi się, że będąc bardzo zmęczona, niekiedy zaspakajała wielki apetyt malca domieszywaniem wody. Pytałam się, czy woda była gotowana. „Prawie zawsze" odpowiedziała. To „prawie" dużo mówi... Prócz tego karmiła na prowincji przed trzema laty dziecko, które w trzynastym miesiącu umarło na meningitis tuberkuliczny.

— A! zawołał Boussard z większą jeszcze uwagą.

— Wiem, mistrzu, żeś miewał już niewytłomaczalne wypadki zarażenia przez pokarm kobiety. A więc biedna dziecina — wszakże zgadzasz się ze mną — nie może być uratowaną. Biedni rodzice zatracili w tej chwili zdolność stawienia diagnozy — może nie dowiedzą się prawdy; uważam za obowiązek ludzki zamilczeć ją przed nimi. Pomyśl, jakim powodem do nieporozumień, stanie się dla nich ta śmierć dziecka, gdyby mogli przypisać ją mamce! Co za wyrzuty dla matki, jakie wymówki ze strony męża!... Postarajmy się, aby nie posądzali tej kobiety, dobrze?

— Nie będą posądzali i dziękuję pani, żeś mnie o tem uprzedziła.

To było wszystko. Ceremonjalni i niedostępni powrócili do chorego dziecka. Ojciec i matka cierpieli w milczeniu. Maleństwo nie skarżyło się więcej. Od czasu do czasu Renia wybuchała łkaniem. Guéménć stał ponury ze skrzyżowanemi rękoma. Doktor Boussard i pani Lancelée, świadkowie tego nagłego spazmu, bólu, jaki wstrząsał kochającem się małżeństwem, myśleli oboje o tajemnicy łączącej ich. Teorja o celibacie kobiety-lekarza triumfowała.

Oto ta chciała nieopatrznie połączyć macierzyństwo i swój męski zawód: biedne maleństwo padło ofiarą tej zarozumiałości. Pani Lancelée powiedziała: „Trzeba wybrać między dzieckiem a zawodem". Dziś patrzała na Boussarda ze spokojem kobiety, która w myśli już należy do mężczyzny i oto przed nimi jak przestroga, jakby groźba, stanął bolesny obraz zrozpaczonych małżonków i z góry potwierdzał jej zasadę miłości bez ślubu, bez rodziny...

Wkrótce przybył dziadek Herlinge. Potem wuj Guéméné. Było więc ich sześciu sławnych lekarzy, badaczy nauki i mędrców, którzy bezsilni asystowali agonji małej istotki.

Trwała do wieczora. Po kilku lekkich wstrząsach skonał na kolanach matki, cichutko, jak płomyk, który ktoś zdmuchnął. Babka zabrała zwłoki i zajęła się pogrzebem. Fernand zdusił jęk. Renia oszalała wyciągnęła do niego puste ramiona: zawahał się sekundę nim się w nie rzucił. Mąż i żona trzymali się długo w uścisku, bez pieszczoty, bez słowa, bez łzy...

* * *

Nigdy nie zrobił jej wymówki, nigdy nie przypomniał, że dziecko ich było karmione przez najemnicę, ani tragicznej jego śmierci; nigdy nie mówili do siebie o tem, ale bolesna niepewność ciążyła nad nimi. Oboje żałowali matczynego mleka, które zatrzymali i starań, których odmówili biednemu dziecięciu. Myśli te wciskały się we wszystkie ich słowa, we wszystkie spojrzenia. Guéméné nie przestawał powtrzać przy każdej sposobności: „Gdyby nasz biedny Nunuś żył... „On, który zadawalniał się teraźniejszością, kiedy posiadał swe dziecię, który nie dbał o sny przyszłości, rozkoszując się mglistą duszyczką trzy lub pięciomiesięczną, teraz wyobrażał

sobie dziecię swe w siódmym, w dziesiątym, piętnastym lub osiemnastym roku... I opłakiwał go, jakby nagle stracił synów w tych latach. Przyznawał teraz, że przedewszystkiem dla tego dziecka ponosiła go ambicja. Nie chciał wracać do laboratorjum:

— O gdyby mój Nunuś żył jeszcze!...

Uraza jego do Reni wzmagała się. Z poczucia godności, a także przez litość ukrywał przed nią swe myśli. Jakże on ją błagał, aby karmiła sama niemowlę! W dniu, gdy do jej nabrzękłych piersi przystawił maleństwo, prosząc ją po raz ostatni, miała taki gest okrutny! „Proszę cię, nie nalegaj...“ Obwiniał ją często.

Zczasem zaczęli unikać rozmowy o swym smutku. Nie mieli ochoty do wynurzeń, ani wymiany swych myśli. Renia cierpiała strasznie nad tą obojętnością; skonstatował to i ucieszył się. Byłby chciał oderwać się od niej zupełnie. Lecz, gdy wieczorem wracał zmęczony, znużony, po przeżuwaniu całodziennem swej goryczy, odnajdywał swą piękną i smutną małżonkę, którą ból czynił jeszcze bardziej wzruszoną i czułą; żal jego znikał i ogarniała go dawna do niej namiętność.

Tymczasem polepszenie w stanie zdrowia p. Jourdeaux nie postępowało. Fernand codziennie wracał na bulwary Saint-Michel. Dobra i tkliwa kobieta rozumiała jego ból. Mówił z nią o swem zmarłem dziecięciu. Czasem płakała, słuchając go.

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział I.

Mglisty, niemy i pusty zasypiał Paryż po brzegach rzeki w ową ciepłą noc majową. Guéménć wracał pieszo do domu, szedł smutny wzdłuż ulicy aux Fleurs. Cała wesołość i życie miasta przeniosły się w dzielnicę zabaw. Sekwana płynęła cicha wśród trzcin rozlicznych brzegów, jakie tworzą obie jej wyspy. Fale sunęły ciężkie i czarne. Światła z brzegów, z mostów, statków, odbijając się w wodzie, tworzyły ogniste węże, które wiły się po powierzchni czarnej toni. Z lewej strony, na ciemnym błękicie nieba, odcinała się sylweta Hôtel de Ville linją geometrycznych załamań gotyckiego dachu. Liczne, oświetlone szyby gmachu, przypominały owe ilustrowane pocztówki, lśniące i przezroczyste, które przedstawiają w noc budowle w Niemczech. Na wprost cypel wyspy Saint-Louis, ze swem wysokiem omurowaniem wcinał się w wodę, podobny do wysuniętego szańca fortecy. Zbite korony włoskich topoli zasłaniały fasadę domów, tworząc ciemną, nieruchomą masę w tę noc cichą i spokojną.

Guéménć myślał o nieszczęśliwym Jourdeaux, którego zgon właśnie stwierdził. Widział go na łożu śmiertelnem. Zmalał, wysechł, zużywszy przed śmiercią wszystkie zasoby ży-

wotne swego organizmu. Młodemu lekarzowi stanęły w myśli wspomnienia swych poszukiwań. Otóż na co się zdało tyle studjów, tyle nadziei, tyle dumy! A taki był pewien wyleczenia chorego; zapewniał Boussarda, Renię, nawet biedną, młodą żonę. Przed chwilą, zawezwany przez nią, przy łożu śmierci okazał się również bezsilny, jak inni lekarze, upokorzony bankructwem swych badań, zmalały, zwyciężony. Gorycz zawodu odczuł w całej pełni, gdy piękne, łagodne oczy pani Jourdeaux podniosły się smutne ku niemu. Pomylił się; serum przeciwrakowe nie istniało. Naprożno je reklamował z taką pewnością siebie; jego sposób leczenia raka chybił, jak metody jego poprzedników. Sukcesy w laboratorjum można tylko przypisać pomyłce pierwszej djagnozy. On nigdy nic nie odkrył.

— Na co tyle pracy! — szeptał zniechęcony.

Przypomniał sobie długie godziny, spędzane w laboratorjum, swe kultury, nużące badania pod mikroskopem, szczepionki, obserwacje, oczekiwania, obawy, owe przeczucia sukcesu, gwałtowne wstrząsy radości, gdy spostrzegał absorbowanie raka u zwierząt, owe powolne zbliżanie się triumfu, w którego atmosferze żył aż do chwili zawalenia się wszystkiego przez śmierć p. Jourdeaux. Paryż, o którego zdobyciu marzył, odsunął się od niego. Dusza miasta rzuciła spokojną i milczącą, jak zakątek prowincji, dzielnicę; hałas jego kroków budził echa. Paryż przeniósł się dalej, życie jego popłynęło wzdłuż oświetlonych bulwarów, rozbrzmiewało orkiestrami, błyszczało pięknemi kobietami, pulsowało w teatrach, subtelniało w salonach — rdzawa mgła rozpościerała się nad światem, jak welon glorji nad wielkiem

świętem, którego głuchy hałas dochodził aż dotąd.

Guéméné szedł pokorny, pustym chodnikiem. Bezgraniczny niesmak przepełniał go. Czuł się niepotrzebnym, niezdolnym. W tej walce lekarza z chorobą maleńki nowotwór miał nad nim przewagę — nie umiał go zwalczyć, pozostawił go zwycięzcą, nieuszkodzonym, gotowym pochłonąć tysiące jeszcze ofiar. Mówił więc sobie:

„Nie będę więcej próbował".

Wizja zmarłego Jourdeaux dręczyła go, zarówno jak łzy młodej wdowy; uważał się za nieszczęśliwego. Szedł prędko ku grupie czarnych drzew, aby go zakryły, pragnął zapaść się pod ziemię i uwolnić od męczącego wstydu porażki.

Nagle z poza ogromnych kiści zieleni błysnęło światło — to jego dom, oświetlone szyby gabinetu Reni. Wielka słodycz zalała go — Renia! Czyż nie miał na pociechę za wszystkie przykrości tej drogiej, ślicznej towarzyszki?

Zapomniał o wszystkiem, przyspieszył kroku, przeszedł most Saint-Louis, łączący obie wyspy. Już wyobrażał sobie otaczające go ramiona żony, siebie, przytulającego do niej zbolałą głowę, usta, dopominające się czule jego pocałunku. Przebiegł myślą ostatnie miesiące, lecz nie przypomniał sobie ani jednego serdeczniejszego zbliżenia, ani jednej wymiany gorącej miłości, jakiej rozkosze znał dawniej. Analizował się. Czy kochał ją jeszcze? Zdawało mu się, że zaniedbał ją od śmierci dziecka. Poza miłosnem przyzwyczajeniem, które go zawsze namiętnie wiązało do Reni, cóż stało się ze szlachetnym ich intelektualnym związkiem z pierwszego roku? Zlekka poczuwał się do winy; kryzys, który przechodził, czynił go

skłonnym do oskarżania się, do przypisania sobie wszelkich win.

Wreszcie doszedł do ulicy Bourbon. Sam widok bramy własnego domu napełnił serce jego błogiem wzruszeniem. Przyspieszył kroku szczęśliwy, jak człowiek, dążący do narzeczonej. Gwałtownie nacisnął klamkę, jakby w obawie, że mu się oprze, odmówi otwarcia, zabierze ukojenie w ramionach Reni, zabroni tej przyjaźni, tego współczucia żony, których tak bardzo potrzebował.

— Czy pani jest na górze? — zapytał Leona.

— Nie, proszę pana. Pani wyszła o piątej wezwana do połogu. Kazała powiedzieć, że to długo potrwa, żeby pan nie oczekiwał jej przed północą.

Guéménć zesztywniał, zbladł lecz zdusił gniew i siadł sam do zimnego obiadu. Stara Rozalja dawno ich opuściła, utrzymując, że u „takich państwa“ służyć nie może. Od czasu jej odejścia, już kilka zmieniło się kucharek, traktujących państwo, jako klientów, których się lepiej lub gorzej karmi. Tworzyły one wraz z pokojowemi, tajny związek celem wyzyskiwania domu, gdzie czuły się paniami. Renia wiedziała, że ją okradają, a że zawzięcie trzymała się zasady zajmowania się sama gospodarstwem, zabierała klucz od tej lub innej szafy skazując męża w czasie swej nieobecności na obywanie się bez obrusa, bez owoców lub likierów.

Fernand, który zazwyczaj przez wrodzoną delikatność i siłę charakteru, znosił stoicznie te drobne przeciwności domowe, dziwnie cierpiał tego wieczoru. Dodawał jedne po drugich, wyszukiwał w pamięci, sumował przykrości, które znosił od dwóch lat. Pokojowa z miną złośli-

wie ironiczną oznajmiła mu, że deser jest pod kluczem. Boleśnie odczuł niedołężne gospodarstwo, oraz krytykę służby. Zgnębienie wzmogło się jeszcze. Poszedł zamknąć się w swym gabinecie. Śmieszność ścigała go we własnym domu.

Pogrążył się w rozmyślaniu nad swemi nieudanemi poszukiwaniami. Siadł przy biurku sam, jak owi samotni starzy kawalerowie, marzący o kobiecie, przy której sercu mogliby się wynurzyć. Nieszczęśliwy i samotny jak oni, cierpiał podwójnie z powodu swego opuszczenia. I teraz, kiedy spodziewał się, że będzie mógł w ramionach swej żony zrzucić ciężar z serca, wyznać jej swe zniechęcenie, odwołać się do jej energji, oto cierpi sam opuszczony.... Żałował, że się ożenił z tą dumną, twardą istotą, która mu odmawiała poświęcenia. Przypomniał sobie synka, który może byłby żył jeszcze, gdyby była go karmiła i niezaspokojony głód ojcostwa wzmógł wszystkie jego urazy. Pragnął śmierci. O północy Renia jeszcze nie wróciła, a pragnął jej powrotu mimo swej urazy do niej. Zwykła skromna panienka byłaby mu dała szczęście — przypomniał sobie wszystkie, które znał, lecz wspomnienia rozkoszy, złączone z miłością Reni, czyniły go obojętnym na wszelki urok innych kobiet. I chcąc odnaleźć wspomnienia żony, przeszedł drzwi, dzielące ich dwa gabinety.

Przyglądał się jej fotelowi, biurku, pióru, gazetom, temu naukowemu wyglądowi pracowni, świadczącej o potężnym intelekcie jej właścicielki. Byłby chciał wszystko zniszczyć, rozbić biurko, stół ginekologiczny, mikroskop, spalić gazety i książki, wrzucić ich szczątki i popioły do rzeki, zniszczyć wszystko, co zabierało mu żonę i unieść ją w pustynię, ogoło-

coną z wszelkiego uroku, wszelkich dyplomów, biedną, pokonaną, upokorzoną, by nią owładnąć, posiąść ją, nasycić się nią.

Oczekiwał jej z gorączkowo wzmagającym się gniewem. Około trzeciej rano, gdy dniało, zdrzemnął się w fotelu. O szóstej zbudziło go skrzypnięcie otwieranych drzwi. Renia stała przed nim świeża, pachnąca ranną rosą, nieco drżąca w swym sukiennym żakieciku. Ten powrót żony nad ranem, troskliwość z jaką tłumiła odgłos swych kroków, wszystko to miało wygląd czegoś tajemnego, nieprzyzwoitego, czegoś, co przypominało romanse cudzołożne.

— Nie położyłeś się? — zawołała.

Spojrzał na nią zimno, wydała mu się obcą.

— Czekałem na ciebie — odpowiedział.

Nie zauważyła początkowo jego dziwnego zachowania. Zdawała się być w wielkiem podnieceniu — otaczała ją sława. Z nadzwyczajną wymową opowiadała o połogu, przy którym odniosła wielki sukces. Było to w Cité, dziesięć minut stąd. Młody początkujący lekarz chciał już poświęcić dziecko, by ratować matkę, gdy dzięki Bogu, ojcu przyszło na myśl zawezwać ją, lekarkę....

— I dziecko żyje! — zawołała zwycięsko. — Śliczny malec dziewięciofuntowy i matka miewa się doskonale. Myślałam, że mnie mąż uściska!

Podniecona wdzięcznością swych przygodnych klientów i nerwowem zmęczeniem po bezsennej nocy, promieniała, nie kryjąc swej dumy przed mężem. Zrozumiał, że to nie była chwila odpowiednia na przyznanie się do smutnych wyników swej pracy, gdy ona triumfowała powodzeniem. Nie była z tych żon, które każdej chwili gotowe zastosować stan swej duszy do stanu duszy męża, robiąc się dla

niego i względnie do jego humoru, wesołe lub smutne. Indywidualność Reni zbyt silna, nie znała owej delikatności i subtelnych poświęceń. Miała swe niezależne życie i okazywała się szczęśliwą lub stroskaną, nie troszcząc się o usposobienie męża.

Guéméné roześmiał się złośliwie:

— A! tak, ratujesz cudze dzieci!

Wesołe oczy młodej kobiety, pełne zadowolenia, zasępiły się nagle.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Patrzeli sobie prosto w oczy, lecz ani jedno ani drugie nie miało odwagi ujawnić swej myśli. Renia nigdy nie doznała podobnej zniewagi. Stała blada, ze łzami w oczach, wstrzymując szloch. Fernand zrozumiał ją, zadrżał i zawołał głosem zmienionym, głębokim i bolesnym:

— Reniu! Reniu!

— Czego chcesz odemnie? — zapytała z ruchem zniechęcenia.

Znów zapanowało milczenie. Patrzeli na siebie podejrzliwym wzrokiem. Nieporozumienie, które wkradło się zdradnie w ich małżeństwo od chwili śmierci dziecka, miało wybuchnąć teraz płomieniem zbyt długo tłumionego ognia. Renia drżała, nie wiedząc sama dlaczego. Podniosła firankę i patrzała na sunące z biegiem wody bez szelestu statki pod ich oknami. Fernand zbliżył się do niej i mówił cicho:

— Zlituj się nad naszem szczęściem. Ono tonie, Reniu, czuję to, jesteśmy w niebezpieczeństwie. Nasze szczęście było piękne, niezwykłe, drogocenne... czy chcesz je ratować? Zależy ci na niem? Znałaś je, gdyśmy je posiadali, czy będziesz go żałowała, gdy je stracisz? Czy kochasz mnie na tyle, aby być

wspaniałomyślną? Nie chcę ci niczego ukrywać, żono moja droga: serce moje wbrew mej woli buntuje się przeciwko tobie. Cierpię od chwili naszej miłości; cierpiałem przez ciebie w pełnem szczęściu, cierpię coraz więcej. Tyle bólu nagromadziło się we mnie, że dziś dławi mnie, nie mogę żyć tak dalej... i przeraża mnie, że widzę węzły rwące się między nami.... Reniu, już raz prosiłem cię o ofiarę, na którą się nie zgodziłaś. Wówczas nie byliśmy jeszcze zaślubieni, chwila była mniej tragiczna. Dziś mamy po za sobą dwa lata życia wspólnego, i między nami rzeczy, których nic nie może zmazać: kochaliśmy się Reniu. Straszną byłaby ruina naszej miłości. Rozumiesz czego żądam od ciebie?...

— Tak, — odrzekła, — rozumiem.

Zabrakło mu oddechu. Ona owinęła się we fałdy firanek, jakby woalem. Wreszcie oświadczyła:

— Myślę, że dla twojej zachcianki nie potrzebuję się poświęcać. O! przeczuwam prawdę: znużony jesteś miłością do mnie. A cóż by było, gdyby moja obecność stała ci się wstrętną... Cóż by mi wtedy zostało bez twej miłości, bez mego zawodu?

— A gdybym zażądał, abyś rzuciła zawód lekarza?... Czyż nie jestem panem?

— Panem?... panem?... — powtórzyła kilkakrotnie, tracąc oddech.

Na to słowo nieoczekiwane wyprostowała się, wstrząsnęła jak lwica, której by nakładano wędzidło. Wzburzona, płomienna, oporna, mierzyła wzrokiem męża, nie dając odpowiedzi.

— Nie obrażaj się, Reniu, — rzekł Gnéméné łagodnie. — Przez „pana“ rozumiem tego z nas dwojga, którego wola ma większe prawa. Ostatecznie, gdy dwie złączone ze

sobą wole wejdą ze sobą w konflikt, czyż nie musi jedna ustąpić? Natura, która uczyniła mężczyznę silniejszym i wlała w umysł jego instynkt panowania, wyraziła tem samem, że mąż nie powinien ulegać. Byłaś kobietą wyjątkową; Nieraz powściągałem mą wolę, aby uszanować twoją. Nie czyniłem tego z tchórzostwa, lecz przeciwnie, był to wynik panowania nad sobą i czyniłem to w miarę tego, co uważałem za obowiązek. Dziś nasza miłość jest w niebezpieczeństwie: chcę ją ratować. Chcę, abyś ty uległa. Chcę, abyś tu została, piinowała ogniska, któremu grozi ruina. Mam prawo rozkazać, to nawet mój obowiązek.

— Ależ, cóż się dzieje? — zawołała. — Dlaczego czyhasz na mój powrót, dybiesz na mnie jak na zdobycz, wyzyskujesz me zmęczenie, me wyczerpanie, aby mnie łatwiej zwalczyć?

— Reniu, — wyznał głosem cichym, z rodzajem zawstydzenia, — my się odzwyczajamy od siebie....

—A... ty mnie już nie kochasz. Fernandzie! — zawołała, łamiąc ręce.

Wybuchnęła płaczem, rzuciła się w fotel, ukrywając twarz. Rozrzewnił go jej widok, rozczulił ból, jaki jej sprawił. Miał ochotę cofnąć swe słowa, klęknąć przed nią. Nagle zrozumiał, że i te łzy były dowodem jej nieugiętości, że dalej będzie się upierała, że jutro rozpocznie znów oddalać się od ogniska, a on — cierpieć.

— Słuchaj Reniu, — mówił namiętnie, stanowczo, gdyż czuł równocześnie urazę i miłość do tej pięknej, wymykającej mu się małżonki, — słuchaj: Jourdeaux umarł; sen, którym żyłem, rozwiał się. Tak, śmierć każdego pacjenta przeraża mnie zawsze i zgnębia i po dziesięć, po

dwadzieścia razy wracałem tu z sercem ściśniętem pod brzemieniem klątwy którą nam rzucają zrozpaczone wdowy, matki, córki, gdy nie dokonaliśmy cudu uleczenia umierającego. Każdy z nas lekarzy zna tę straszną godzinę, która czyni mu tem bardziej upragnionym dom, życie rodzinne, radość przeciwstawioną tym przykrym scenom. I tak wracałem do ciebie w owe dni, spragniony twej obecności, twej pogodnej wesołości, słodyczy, którą mogłaś mi wlać w duszę.

Najczęściej byłaś nieobecną, odbywając sama wizyty albo zajęta zawodową pracą — oddalałaś się coraz bardziej odemnie. Nie skarżyłem się i starałem się znosić sam przykrości, któremi tak słodko mężczyźnie dzielić się z żoną.

Lecz wczoraj wieczór, Reniu, czułem, że wszystko wali się na mnie.... Całoroczna moja praca okazała się daremną, moje ambicje prysły jak bańki mydlane, moje domniemane odkrycie stało się śmiesznem; jestem człowiekiem zgubionym. Nie pozostało mi nic prócz ciebie Więc przybywam tu, szukając ucieczki; instynktownie wyciągam ramiona ku tobie, którami się wydajesz jedynym celem życia; przychodzę żebrać twej pieszczoty ,twych pocałunków i nie znajduję cię! Noc mi upływa na oczekiwaniu ciebie! Ach!... jak mogłaś nie słyszeć, gdziekolwiek bądź będąc, daleka i obca nawet, jak mogłaś nie słyszeć tych wołań całej mej istoty o twoją miłość! Widzisz, zbyt często brakowałaś mi w godzinach, gdy potrzebowałem twej miłości; zbyt często zdawałem sobie sprawę, że nie istniejesz dla mnie, lecz tylko dla twej medycyny. Nigdy nie miałaś dla mnie tych drobnych starań, które czynią, że mężczyzna odnajduje w żonie coś ze swej matki;

dom mój był rodzajem restauracji, nigdy nie odczułem, jak twój ojciec naprzykład, miłości swej żony aż w podawanych mu potrawach. Żona! Czy ty mi byłaś żoną? Cóż my mamy wspólnego? Jedzenie? Czyż to nie przypadek, gdy nasi klienci pozwolą nam jadać wspólnie? A nasze wieczory? Najczęściej zamykasz się u siebie z gazetami lekarskiemi, broszurami, a ja pracuję sam, myśląc o małżeństwach, które posiadają tylko jedną lampę i jeden abażur, osłaniający czoło czytającego mężczyzny i pracującej przy nim kobiety. Czyż my mamy wspólne rozmowy? spacery? Zaledwie sypiamy razem, a ileż razy dzwonek telefoniczny zabiera mi jedyną radość, jaką mi zostawiasz — obecność twego uśpionego ciała!... Pędzę życie straszliwie samotny, zgnębiony mirażem szczęścia, które mi ciągle ucieka. Pobierając się, odmienne mieliśmy ideały; gdyż ja marzyłem o związaniu z tobą życia, ty o rozwiązaniu; wnosiłem w nie miłość szaloną, ty dar nader skąpy. Małoż mi wyrzucałaś urodzenie się naszego biednego dzieciątka! Jakże ja wówczas cierpiałem! i przez ciebie Reniu, zawsze przez ciebie! Gdybyś była chciała może dziś...

Nie skończył, kurcz go schwycił. Wyjąkał swe wieczne zdanie:

— Gdyby przynajmniej żył jeszcze nasz mały Nunuś!...

— Okrutny jesteś!... — rzekła Renia głucho.

— Kocham cię mimo wszystko, — ciągnął Guéméné, — kocham cię tak silnie, że chciałbym cię unieść na koniec świata, zadowolniłbym się słomianą strzechą, korzonkami jako pożywienie, bylebym tylko posiadł cię całkowicie. Zaprawdę, kocham cię tak namiętnie, jak pierwszego dnia, lecz z głębi duszy wyrywą się przeciw tobie skarga tak gwałtowna, że

jej uciszyć nie mogę. O! to nie taką jest żona i patrz, oto w tej chwili, gdy widzę cię tak niewzruszoną, milczącą, obojętną na to, co cierpię, nieubłaganą i nieprzejednaną gniew łączy się z mą miłością... nie wiem, co się we mnie dzieje... chciałbym cię złamać... sam nie wiem... nie wiem nic!...

Przeraziła się, widząc go do tego stopnia wzburzonym; cała jej miłość wzbudziła się; otoczyła go ramionami i bez rozumowania, bez zastanawiania szeptała:

— Fernandzie!... jakiś ty niesprawiedliwy!

Drżący trzymali się w objęciu. Wszystko wydało im się złudą, prócz potężnej miłości, która ich łączyła. A jednak był to tylko przestrach, który rzucił ich sobie w ramiona — zrozumienie nieodzownej ruiny, przeczucie niebezpieczeństwa. Ona powtarzała:

— Najdroższy, zapoznajesz mą miłość. Czyż dlatego, że nie wyrażam jej w drobnych, głupich pieszczotach, jest mniej silna, mniej wielką? Kocham cię z całem zrozumieniem, całą inteligencją, całem sercem. Stanowisko kobiety intelektu, kształcąc mą duszę po męsku, uczyniło ją zdolną do wyższego uczucia. Mówię to bez zarozumiałości: mało jest mężczyzn kochanych szlachetniej, absolutniej niż ty. Cóż z tego, że własnemi rękoma, jak moja matka, nie przyprawiam ci sosów i nie pilnuję garnków? Co znaczą dla ludzi jak my, te drobiazgi materjalne? Czy wątpisz o ogromie przywiązania, które mam dla ciebie? Ono ma treść przecenną, ono wznosi nas ponad inne małżeństwa, ponad banalne i głupie zachwyty. Przyznaj, że nieraz moja energja pomogła ci w pracy więcej, niż rozmarzające uściski. Mój drogi, pozbądź się starych przesądów, naucz się rozumieć nowoczesne małżonki.

— Niema nowoczesnych małżonek — burzył się — jest jedna odwieczna kochanka, o której marzą mężczyźni, dla której każdy gest miłosny jest świętym, dla której miłość staje się religją, która nadaje wszystkim czynom charakter obrzędu! Jest nią chłopka, gotująca z przejęciem zupę dla swego męża. Była nią moja piękna ciotka, całe dnie przerzucająca [illegible] aby znaleźć dla mnie ładny sonet do przeczytania na wieczór. Mężczyźni, Reniu, potrzebują swej żony, jak dzieci matki. Twój zawód robi z ciebie subtelną cudzołożnicę; zabiera ci twą słodycz, twą uległość, twoją czułość, którą mi jesteś winną, a o które zazdrosny jestem, jak o kochanka, któregobyś miała. Zarzucisz mi egoizm, lecz jak żarłoczne zwierzę spragniony jestem twoich starań, twego przywiązania i jestem takim, bo cię kocham. Oddaj mi się cała, błagam cię o to i żądam tego!

Zesztywniała mu w ramionach.

— Zabijasz mnie, Fernandzie!... — szepnęła wyczerpana.

— Żądam tego — powtórzył; — zamknij drzwi przed ludźmi, którzy przyjdą cię konsultować, wyrzec się twej klienteli, zostań w domu, abym cię tam zastał zawsze; bądź mi przyjaciółką, powiernicą, podporą, mojem szczęściem, a nie katem.

— Ależ ja nie mogę, nie mogę! To, czego żądasz, jest nonsensem! Jak zniosę bezczynność? Pomyśl o straszliwej nudzie, o zabijającej nudzie, którąby mnie ogarnęła. Życie moje było tak pełne, tak szczęśliwe!...

Chwycił ją za ramiona, mówiąc twardo:

— A jeśli zacznę cię nienawidzieć?...

— O Fernandzie!...

Chciała się uwolnić, lecz trzymał ją za ręce, powtarzając gorąco z oszalałemi oczami:

— Wybieraj, wybieraj!...

Blada, zmieniona błagała:

— Puść mnie, puść mnie ;obiecuję ci... namyślę się. Zostaw mi dwa tygodnie, obiecuję ci... sprobować... Nie mogę już!

Była rzeczywiście bez sił; żal mu się jej zrobiło, pomógł jej przejść do sypialni troskliwie położył do łóżka bez słowa. Gdy zasnęła stał długo i przyglądał jej się.

Dni następnych po tych smutnych wyznaniach, gdy znaleźli się sam na sam, ogarniał ich niepokój; lecz nie wspominali przykrej sceny. Renia prosiła o dwa tygodnie do namysłu; udzielił jej tej zwłoki. Tymczasem chorzy zajęli go. Starał się więcej oddawać swemu zawodowi szukać w nim ukojenia. Pragnął stać się lepszym, nieść chorym ulgę i współczucie. Niestety, ogromne zmęczenie łamało jego wzloty.

— Nigdy już nie podniosę się z mej porażki — myślał.

Dnie wydawały mu się bez końca. Brak mu było biednego Jourdeaux. Przyzwyczajenie chodzenia codziennie przez osiemnaście miesięcy na bulwar Saint-Martin pozostawiło w jego życiu teraz, gdy tam nie wracał, dziwną pustkę. Gdy nadchodziła piąta zdawało mu się, że cicha, młoda kobieta w wełnianym szlafroczku, oczekuje go tam przy łożu chorego i godzina ta stawała mu się, jakby zbyteczną w jego popołudniowych zajęciach.

Rozpoczęte prace w laboratorjum w Ecole leżały nietknięte; nie pokazywał się tam więcej. Parafina topniała w rurkach, szczepione świnki morskie zdychały, tajemniczy mikrob zasypiał we flakonach w żółtym płynie. Guéméné oddalał od siebie wspomnienie tylu rozwianych nadziei. Jednak renoma jego szerzyła się.

Przyprowadzano mu kilku chorych na raka, prosząc o zastosowanie leczenia jego serum. Chciał odmówić, oświadczając, że nie posiada żadnej pewności. Młody lekarz wzbudzał nadzwyczajną sympatję. Nalegano nań tem więcej. Aby zadowolnić pacjentów, zastrzykiwał im po kilka kropli Aqua fontis, odmawiając później honorarjum. Najdziwniejsze, że chorzy czuli polepszenie. Guéméné wzdychał:

— Ot i nasza wiedza!

Obserwował żonę, starał się odgadnąć jej myśli; była nie do odgadnięcia. Ogarnęła go czarna rozpacz. Gdyby go dostatecznie kochała, aby poświęcić swój zawód, czyż wspaniałomyślnie nie byłaby zdecydowała się od pierwszego dnia? Chłód zapanował między nimi; unikali sam na sam. Nocą, zasypiając obok niego, wzdychała. Przyjmując chorych w tym samym czasie co i ona nadsłuchiwał jej głosu, który przygłuszony dochodził go z sąsiedniego pokoju: wówczas wydawała mu się ożywiona, tryskająca rozumem, władna i czuło się, że rozwija się we właściwej atmosferze. Miał wyrzuty sumienia, obawiał się, że może przesadzał w swych prawach męża, a przynajmniej, że nadużywał ich, żądając podobnego wyrzeczenia się. Jakieś silniejsze zajęcie umysłu czem innem byłoby mu dopomogło do zrezygnowania, ale medycyna nie zajmowała go dalej, poszukiwania serum wydały mu się daremne. Myślał o swem dziecięciu, któreby teraz już rok miało. Wzdychał:

— Ach! gdyby to mój biedny Nunuś żył....

Pewnego wieczora o piątej machinalnie z myślą, że należy oddać wizytę wdowie, udał się na bulwar Saint-Martin. Pani Jourdeaux nie przyjmowała jeszcze, więc wprowadzono go do

pokoju zmarłego, gdzie haftowała przy oknie, a chłopczyna bawił się przy niej. Piękne jej rysy pełne słodyczy wypoczęły od czasu, gdy przestała pielęgnować męża; uśmiechnęła się do wchodzącego doktora; Andrzejek przybiegł i rzucił się w ramiona swego wielkiego przyjaciela, który, ściskając go konwulsyjnie, miał ochotę płakać, myśląc o swym własnym chłopczynie.

— Biedny sierotka, rzekła matka ze smutkiem.

Poczem dodała:

— Tęsknił za tobą, doktorze, codziennie w godzinach, w których zazwyczaj przychodziłeś, pytał o ciebie.

Guéméné ukradkiem spojrzał na łóżko, na którem niegdyś spoczywał chory i które po raz pierwszy widział przykryte kapą, dobraną do tapet.

Pani Jourdeaux odgadła jego myśli i jak zawsze w okolicznościach jaknajdrażliwszych, prosty jej umysł poprostu wyraził to, co czuła:

— Ile goryczy w życiu! — szepnęła.

Los jej wydawał się tem smutniejszy, tem cięższy przez kontrast, tworzący się z promienną pogodą jej miłej fizjognomji. Osamotniona, bez oparcia, wdowa, w 28 roku życia, wyglądała na pustelnicę w milczącym zakonie, gdy haftowała, sedząc stale przy oknie, wychodzącem na dziedziniec. Miłość, którą otaczała męża, była raczej litością i przywiązaniem; zachowała nienaruszoną dziewiczość duszy, która pozostawiła na jej twarzy, wyraz czystości. Podobną była do zakonnicy, jedynie uczucie macierzyńskie zdradzało ją co chwile, przez namiętny wyraz, jaki jawił się na jej twarzy na widok syna. Bez wyszukiwania słów odezwała się:

— Nigdy nie zapomnę starań, jakiemi otoczyłeś mego męża, doktorze. Wiem jak pracowałeś, aby go uratować. Cierpienie jego musiało być doprawdy nieuleczalne. O! nie, nigdy nie zapomnę... choćbym żyła sto lat...

— Ależ ja nic nie zrobiłem, rzekł Guéméné, któremu ulgę sprawiało okazanie swego zniechęcenia tej słodkiej kobiecie, świadkowi jego daremnych wysiłków; wszak nie wyleczyłem chorego. Przewidywałem lekarstwo i szaleńcze robiłem pani nadzieje. Ha! sam wierzyłem w powodzenie, które obiecywałem. Inny po mnie je zbierze.

— Nie, nie żaden inny, odrzekła. Pan będziesz dalej szukał dla nowych chorych i znajdziesz.

Przyznał, że zaniechał zupełnie swej pracy.

— Jakżeż to! — zawołała. — To niemożliwe! Nie masz pan prawa tego robić! Posiadasz pan prawdziwy genjusz wiedzy. Bóg dał ci talent dla dobra ludzkości: to twój obowiązek rozwinąć go! Czuję, że dokonasz dzieła — jestem tego pewna. Widzę te miljony nieszczęśliwych, którzy oczekują ratunku, a którym możesz wrócić szczęście. Może byłeś pan u progu prawdy... Może brakowało twemu serum tylko drobnostki, aby zniszczyć straszliwą chorobę. Doktorze, nie trzeba zatrzymywać się w połowie drogi.

Pozwolił jej mówić, znajdował ukojenie w słowach tej skromnej, naiwnej kobiety, która nie rozumiała nic z jego prac, a mówiła z takim zapałem, li tylko przez zaufanie do niego. Nie przekonywała go, lecz uspakajała. Rozkoszował się tem uwielbieniem i wiarą, nie sądził naiwnych przyczyn, odczuwał tylko jej zapał.

— A potem — kończyła — nie opuszczaj nas! Od chwili śmierci mego męża myśl dzie-

dziczności tego zła, prześladuje mnie.... Powiedz mi pan, czy mały nie jest zagrożony?

— Ależ nie, nie, przenigdy!

— O! wiem, nie chcesz mnie przerażać.... A jednak ja się boję... Czyż nie można zabezpieczyć biednego dziecka przed tą straszną chorobą? nic nie można zrobić?... Mnie się zdaje, że gdybym była lekarzem znalazłabym!.... Zaszczepiono go przeciw ospie. Powinno się to robić przeciw innym chorobom.

— Jędruś! — zawołała.

Chłopczyk rzucił zabawę i pieszczotliwie przytulił się do kolan matki, którą przypominał białą, poważną i nadzwyczajnie słodką twarzyczką. Był tak grzeczny, posłuszny, tak mało natrętny, że wszyscy go kochali. Guéméné rozczulił się, patrząc na niego; gładził w swych dłoniach drobne miękkie, świeże rączyny, wstrzymując się, aby ich nie ucałować, myślał o tym drugim, który kiedyś byłby miał te same lata...

— Nic nie można zrobić? — błagała matka.

Guéméné nie odpowiadał, patrzał na dziecko, które szczebiotało:

— Przyjdziesz jeszcze, prawda?

— Tak, maleńki przyjdę napewno — odrzekł Fernand.

Pani Jourdeaux spostrzegła łzy w oczach doktora, zrozumiała, że myśli o swym zmarłym synku i przez delikatność oddaliła małego Andrzejka. Poczem zaczęła mówić o mężu, jak gdyby chciała zasłonić wdowim woalem blask macierzyńskiego swego szczęścia.

Guéméné wyszedł, jakby odrodzony w serdecznej atmosferze tego domu. Zdawało mu się, że nagle otworzyły się przed nim drzwi zamknięte, ofiarowujące mu szeroką przestrzeń, w której miał odtąd przebywać. Szczepionka

raka! co za cel! Czyż za wiele jednego życia, aby cel ten osięgnąć? Gdyby nawet mu się nie powiodło, cóżby szkodziło jeśli uprawi pole pracy dla drugiej generacji!... W drodze powrotnej podniecony jego umysł tworzył tysiące kombinacji. Myślał o nowych solach, aby próbować i ulepszać szczepionkę. Wzięła go ochota zobaczyć znów swe laboratorjum. Nawałem cisnęły mu się pomysły.

Wszedł. Renia była w domu; znalazł ją w garderobie na trzeciem piętrze, wiążącą różowemi wstążeczkami, chwiejące się stosy świeżych serwet. Była blada i zmieniona. Nie zwrócił uwagi, zapytał roztargniony:

— Cóż to! nie odwiedzasz dziś chorych?

— Nie! — odrzekła, odpoczywam.

Głos jej rwał się gorączkowo. Bezmyślnie, z instynktownem zadowoleniem patrzał na olbrzymią szafę, gdzie piętrzyły się jak w bibljotece, białe prześcieradła, poszewki, serwetey. Widok śnieżnej ,harmonijnie poukładanej ręką żony bielizny, napełnił go zadowoleniem, lecz nie zatrzymując się dłużej, przeszedł do swego gabinetu ,otworzył szufladę, gdzie od dwóch miesięcy spoczywały jego notatki z laboratorjum.

Następnego dnia w porze śniadania zobaczył Renię w szlafroczku przeglądającą w salce jadalnej zatłuszczoną książkę kucharki. Zdziwił się i zaniepokoił. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy naraz usłyszał rozkaz żony wydany pokojowej.

— Nie przyjmiesz nikogo do mnie dzisiaj. Powiesz, że jestem cierpiącą, niech się udadzą do pana.

Zadrżał. Czy dobrze słyszał? Więc fakt dokonany? Ustępuje?

Zaledwie znaleźli się sami, drżący zbliżył się i cicho szepnął do ucha żony:

— Wytłomacz mi...

Był uszczęśliwiony, nieledwie triumfujący, spodziewał się wybuchu czułości. Ale młoda kobieta broniła się przed nią:

— Czekaj trzy dni, nie pytaj o nic, zostaw mnie, dobrze?

A gdy odsunął się z wyrazem niezmiernego smutku, dodała:

— O! mój drogi, jak ty mnie męczysz!

Była to rozdzierająca skarga w ustach tej dumnej Reni, która szczerze i z całą prawością siliła się na ostateczną decyzję. Walka trwała od dwóch tygodni. Noce jej były nią udręczone; widziała we śnie umierające kobiety, które błagały ją o ratunek, ale tajemne siły krępowały ją, nie mogła kroku zrobić w kierunku tych nieszczęśliwych.

Zdawało jej się, że Fernand, stawiając to żądanie, postępuje twardo. Ale kochała go tak głęboko, że szczerze myślała o możności tego zaparcia się siebie, w obawie stracenia jego miłości. Im bardziej zbliżał się czas decyzji, tem mniej wiedziała, co postanowić. Nigdy zawód lekarza nie wydawał się piękniejszym. Leczyła młodą dziewczynę, chorą na złośliwą szkarlatynę i oto pacjentka wracała do zdrowia, mimo, że stracono już nadzieję uratowania jej. Renia z upojeniem rozkoszowała się swym triumfem, wdzięcznością rodziców, swym autorytetem, który czynił ją wszechwładną u łoża, tej drugiej, młodszej, uratowanej przez nią kobiety. Wszędzie ją uwielbiano, kochano, podziwiano. Pracowała ponad ludzkie siły, przerzucała całą prasę medyczną, studjowała terapję z nowych książek, wydawanych przez Boussarda. Nauka odsłaniała jej coraz nowe

tajemnice. Zawsze ciekawa, zawsze chciwa wiedzieć więcej, uczęszczała dalej do szpitali, spędzała ranki w szpitalu Maternité w Beaujou, w wydziale Artout, to w szpitalu Enfants-Malades, to znów u Boussarda w Charité. W pracę swą wnosiła najszlachetniejszą, najinteligentniejszą namiętność. Życie było jednym ciągłym wirem myśli i poszukiwań. Profesorowie, jakiekolwiek było ich zdanie o kobietach-lekarzach, podziwiali ją; czuła wszędzie ich sympatję, ich pomoc. Razu pewnego matka zapytała ją: „Nie odczuwasz bólu, jak twój ojciec, gdy ci umrze pacjent?“ — mogła odpowiedzieć: „Ależ mamo, mnie nigdy chory nie umarł!...“

Ta jej gorączkowa praca, ten rozgwar intelektualny czynił ją zupełnie szczęśliwą. Bolesne wspomnienie śmierci dziecka, które opłakiwała często, zacierało się w szalejącym kole upajających zajęć. I wszystko to miała rzucić. Mąż kochał ją mniej, przyznał to; i to wyznanie przeraziło młodą kobietę. Ale czy uratuje ich zagrożoną miłość, poświęcając jej swą sztukę, wraz z wszystkiemi jej satysfakcjami? Chciała siebie doświadczyć, odosobnić przez trzy dni, uprzedzić ten akt, spróbować tego życia cichego, monotonnego, ukrytego, jakie prowadzą te, które strzegą ogniska. I wówczas pod pretekstem zdrowia zdecydowała się oddalić klientelę i przez trzy dni zamknąć się u siebie.

Czuła się jak w więzieniu. Napróżno zmuszała się do prac i zajęć domowych — dom, którego nie nauczyła się kochać, był smutny, ciasny, nudny. Meble nie miały tej przyjaznej fizjognomji, jaką nadaje im ręka kobiety, żyjącej pośród nich. Była u siebie jak w meblowanych pokojach; nic ją z niemi nie łączyło, wszystko było jej obce. Schroniła się do sy-

pialni. Patrzała na łóżko, na piękną bretońską szafę, na fotele, szezlong, ale nie odczuła nic z tej wielkiej, niemej, niepokojącej tajemnicy, jaka dla niektórych kobiet tkwi, w niedającej się z niczem porównać samotności sypialnego pokoju. Gładka szyba zwierciadła, muśliny nad łóżkiem, spokój i nieruchomość przedmiotów, oczekujących małżonków, których moc połączy, poezja tej ciszy, wcale ją nie wzruszała, nic nie obchodziła. Jedyny pokój, w którym czuła się swojsko, to jej gabinet. Następnego dnia zamknęła się w nim.

Ale wróciła do niego, jak dusza tułacza wraca do życia, z zakazem używania go. Jakież to było smutne patrzeć na te rozłożone gazety, te książki zakazane, stół ginekologiczny, na którym może już nigdy nie wykona swej sztuki, mikroskop, fotel — wszystko stanie się niebawem niepotrzebne, jeżeli ustąpi. Ciężkie westchnienie bólu wstrząsnęło nią, rzuciła się na biurko i oparłszy czoło na rękach, łkała jak dziecko.

— Nigdy, nigdy nie zdołam — myślała przerażona.

Nazajutrz był dzień decydujący. Okrutny dylemat, który jej Fernand postawił, gniótł i gnębił ją coraz silniej. Bezczynność, na którą chciano ją skazać przejmowała ją śmiertelną trwogą. Rozumiała coraz bardziej niemożliwość żądanej ofiary. Wówczas przypomniała sobie Dinę Skaroff, ową dziwną przyjaciółkę, tak daleką i niepojętą, która spełniła z radosnym uśmiechem ten sam akt, przed którym ona dziś traci siły i upada na duchu.

Pautel oprócz kliniki dla sercowo chorych przy ulicy Saint-Séverin, przyjmował u siebie na bulwarze Arago, gdzie urządził sobie poetyczne gniazdeczko. Renia i Dina, widywały się

tylko na obiadach u starych Herlinge'ów. Każda z nich pędziła swój odrębny tryb życia. Zajęcia pani Pautel nie pozwalały jej na częste wizyty.

Renia znalazła dom dawnej koleżanki, podobny do białego dworku, w głębi ogrodu, wśród pachnących białych gwoździków. Firanka w jednem oknie była uchylona i z poza szyby ukazała się wdzięczna twarzyczka Diny. Wybiegła na ganek i strzepując wesoło skromny czerwony szlafroczek zawołała:

— Nie potrzebuję się ubierać dla ciebie prawda, moja droga?

Była to Dina — mieszczanka; dzika gazela oswojona, przytyła, rozkwitła w szczęściu, stała się uśmiechnięta, zadowolona, swobodna. Lubiła wygodę rannego negliżu, a witając przyjaciółkę, ukradkiem rzucała wzrokiem na pralnię w ogrodzie, gdzie piastunka mydliła bieliznę małej Soni. Wprowadziła Renię do sali jadalnej, mówiąc, że salon nie był „urządzony". Apetyczny zapach rosołu dolatywał z kuchni, stół jadalny założony był papierami, rejestrami. Dina tłomaczyła, że prowadzi rachunki mężowi. Pokój był duży, obity ładną, modną tapetą, wygodnie umeblowany. Gazety w nieładzie leżały na bufecie, fotel do bujania przewrócony, jakby zarezerwowany dla kogoś, czekał na pana, odmawiając gościny przychodniom. Kwitnąca glicynja zwieszała swe ciężkie liljowe grona wokoło otwartego okna.

— Pamiętasz czasy w Hotel-Dieu? — zawołała wesoło Dina. Jak to dawno, prawda?

Renia siadła zamyślona, z przymrużonemi oczami obserwowała ciekawie dziwną zmianę zaszłą w cudzoziemce.

— Tak, widzę ciebie w sali, w białej bluzce z steteskopem w ręku, rozprawiająca o szme-

rach extra-cardiaque, albo o niedomykalności klapy... Zmieniłaś się, Dinetko droga!...

— Chwała Bogu!... Nie były to zabawne czasy, ty wiesz.

— Więc ci ich nie żal? — pytała Renia. Nie odczuwasz żadnej nudy, nie masz wrażenia pustki?

— Pustki? Ależ moja droga, chyba wówczas czułam pustkę. Teraz mam życie pełne. Jestem szczęśliwa, zadowolona, zupełnie się nie nudzę, zapewniam cię. Patrz, od rana nie miałam czasu się ubrać!

— Tak — rzecze Renia — ale co za różnica między obecnemi twemi zajęciami a wówczas! Myślę, że życie musiało stracić część swego uroku i zainteresowania!

— A mój mąż — zawołała młoda kobieta. A moje dziecko? Czyż to nie dosyć, aby pokochać to życie? Prawda, lubiłam wówczas mój zawód, interesował mnie, oddałam mu się całą duszą. Wydawało mi się pięknem zadaniem leczyć biednych, przedłużać życie starcom, pielęgnować dzieci, czynić z nich zdrowe, silne istoty, zdolne do szczęścia. A także odgadywać choroby jak rebusy, wnikać w fizjologję ludzką i chemję, badać tych strasznych wrogów naszej rasy, te drobne mikroby, które nas niszczą; badać, aby je opanować i dorzucić wreszcie swą skromną cegiełkę do wielkiej pracy lekarskiej; to wszystko bardzo dobre. Ale kochać męża, poświęcić się jego szczęściu, stworzyć mu dom i rodzinę, to jeszcze lepsze. Zawód, widzisz, to środek, ale nie racja bytu. On ci wystarcza, póki jesteś młodą panną, bo wówczas nie masz nic lepszego do roboty; ale później, gdy tobą owładnie uczucie... O! moja droga, dziwiłabym

się bardzo, gdybyś i ty nie miała nieraz ochoty rzucić do ognia twoje doktorskie dyplomy.

— Myślę, że nigdy nie będę mogła tego zrobić — rzekła Renia wzruszona. — Zanadto boję się bezczynności.

— Bezczynności!

I Dina parsknęła śmiechem. Aby wywieść z błędu przyjaciółkę, opowiedziała jej swe całodzienne zajęcia. Zrana starania około małej dużo jej zabierają czasu, bo dodała: byłoby nie do darowania, gdyby niedoszła lekarka, nie zastosowała conajmniej przepisów higieny w wychowaniu swych własnych dzieci. Pragnęła, aby jej Sonia wyrosła na ładną i zdrową dziewczynkę. Następnie brała się raczo do porządków, pomagała służbie.

— Mój mąż lubi się przeglądać w polituze mebli — mówiła naiwnie. — Lubił kuchnię ruską, gdy był zmęczony, nic mu tak nie smakowało, jak potrawy z jej kraju. A jakże musiała się śpieszyć w dnie świąteczne! Lecz najwięcej komplikowało jej życie to, że doktor potrzebował jej często w klinice na ulicy Saint-Séverin. Zapewne, że nie grała tam wielkiej roli, ale Pautel korzystał z jej wiadomości, więc przygotowywała mu lekarstwa, robiła masaże, nacierania — była to dla niej prawdziwa przyjemność. Wreszcie trzeba było oddać wizyty żonom starszych kolegów, lub dawnym znajomym. Przytem mąż żądał, aby była dobrze ubrana, a ponieważ trzeba się oszczędzać, oglądała kapelusze tu i tam, często u czterech lub pięciu modniarek, nim zdecydowała się na wybór. Mimo to o szóstej wieczorem wracała do domu. Pautel tego sobie życzył i lubił, aby witała go uśmiechem, zaledwie drzwi otworzy. Od tej chwili nie należała do

siebie; śmiali się razem, rozmawiali, potem był obiad, sprawdzanie rachunków. Często biedak czuł się tak zmęczony, że siedząc w fotelu, odpoczywał, a ona, głośno czytała mu gazety lekarskie, bo trzeba, aby był au courant...

I kochająca ta żona, myśląc, że opowiada swoje życie, mówiła tylko o życiu tego, któremu się cała oddała. Rozwijała się w jego cieniu i czuła się szczęśliwą, podobna tym pnącym roślinom, które istnieć mogą tylko w cieniu silnego drzewa.

Lecz Renię ten rodzaj szczęścia, zamiast pociągać, oburzył. Przesadzała jego pospolitość, nie pojmowała jego spokojnej, jednostajnej a słodkiej harmonji. Zaparcie się siebie, z jakiem ta śliczna, inteligentna, wykształcona Dina oddała się w służbę mężowi, buntowało ją.

„Takie wyrzeczenie się życia intelektualnego to prawdziwe samobójstwo“ — myślała.

Pożegnała swoją przyjaciółkę z lekkiem drżeniem nerwowem, które ją krępowało i czyniło nieco sztywną.

Nie przypuszczała, że Dina, zostawszy sama, odprowadzała ją wzrokiem zasmuconym, jaki się ma dla tych, których się smutną tajemnicę przenika. A gdy lekarka zamyślona szła przez bulwar Arago, szepcąc „biedna Dina“, szczęśliwa młoda kobieta, wchodząc do domu, do swej śpiącej córeczki, radowała się swem szczęściem i myślała głośno „biedna Renia!“.

Wieczorem Guéménć wrócił, Renia nie wiedziała jak mu oznajmić swe postanowienie. Wizyta popołudniowa oświeciła ją ostatecznie. Miałaż spospolicieć, jak Dina? nie chciała tego; wiedziała teraz i zrozumiała, jakiemi więzami

trzymał ją jej zawód i jakby zmalała jej osoba gdyby przestała być lekarzem. Zdawało jej się, że Fernand bada ją milcząc; niepokój, jaki zdawało jej się, że w nim widzi, męczył ją. Co za tortura kazać mu cierpieć! Zaledwie zostali sami po obiedzie, rzuciła mu się w ramiona, złamana walką.

— Mój najdroższy — szeptała namiętnie — przebacz mi, przebacz, błagam cię!

— Przebaczyć?

— To, czego żądasz odemnie, wymaga heroizmu, Fernandzie. Zapewniam cię, że próbowałam wyrzec się mej pracy; nie potrafię... A jednak kocham cię tak...

— Biedna Reniu — odrzekł Guéménć z wielką słodyczą — nigdy nie miałem zamiaru dręczyć cię. Może zadaleko poszedłem owego dnia w żądaniach moich. Spróbuj tylko proszę cię, mniej się oddawać medycynie, a więcej mężowi... dobrze?

Ta serdeczna ustępliwość, która brzmiała w jego słowach, napełniła Renię wdzięcznością. Więc nietylko jej nie nienawidził za jej upór, ale rozumiał ją, nawet uznawał. Nie miała słów podzięki. Czuł ją drżącą ze szczęścia na swej piersi. Przysięgała go kochać ponad wszystko, zawód swój traktować jako drugorzędne zajęcie, starać się o dom, ograniczyć klientelę, poświęcić wieczory życiu wspólnemu. W ten sposób zaspokojone będą obiedwie jej żądze: żądza miłości i sławy — bez ofiary, bez okupu; będzie zupełnie szczęśliwa... Ale gdy czyniła mężowi obietnice najgorętsze, najbardziej upewniające na przyszłość, on zwolna uwalniał się z jej uścisku.

— Gdzie idziesz? — zapytała rozczarowana. — Nie spędzimy razem wieczoru?

Wyobrażała go sobie, jakoby wieczór zaręczynowy, myślała, że rozmarzeni, długo przyglądać się będą w oknie płynącej rzece... Ale z ostatnim pocałunkiem Guéménć wyrzekł:

— Idę do pani Jourdeaux... kazała mi dziś po południu powiedzieć, że jej mały niezdrów.

II.

Andrzejek Jourdeaux zapadł na jedną z tych zdradliwych, powolnych, niebezpiecznych gorączek, jakie często zdarzają się u dzieci. Obawiano się meningitisu. Doktor przychodził rano i wieczór. Wreszcie niebezpieczeństwo minęło, lecz dziecko pozostało osłabione. Guéméné przychodził dalej. Było to jedyną rozrywką pani Jourdeaux. Całe popołudnie spędzała w pokoju, haftując przy oknie, które wychodziło na wewnętrzny dziedziniec. Malec, umieszczony w wielkiem łóżku matki, wycinał obrazki. Około piątej przychodził doktór. Andrzejek rumienił się z radości, uśmiech zjawiał się na pięknej, spokojnej, bladej twarzy młodej kobiety. Zbliżano się do łóżka: rozmawiano o dziecku, o jego temperaturze i odżywianiu. Obok fotelu hafciarki stało krzesło, na którem Guéméné przywykł siadać. Był lipiec; upały przygniatające: doktor siadał wyczerpany.

— Jaki pan zmęczony! — rzekła pewnego dnia pani Jourdeaux, przyglądając mu się ze współczuciem.

— Jestem trochę zmęczony — odrzekł Fernand.

Znikła, po chwili wróciła, a za nią pokojowa, niosąc tacę z zimnym buljonem, słodkiem winem i ciastkami. Nieśmiało podała mu napój orzeźwiający. Lecz on przyjął go prawie z radością, przyznając, że jest głodny, gdyż dnia tego mało jadł z powodu nieobecności swej

żony. Z przyjemnością patrzała na jego apetyt, potem, gdy skończył podwieczorek, odezwała się, zniżając głos z miną tajemniczą:

— Pani Guéméné musi być bardzo zajęta?

— Tak, bardzo zajęta...

Nie powiedział nic więcej, lecz i te kilka słów były przejmujące smutkiem, który tkwił w nim, a który subtelna kobieta odczuła. Odwrócił oczy; ona obserwowała go, litując się. Wyobrażała sobie, że pozbawiony był starań, względów, uprzejmości i czułości przy imponującej żonie-lekarce, której nie lubiła. Przypomniała sobie troskliwość, jaką okazywał jej mężowi, synkowi, z wdzięczności chciałaby go była widzieć bardzo szczęśliwym, opływającym w radość i uwielbienie.

Posiliwszy się, Guéméné ociągał się z odejściem. Rozmawiali zdaniami oderwanemi, obojętnemi, przerywanemi milczeniem. Chłopczyk bawił się cicho. Zachodzące słońce biło w okna. Z sąsiednich mieszkań, których kuchnie wychodziły na ten sam dziedziniec, dochodził hałas przygotowywań do obiadu; zapach potraw rozchodził się w powietrzu. Pokój pani Jourdeaux wybity był pomarańczowemi tapetami, których blask dziwnie słodko odbijał się w oczach. Na komodzie złocony zegarek w stylu empire, uderzał tik-tak. Kielichy lilii zdobiły biały wazon. W pokoju panował miły spokój.

Gdy Guéméné przyszedł nazajutrz, podwieczorek oczekiwał go na zwykłem miejscu. Uśmiechnął się, tłomaczył się, że nie chce się do tego przyzwyczajać. Jednakże usiadł i pochłaniał łakocie z apetytem młodzieńca, przy boku tej młodej, sympatycznej kobiety, która, stojąc, pilnowała jego skromnego posiłku.

Podwieczorek, przygotowywany teraz codzień dla doktora, zajął w wolnym dotąd umyśle pani Jourdeaux poważne miejsce. Przedewszystkiem chciała zmieniać wina, ciastka, zamiast buljonu podać herbatę, potem czekoladę, wymyślała zimne kremy, galarety, konfitury. Potrzeba przywiązania, tak długo rozwijana, podtrzymywana przez chorobę męża, niezaspokojona teraz skupiła się w tej drobnej przyjemności. Często wychodziła z rana, wyszukiwała owoce, często sama piekła ciasteczka z przepisów, wyczytanych w gazecie. W nocy, gdy się budziła, pytała się nieraz: „Co podam jutro doktorowi?“

On wszakże nie domyślał się zupełnie tych względów, tych delikatnych starań, marzeń nawet, otaczających mały stoliczek, który co dnia ukazywał mu się nakryty, jak gdyby przemiła kobieta, potrzebowała tylko skinąć różdżką czarodziejską, aby go stworzyć. Nieprzyzwyczajony w domu do takich łakoci, jadł chciwie, zapominając najczęściej podziękować pani Jourdeaux, która oczekiwała słów pochwały, a musiała zadowolnić się, widokiem jego apetytu. Lecz w końcu drugiego tygdnia Andrzej wyzdrowiał, wstał i dobrze wyglądał.

— Nie potrzebuję już przychodzić — rzekł Guéménė — dziecko wyleczone.

— A gdzie będziesz pan jadał odtąd podwieczorki? — zapytała zaniepokojona.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, wzruszony tą naiwną troskliwością, która mu sprawiała wewnętrzne zadowolenie; uścisnął jej rękę.

— Pani jesteś nieocenioną przyjaciółką — rzekł. — Psułaś mnie od jakiegoś czasu przysmakami, które mi przypominały dzieciństwo, dom rodzinny, słodycz matki, moje dawne wa-

kacje. Ale dość tego; muszę być mężnym, zapomnieć o ciasteczkach, owocach, łakociach, które mi dawałaś, a zacząć biegać po klientach.

Śmiał się, lecz ona pozostała smutna.

— Ach — rzekła — chciałabym...

Nie dokończyła, lecz patrzała na niego z serdecznem współczuciem. Myślała, że nie jest szczęśliwy, że Renia nie dba o niego tak, jakby to ona czyniła... Dodała tylko:

— Odwiedzisz pan nas czasem?

Andrzejek zbliżył się.

— Tak, tak, przyjdziesz do nas, prawda?

Wówczas Guéménć rozczulił się. Serce jego wzbierało na najmniejsze słowo dziecka. Wydawało mu się, że jego mały synek, byłby do niego podobny — taki był grzeczny i miły. I uniósł go w ramiona, uścisnął czule, potem gwałtownie postawił na ziemię, i wyszedł z oczami pełnemi łez.

Pani Jourdeaux siadywała znów pod oknem, haftując. Odtąd dnie wydały jej się długie; po południu wychodziła z synem na dwie godziny na spacer, lecz wieczorami nudziła się. Byłaby chętnie własnemi rękoma wypracowała coś dla doktora, ale co? Nie znała nawet domu na wyspie Saint-Louis, nie wiedziała, coby się tam przydać mogło.

Renia zaniechała studjów u Bousard'a w Charité i u Artout w Beaujou. Wobec tego, mogła przyjmować rano pacjentów w domu, gdzie zwykle pozostawała po konsultacjach. Wydało jej się to olbrzymiem poświęceniem, co nieraz dawała odczuć mężowi. Ale ponieważ wzywano ją do połogów i to o którejkolwiekbądź godzinie, tak że mimo najlepszej chęci często bywała nieobecną, tak w rannych, jak wieczornych godzinach, a nawet i w nocy

— on nie czuł się szczęśliwym. Ona również była niezadowolona.

— Po co wyrzekać się wszystkiego? — mówiła z goryczą.

— Nie wiem czego się wyrzekasz — odparł Fernand — bo ja nic nie mam z ciebie.

W rzeczywistości powinna była ograniczyć swą praktykę, a nie mogła się na to zdecydować. Nie było dla niej nic milszego, jak zabrać któremu z kolegów pacjenta. Wówczas triumfowała. Jej wdzięk, piękność, wielka pieczołowitość ujmowały chorych. Zawezwana do dziecka lub do matki, wkrótce leczyła i ojca — wzywana odtąd była stale z krzywdą dawnego lekarza. I tak na ulicy Grenelle powierzono jej brata dawniejszej klientki, chorego również na szkarlatynę; na bulwarze Saint-Germain pielęgnowała dwudziestopięcioletniego suchotnika; w sąsiedniej willi na wyspie, dokąd wezwana była do położnicy, leczyła potem młodego jej męża, chorego na serce. Pełna powagi powierzchowność była źródłem jej powodzenia. Posiadała ów niezwykły wpływ na chorych, który lekarzom nadaje przewagę. Mężczyźni ulegali jej urokowi i darzyli ją zaufaniem.

Lecz Géméné cierpiał nad tą zmianą klienteli Reni. Wolałby był ją widzieć leczącą tylko kobiety i dzieci. Jej przeciwnie, pochlebiała klientela męska, chwaliła się przed mężem każdym nowym pacjentem. Mimowoli drżał głucho uczuciem niepokoju. Gdy wracała wieczorem zmęczona, pieszczotliwa, spragniona słodyczy miłości po swych triumfach, mimowoli myślał o mężczyznach leżących w łóżkach, nad którymi w czasie wizyty pochylała się, widział auskultacje, opukiwania, badania. Było to uczucie nieokreślone, ale zda-

wało mu się, że żona jego przynosiła z sobą wspomnienie tych poufałości lekarskich, że w oczach jej trwała wizja widzianych obnażeń. Myśli te dręczyły go i torturowały. Pewnego dnia zniechęcony bezskutecznemi skargami, a nie mogąc ukryć tego, co cierpiał, przyznał się Reni. Skrupuły męża rozbawiły młodą kobietę:

— Jedyny! jeszcze ci tego brakło! Czyż ja ci robię sceny zazdrości o twe pacjentki? Patrzałbyś na mnie bez podejrzeń, gdybym była damą światową, spędzała wieczory i noce na balach, w ramionach dwudziestu mężczyzn, którzyby mnie kolejno obejmowali, a trwoży cię myśl, że mogę stanąć przy łożu chorego. Ależ tam nie jestem kobietą, przedemną jest tylko chory!

Dowodzenie jej było słuszne; nie oponował. Lecz pieścił ją teraz z mniejszą rozkoszą, z powodu wspomnień, które stawały między nimi. Nie miała już dla niego uroku tajemniczości, była mu mniej namaszczoną, jak gdyby przestała być dla niego tą nietkniętą świętością, jaką niektórzy mężowie widzą w swych żonach.

* * *

Tego lata pojechali do Szwajcarji. Pani Jourdeaux, której Guénémé polecił dla Andrzejka góry, podążyła za nimi. Staneli w tym samym hotelu. Pani Guénémé onieśmielała młodą wdowę, stąd ta mało się udzielała. Renia uważała ją za mało inteligentną i oświadczyła to wręcz mężowi. Doktor bronił jej gorąco:

— Nie, nie, mylisz się; nie jest to kobieta błyszcząca, ale posiada bystrą inteligencję, odczuwającą i zdrowy sąd.

Cicha i smutna mimo pogody w twarzy, pani Jourdeaux zdjęła woal żałobny, a na wycieczkach nosiła płaszcz od kurzu, podobny do płaszcza Reni; była tego samego wzrostu, może trochę tęższą niż pani Guéménć. Fernand zdaleka brał ją za żonę, a gdy spostrzegał omyłkę, doznawał zamiast zażenowania, raczej przyjemności; jak gdyby te dwie młode i piękne istoty, z których jedna była mu wszystkiem, a druga niczem, były blisko spokrewnione.

Pani Jourdeaux zwracała ogólna uwagę. Gdy siedziała na tarasie hotelu, mężczyźni zatrzymywali się, aby jej się przyjrzeć. Obok słodyczy, posiadała urok, jaki kobietom nadaje cierpienie, a przedewszystkiem wyraz zakonnej czystości czynił z niej typ specjalny. Zainteresowanie, jakie budziła, nie uszło uwagi doktora; pochlebiało mu to, wiedząc jaką uroczą i wierną miał z niej przyjaciółkę. Chcąc zrobić jej przyjemność, zabierał chłopca w góry. Dziecko było ładne, ciekawe, szczebiotało bez przerwy — gdy szli obok siebie słychać było na odległość kilometra w czystem, cichem powietrzu jego wdzięczny głosik. Guénémé odpowiadał cierpliwie na wszelkie pytania. Przechodnie brali go za ojca, a biedak bezwiednie prostował się w dumie tego pożyczanego ojcostwa.

Renia znalazła kółko bogatych studentek Rosjanek, których nie opuszczała. Miłując swój zawód nawet na letnisku, szukała go, chwytała w najmniejszym przedstawicielu. Panie te tworzyły odosobnioną grupę, rozmawiały o nauce, pochłaniały pisma medyczne, rozprawiały o Boussardzie, podziwiały Artout, dyskutowały sprawy swych szpitali, przedstawiały sobie swe tezy. Pani

doktor Guéménć, przodując we wszystkiem, królowała między niemi. W tym samym czasie Fernand spacerował z małym Jourdeaux, błądził nad brzegami jezior, czytywał gazety na terasie hotelu. Pani Jourdaux, która sama na ławce haftowała, obserwowała go rozczulona i smutna; odczuwała jego osamotnienie — czasami westchnienie wyrywało się z jej piersi.

Pewnego poranku Guéménowie zauważyli przy stole Boussarda. Z poza kosza kwiatów ukazała im się jego szczupła sylwetka, marmurowa o lśniących skroniach głowa, oczy głębokie, marzące.

— Patrzcie! — zawołała Renia tonem studentki — profesor!

Trochę krótkowidz, nie poznał ich odrazu. Lecz, gdy po śniadaniu Renia wraz z mężem zbliżyli się doń z uśmiechem, przyjął ich zimno, jakby niezadowolony z tego spotkania. Z uszanowaniem, jakie w świecie uczonych skromniejsi lub najmłodsi zachowują zawsze dla starszych przełożonych, Guéménowie pozostali w granicach dyskretnej uprzejmości. Pożegnawszy się, Renia zbliżyła się do swych przyjaciółek Rosjanek i wskazując na wielkiego człowieka:

— Patrzcie, to on! Boussard! — rzekła. Chciwie przyglądały mu się, jakby bogu nagle objawionemu. Renia wyciągnęła z kuferka ostatni tom jego terapji, który świeżo wyszedł z druku. Pochylone jedne nad drugiemi, spędzały w czytelni popołudnia, przeglądając dzieło, które im Renia objaśniała naukowo.

Wieczorem przy obiedzie znalazły się wolne miejsca obok Boussarda, Guéménowie byliby chętnie je zajęli, ale nie będąc zaproszeni przez mistrza, siedli na uboczu. Była już jesień, noc szybko zapadała: obiadowano przy świetle

świeczników. Złoto lamperji odbijało się w zwierciadłach. Owoce wrześniowe: melony, pomidory, ogórki i śliwki roztaczały woń i rozweselały stoły. Napływ turystów ożywiał jadalnię; jedni wyjeżdżali, inni przyjeżdżali. W niewielkiej odległości od swych przyjaciół, siedziała pani Jourdeaux. Godzina była późna, sala już prawie pusta, gdy weszła podróżna, zręczna, spokojna, w czarnym żakiecie, z twarzą do połowy zasłoniętą gęstą woalką. Renia drgnęła, poznała to tajemnicze zjawisko, i pochylając się w stronę męża, rzekła cicho:

— Pani Lancelée!

Od kilku miesięcy, niepewne wieści krążyły w świecie lekarskim à propos Boussarda i sławnej lekarki. Jedni uważali ich za narzeczonych; inni brali to za poważną przyjaźń; większa część twierdziła, że są kochankami. Brawura, z jaką młoda kobieta pokazywała się wszędzie, gdzie on wykładał, jej widoczne zaślepienie do jego wiedzy wywoływały tysiące komentarzy. Jednakże nikt nie mógł się poszczycić, że ich razem spotkał. W prosektorjum nie widziano ich nigdy rozmawiających poza lekcją. Renia zawsze broniła swej wielkiej koleżanki:

— To absurd, co mówią. Nigdy pani Lancelée nie popełni tego, co się nazywa zbłądzeniem. Nie ma nad nią kobiety dumniejszej, ani posiadającej więcej godności i siły moralnej. Ona nie da się porwać uczuciu. Ręczę za nią więcej, niż za siebie... Co do jej małżeństwa, to plotki.

Lecz tego wieczora, osłupiała i zdziwiona pani Guéménée ujrzała koleżankę, przechodzącą z swym zwykłym majestatem i siadającą na pustem miejscu obok Boussarda.

Zimny człowiek drgnął radością i zdziwieniem. Uścisnęli sobie dłonie; potem półgło-

sem pani Lancelée, podnosząc woalkę, zaczęła nad otwartym rozkładem jazdy długie objaśnienia. Prawdopodobnie nie była oczekiwana tak prędko, przyspieszyła swą podróż....

Boussard oczyma szukał Guéménów, którym przed chwilą się ukłonił. Lecz dyskretni, i mimowolni świadkowie spotkania, które zainteresowane strony wolałyby ukryć — usunęli się. Wyszedłszy Fernand rzekł:

— To jednak prawda, co opowiadano!

— Nigdy! — odrzekła Renia, jako wspaniałomyślna przyjaciółka — pani Lancelée jest najuczciwszą z kobiet. To czysty przypadek. Spotkali się tu — i oto wszystko.

Lecz, choć nie przyznawała tego, rozpromieniona szczęściem na widok podróżnej, zimna twarz Boussarda powiedziała jej więcej, niż wszystko, co mówili ludzie. Napróżno mówiła sobie: „Nic to nas nie obchodzi! Nic nam do tego“ — sama myśl możliwości upadku sławnej koleżanki gnębiła ją i dręczyła. Napróżno siliła się na najoryginalniejsze przypuszczenia, byleby wytłomaczyć to, czego nie chciała uznać.

Nazajutrz rano, podczas gdy czytała gazety na terasie, ukazała się zakochana para za oszklonemi drzwiami które wychodziły na schody, prowadzące do pokojów. Boussard, ujrzawszy Renię, zawahał się; ale pani Lancelée swym słodkim, zwycięskim uśmiechem kobiety, która wreszcie odważyła się kochać, szepnęła mu słówko i zuchwale zbliżyła się sama do przyjaciółki.

Renia zarumieniła się. Lekarka, którą Paryż znał tylko czarno ubraną, miała suknię fularową popielatą, przybraną falą książęcej koronki; i oto ta prosta zmiana ubrania uczyniła z niej inną kobietę. Pod wspaniałym łukiem

brwi oczy błyszczały szczęściem; uścisnęła serdecznie rękę Reni i ze swą zwykłą szczerością rzekła:

— Zdziwiona jesteś, widząc mnie tu. Ja również. Przybyłam, aby spotkać się z profesorem Boussardem i spędzić z nim kilka dni w górach.

A ponieważ Renia pozostała niepewna, dotknięta głęboko, mimo swej ogromnej wyrozumiałości, raczej zmieszana, niż skłonna do potępienia tej dostojnej kapłanki wiedzy, pani Lancelée domyśliła się jej zaambarasowania i uśmiechnęła się. Biorąc jej rękę czule, spytała:

— Czy sądzisz o mnie źle? — powiedz! Patrzały na siebie otwarcie.

— Nie sądzę wcale — odrzekła Renia.

— To mi wystarcza, ciągnęła lekarka. Powiem ci, co jest. Nie ukrywam się, nie wstydzę się mego postępowania. Kochamy się od dwóch miesięcy. Świat nie wie o tem. Zresztą każde z nas zachowuje niezależność, a mimo to nie jest się samotnym w życiu. Doktor Boussard chciał mnie poślubić. Ty wiesz, co myślę o małżeństwie kobiet-lekarzy. Niemożliwe z nas małżonki. Ty jesteś przemiłym wyjątkiem, który tylko potwierdza regułę. Mnie trzeba zachować zupełną swobodę, bez żadnych przeszkód i myśli o tym, który oczekuje nas przy ognisku domowem. Naszą jedyną zasadą: „Ani męża, ani dzieci“ sto razy to powtarzam. Ale gdy wypadkiem spotka się taką miłość, nie odrzuca się jej. Byłam absolutną panią mego serca i mej osoby: z rozwagą i zupełną świadomością mego czynu ofiarowałam mu się. Nie uznaję małżeństwa kościelnego, które kiedyś było ideałem mej młodości, ale mniej jeszcze mam zaufania do małżeństwa cywilnego, które mo-

żna odwołać i które jest tylko naśladownictwem tego pierwszego, nie mając jego siły. Zadziwiam cię, wiem, ale cóż chcesz? postępuję logicznie.

Renia nie mogła oprzytomnieć. Ten wolny związek budził wstręt w jej subtelnej naturze, tem większy, im wyższa osobistość go zawierała, dając gorszący przykład i osłaniając własną powagą. Lecz przeciw nieprzewidzianym dowodzeniom lekarki żaden argument nie przychodził jej na myśl.

— Zadziwiasz mnie pani, lecz wiesz również, że toleruję wszelkie zasady. Pani zasady wydają mi się trochę wywrotowe; ale i pani także jesteś wyjątkiem!

Słodycz młodej koleżanki, która tak wspaniałomyślnie, wbrew wszystkiemu darzyła ją swym szacunkiem, rozczuliła dumną lekarkę. Pierwszy raz w tej nowej fazie swego życia wywnętrzyła się:

— Jestem szczęśliwa! — rzekła gorąco.

I oczy zaszły jej łzami...

— — — — — — — — —

Odosobnili się w hotelu. Boussard nieprzeniknięty, ukrywał w głębi serca swą spóźnioną a gwałtowną i czułą namiętność, z jaką kochał swą kochankę. Nie opuszczała go, pogrążona w ekstazie nad objawioną miłością. Widywano ich zawsze razem, lecz oboje pod zimną maską ukrywali przed ludźmi ślady trawiącej ich gorączki. Kilka osób z Paryża, mieszkających w pensjonacie, poznało ich i obserwowało. Pani Lancelée pozostawała dalej surową kobietą nauki, której portret zdjęty w jej laboratorjum znano powszechnie. A Boussard rozmiłowany, marzący o uścisku swej dumnej, czułej przyjaciółki, wydawał się zawsze człowiekiem

z marmuru, o powierzchowności obojętnej i zimnej.

Idylę, którą wiek kochanków czynił poważną, zaciemniała Boussardowi myśl bolesna. Wiedział, że ta, którą kochał, należała do niego tylko połowicznie. Jutro zawód jej odbierze mu ją. Ich krótkie spotkania zależne będą od obowiązków zawodowych. Będzie ją odwiedzał, jak przygodną kochankę. Będzie mu się wypożyczała, ale nie odda się nigdy całkowicie, z wspaniałomyślnością żony. Zostanie samotny, bez ogniska, bez rodziny, w tym związku niepewnym, ogołocony ze wszystkiego, czego serce męskie pożąda w swych tajnych miłosnych pragnieniach. Gdy widział ją przy sobie, myślącą, uczoną doktorkę, cierpiał w swem sercu i gniew kipiał pod kamienną maską. Chciałby był ją mieć nieśmiałą, prostą, poddaną, nieumiejącą nic, jak tylko kochać. Nigdy w pełni swego skandalu rozwodowego nie był tak głęboko smutny. Szare, głębokie jego oczy zapadły. Czasami, gdy szedł w góry z swą kochanką, która nigdy nie miała mu się stać towarzyszką życia, spotykali Fernanda Guéméné, spacerującego z synkiem pani Jourdeaux. Obaj mężczyźni spoglądali na siebie i pozdrawiali się smutni. Obaj cierpieli ten sam ból przez to, co zostanie wiecznym, nieprzejednanym nieprzyjacielem mężczyzny: dumę kobiety. Potem z tą samą rezygnacją serc kochających szli dalej, jeden obok swej kochanki, drugi, trzymając za rękę pożyczone dziecko.

— Widzisz, mój drogi, — rzekła pewnego dnia Renia do Fernanda, — jaki ty byłeś niesprawiedliwy dla mnie! Oddałam ci całe życie bez zastrzeżeń, bez targu. Nie będziesz dzielił losu biednego Boussarda, który nie ma zbyt wesołej miny, jak na zakochanego w pełni mio-

dowego miesiąca. Pani Lancelée wyraźnie mu oświadczyła, że będą się widywali, gdy będą mieli czas... To mi kobieta — kochanka!... A ty skarżysz się jeszcze!

Guénémé przyglądał się żonie przez chwilę. Jej kompletna nieświadomość gniewała go. Nigdy Renia nie odczuje wielorakich jego udręczeń, których była przyczyną. Stworzywszy sobie naiwny ideał kobiety — intelektualistki zamężnej, weszła z brawurą w życie małżeńskie i przekonana o doskonałości swych poglądów, mimo wszelkich burz, godziła dalej marzenia o sławie z miłością, uważając się za bardzo mądrą, gdy czasami dawała pierwszeństwo miłości.

— Pani Lancelée — rzekł chmurnie — miała więcej prawości niż ty — oto i wszystko.

Renia zażądała wyjaśnienia. Jeszcze raz ulżył sercu, wypowiadając wszystko, co cierpiał i wykazał, jak fałszywą była jego rola małżonka. Ona w małżeństwie szukała tylko rozrywki, po zmęczeniu pracą zawodową, która była jedynym jej celem, racją jej bytu. Naprożno przez wrodzoną delikatność i dobre wychowanie starał się pohamować swą gwałtowność i wyrażenia — zraził ją okrutnie.

Wówczas zaczęła się bronić.

— Poświęciłam dla macierzyństwa, którego tak pragnąłeś, tezę, która byłaby mnie postawiła w równym rzędzie z panią Lancelée, Wyrzekłam się, by więcej przebywać w domu, studjów w klinikach Boussarda i operacji u Artout. Pragnęłam uczęszczać do zakładu psychiatry Janicot; nie mówiłam ci nawet o tem, bo Passy zadaleko, byłbyś mnie złajał. Czym nie powinna była studjować dalej bakterjologji? Nie mając własnego laboratorjum — a byłabym je miała bez zamążpójścia — czyż nie mogłam

była pracować w Ecole? zdziałać coś dla nauki?... To, że pozostałam skromnym, nieznanym lekarzem, zmuszona zadowolnić się klientelą, to okup za miłość mą do ciebie, gdyż sama, bez gospodarstwa, bez troski o twój dobrobyt, bez macierzyństwa, bez twych wreszcie wymagań, miałabym dziś znaczenie w świecie medycznym.

— Jestem ci zawadą w życiu, Reniu. Nasze małżeństwo ciąży ci; byłem zaporą do twej sławy; czy chcesz być wolną?

Uśmiechnęła się gorzko.

— Zapóźno. Jesteśmy poślubieni na zawsze.

Patrzeli na siebie przez chwilę obojętni, nie mając z sobą nic wspólnego prócz gorzkiej urazy, a gdy to sam na sam stało się nie do zniesienia, zostawił ją w pokoju hotelowym i poszedł do sadu, który ciągnął się za kuchniami. Tam bawił się Andrzejek Jourdeaux. Sypał góry żwiru i sadził w nie gałązki krzewów — i to był ogród. Albo przechadzał się wzdłuż alei, nie patrząc nigdy wyżej ponad szpaler grusz, które pięły się na starym murze.

Gdy Guénémé ukazał się, chłopczyk spacerował spokojnie drobnemi kroczkami, jak somnambulik lub ktoś, co śni na jawie.

— O czem ty myślisz — pytał doktór łagodnym głosem, siląc się na uśmiech.

Nieśmiałe dziecko gryzło paznokcie i przyznało się.

— Udawałem, że jestem kolonistą, że przybyłem do dzikich na pustynię i że może mnie zabiją.

Guénémé, którego nerwy były mocno naprężone, widział go już człowiekiem dumnym, chciwym, lubującym się w fantazjach i niebezpieczeństwie.

— Biegaj sobie — rzekł mu z pewną litością — udawaj konika; później myśleć będziesz o rzeczach, które straszą.

Wydawało mu się, że kocha tego malca, jakby kochał własnego syna.

— Czy cieszysz się, jak ja biegam? — pytało dziecko swym śpiewnym, cienkim głosikiem. Poczekaj!

Porwał się i pobiegł w aleje, z rączkami w powietrzu, potykając się o kamyki i rabaty, rzucając się na los szczęścia w geometryczny labirynt, jaki tworzyły zagony pełne drzew owocowych. Potem wrócił czerwony, zadyszany, wznosząc twarzyczkę do swego dużego przyjaciela: myślał, że go zadowolnił.

Guéméné czuł się silnie wzruszony, zrozumiawszy, ile w tym ruchu było wdzięcznego i dziecinnego poddania.

— Andrzejek grzeczny, bardzo grzeczny! powtarzał.

Świadomość swej tragicznej sytuacji małżeńskiej, wspomnienie okrutnych słów, wyrzeczonych przez Renię, żal za zmarłem dzieckiem i uczucie dla syna przyjaciółki zmieszały się i złączyły w jedno bolesne wrażenie; miał pierś pełną łkania. A rozkoszny i śpiewny głosik szeptał:

— Cieszysz się, że biegałem — powiedz!

Ochrypły szloch, którego nie mógł powstrzymać, wstrząsnął nim. Dziecko zdziwione podniosło oczy i zobaczyło, że płakał; uczucie przerażenia odbiło się na jego twarzyczce. Pobiegł znowu, lecz tym razem w stronę hotelu, wpadł do pokoju matki, mówiąc, że jego duży przyjaciel ma zmartwienie i płacze w sadzie.

* * *

Wakacje doktorostwa Guéménné kończyły się, nazajutrz mieli wracać do Paryża. Nie zdająca sobie sprawy z tego, co się w niej działo, lecz zaniepokojona i drżąca pani Jourdeaux szukała doktora. Domyślała się dramatu w duszy Guéménégo, pragnęła spotkać go przed wyjazdem, chciała mu ofiarować swą przyjaźń.

Nie widziała go nawet przy obiedzie; małżonkowie jedli u siebie ostatni posiłek. Pytała syna: „Co powiedział pan Guéménné? czy go uściskał? Dlaczego płakał?“ Lecz dziecko powtarzało:

— O nie wiem... Byłem bardzo grzeczny; kazał mi biegać: biegałem, żeby mu zrobić przyjemność... wówczas zaczął płakać...

Boussard i pani Lancelée wychodzili na wycieczkę w góry, gdy Renia z mężem wsiadała do omnibusu. Guéménowie widzieli kochanków znikających i ukazujących się kilkakrotnie a coraz dalej na skrętach drogi. Ta szczególna para, którą wszechwładna miłość nie była zdolną połączyć na zawsze, prześladowała ich. Wreszcie pociąg ruszył, znaleźli się sam na sam w przedziale.

Renia, dręczona wyrzutami, cierpiała pokornie w milczeniu. To, co ośmieliła się powiedzieć w chwili uniesienia, sprawiało jej dziś straszny ból. Byłaby się z rozkoszą rzuciła do kolan Fernandowi. Błagalne słowa, gorący żal, wezwania najczulsze przychodziły jej na myśl, ale czuła aż nadto dobrze stan odrętwienia męża, zamieranie tej miłości, którą tak niebacznie mu wyrzucała.

— Odepchnie mnie — myślała. — Poczekam.

Z tą głuchą niechęcią w sercu wrócili do domowego ogniska, wśród zieleni, na skraju archaicznej wyspy.

III.

Fernand byłby chciał przebaczyć, lecz nie mógł; byłby chciał zapomnieć, nie zdołał. Zbywał Renię pocałunkami tak zimnemi, że były dla niej męczarnią.

Płakała przed nim, łamała sobie ręce:

— Nigdy nie złorzeczyłam naszej miłości; błogosławię ją... kocham ją... bezwiedne słowa wyrwały mi się, i to wszystko...

Lecz on miał ją ciągle przed oczami, jak w pokoju hotelowym wyprostowaną, wspaniałą i zuchwałą, mówiła, że ich miłość popsuła jej życie. Gniew wprawdzie mówił przez nią, lecz gniew, brutalnie prawdomówny, rozdarł jedynie zasłonę i pokazał myśl ukrytą, powziętą może oddawna. Ileż razy w cichości Renia opłakiwała utratę swej wolności, załamanie lotu, hamulec, tamujący jej ambicje! Nie mógł opędzić się podejrzeniu, że często podczas jego pieszczot przeklina miłość, krępującą ją i to małżeństwo, w którem czuła się uwięzioną.

Stał się ponury, jak ongiś, gdy żył samotny w tym domu ich szczęścia.

Nadszedł październik. W zakręcie rzeki panował ruch ożywiony targiem na jabłka. Pociągi przywoziły je z Auvergne, z Normandji, z Bretanji, przeładowywano je w Charenton, skąd zabierała je Sekwana, by odwieźć do Paryża.

Co rano pod oknami domów szeregi statków przechodziły, prowadzone przez lekki, żwawy, gwiżdżący holownik, którego czarny komin automatycznie pochylał się pod każdym mostem. Jabłka letnie, soczyste i świecące, renety pomarszczone i szare, blade, kanadyjskie o skórce cytrynowej, piętrzyły się w głębi statków, które sunęły z prądem wody, podobne do długich próżnych dyni.

Już po raz czwarty Guéméné oglądał te same rzeczy, nieodmiennym trybem odbywające się podług starych tradycyj. Lecz każdego roku inne wrażenia przejmowały go, gdy patrzał z okien na transporty jabłek. Pierwszy raz, było to w pełni poezji narzeczeństwa, gdy zdziwiony, zaciekawiony zauważył tradycyjny ruch na rzece. Następnego roku oczekiwał mającego przyjść na świat swojego dziecka, lecz szczęście było już zaćmione wymówkami młodej małżonki.

Z nową jesienią, gdy powróciły pachnące statki przeżywał najszczęśliwszą epokę swego życia: wiodło mu się w zawodzie, w laboratorjum zdobył przewidywane serum przeciw nowotworom, w domu miał uśmiechy syna, z którym czuł się już w porozumieniu. I jeszcze raz dojrzały jabłka na gałęziach dalekich drzew, podróżowały wzdłuż rzeki i przybyły punktualnie z nawrotem sezonu, by przejść na handel do sklepów. Lecz dziecka nie było już w osamotnionym domu. Upór i bezwzględność Reni odebrały nieostrożnej żonie jej władzę. Guénémé czuł, że mu się stała obcą. Wszystko straciło dlań poezję życia. Wówczas wrócił do Ecole de Médecine. Szał pracy nim owładnął. Godziny spędzał pochylony nad stołami laboratorjum. Boussard dostarczał mu kawałków anatomicznych; znów obserwował mikroba ra-

ka. W białym fartuchu, z okiem zwróconem w mikroskop przechodził chwile triumfu, to znów niemocy wobec tego niezwyciężonego wroga.

Potem pracował nad wytworzeniem reakcji, kombinował sole, powodował wybuchy w próbówkach, szukał na los szczęścia, probując po omacku. Czasami Boussard, przechodząc zatrzymał się, przypatrywał jego robocie; pod monoklem szare oko błysnęło, zdawało się, przemówi... I szedł dalej swoją drogą do sali obok, gdzie pracował.

Pewnego popołudnia Renia szła pieszo przez bulwar Saint Germain, przejęta bardzo ciężko chorem dzieckiem na dyfterję. Na ulicy Ancienne Comédie spotkała wychodzącą spiesznie z domu panią Adeline, która ją poznała i zagadnęła:

— Cóż się z panią dzieje? Nigdzie pani nie widać!

— Pracuję — odrzekła Renia. Wydała się doktorce jakby poważniejsza, dojrzalsza, pozbawiona owej młodzieńczości patrycjuszki, jaką tak długo zachowała po ślubie.

Pani Adeline dodała trochę brutalnie jak zwykle:

— Czy to prawda, co mówią, że nas pani opuszczasz?

— Kogo opuszczam? — spytała Renia, podrażniona w swej dumie.

— No, nas, ciało medyczne, medycynę!... Tak mówią. Jeśli to prawda, winszuję pani gorąco. Stać cię na to, prawda? Mąż twój ma ustaloną praktykę, ojciec dał ci posag do ręki, nie potrzeba ci wizyt po 2 fr., możesz spokojnie siedzieć w domu przy palącym się kominku. O, moja pani droga, piętnaście lat jestem star-

sza od ciebie, więc mam prawo ci powiedzieć: chcesz dobrej rady, zrób to, co mówią.

— Zupełnie nie mam zamiaru opuszczać medycyny — rzekła Renia zimno.

— Tem gorzej... O, ja chciałabym być na pani miejscu! Są chwile, że mi głowa pęka. To ponad siły, ponad moje siły!... Nie mogę dalej!

Na jej szerokiej twarzy odbiło się takie znużenie, że Renia wzruszyła się:

— Co się stało? — pytała czule.

— A!... same u mnie przykrości... Zapracowuję się... pieniędzy brak... straty, kłopoty, że trudno opowiedzieć. Moja córka Lucia ma lat piętnaście i przeczytała całą moją bibljotekę medyczną. Chłopcy się nie uczą, starszy przepadł w egzaminie; co mam z nim zrobić? czyż mogę się nim zająć?

— A mąż pani? — zaryzykowała Renia.

Biedna kobieta z ruchem zniechęcenia roześmiała się szyderczo, okrutnie:

— Mój mąż!... tak, mój mąż!...

Zamilkła; nie chciała więcej powiedzieć i spuściła głowę, wstrzymując łzy. Potem podniosła oczy na panią Guéménć, z widocznym wysiłkiem opanowując się:

— No, ale dość o mnie!... Bądź dobrą dla męża, mała, pieść go... Pautel mi mówił, że od śmierci dziecka bardzo się zmienił. Mam nadzieję, że postaracie się o drugie, hę?

Renia, przyzwyczajona do brutalnej niedyskrecji doktorki uśmiechnęła się bez dopowiedzi. Pani Adeline ciągnęła dalej:

— Trzeba umieć trzymać męża w domu. Lubią wesołe otoczenie. Potrzebują naszej w nim obecności... Twój mąż jak wszyscy inni. Byłby djablo dumny, gdybyś pani zrobiła, co mówią. To Artout, nie widząc pani rano w Beaujou, puścił w kurs tę wiadomość. A, mo-

ja droga, takbym się cieszyła dla twego męża... i dla pani także.

Potem, ściskając jej rękę, wskazała na stary, wysoki dom:

— Mam tam pacjenta, który na mnie czeka. Biedny alkoholik, nie płaci mi nigdy.

I odeszła energiczna, sumiennie wykonując swój zawód nietylko pod naciskiem potrzeby materjalnej, ale z poczucia obowiązku, punktualna w swych wizytach lekarskich jak prawdziwy lekarz, udzielając swej wiedzy każdemu, kto jej żądał, nie troszcząc się o wynagrodzenie.

Nazajutrz rano Renia była w Beaujou. Fałszywe pogłoski o jej ustąpieniu obrażały ją. Zdawało jej się, że honor jej na tem cierpi. Chciała, aby ją widziano w oddziale Artout, gdzie uczęszczali młodzi lekarze; w ten sposób plotka zostanie zniszczona u źródła.

Spotkała mistrza przy wejściu do sali; miał czarny biret na wielkiej, szlachetnej głowie, któraby mitra godnie zdobiła. Biały fartuch otaczał potężne biodra, rękawy bluzy miał podniesione, na prawej ręce gumową rękawicę.

— Nareszcie, pani doktor Guéménć! — zawołał z twarzą nagle rozpromieniona.

Wszyscy zwrócili się do eleganckiej, smukłej postaci w futrzanym żakiecie, która weszła, obejmując badawczym wzrokiem każde łóżko na sali. Było tam obecnych trzech młodych chirurgów, tuzin uczniów, z tych trzy studentki cudzoziemki, potem dwie młode „ochotniczki" Francuzki, na pierwszym roku medycyny — dzieci jeszcze, zaledwie od czternastu miesięcy opuściły Liceum, w białych bluzach przypominały pensjonarki.

Dr. Artout, pełen szczerej illuzji, przedstawił w dosyć oryginalny sposób młodym ludziom

i przyszłym lekarzom panią Guéméné, jako wymarzony typ kobiety-lekarza.

— Pani Guéméné jest moim kolegą po fachu i będę szczęśliwy, jeśli od czasu do czasu zechce przychodzić zająć znowu miejsce w mym oddziale. Może służyć za przykład swym młodym koleżankom i tym, które będą lekarkami jutro... lub pojutrze... gdyż przedstawia typ kobiety przyszłości. Niełatwo wyrobić sobie nową pozycję w świecie; pani Guéméné umiała zachować miarę i radzę wam, moje panienki, jeżeli chcecie poświęcić się zawodowi męskiemu, nie przestańcie mimo to być kobietami. Ta oto kobieta—lekarz może was nauczyć, że można być doskonałym doktorem i równocześnie stworzyć mężowi najmilsze domowe ognisko i uczynić go najszczęśliwszym z ludzi na ziemi.

Renia z zadowoleniem uśmiechała się do starego przyjaciela, który ją tak dobrze rozumiał. Czemuż to Fernand nie słyszał, co Artout powiedział! I serce jej wezbrało urazą ku mężowi, który ją tak dręczył miłością zbyt ekskluzywną.

— Pani — zaczął Artout, zwracając się do Reni — zapraszam panią na bardzo interesującą operację, która się tu jutro odbędzie. Chodzi o kobietę, która tam leży: łóżko nr. 15. Zbadaj ją, bardzo ciekawa djagnoza.

Zdradliwie zabierał szpital Renię swemi hypnotyzującemi pokusami, jakimi środowiska nauki nęcą umysły chciwe wiedzy. Tak czasem dusza pobożna, oderwana nagle od kościoła, wraca doń, przyciągnięta widokiem jarzących świec, upajającym dymem kadzidła, całą tą atmosferą mistyczną. Dla Reni był tem zapach jodoformu, cisza białych murów, niewiadome choroby leżących w łóżkach;

przypomniało jej to dawny zapał internistki i dawniej przeżywane tu radości. Przytem Artout kusił ją, wyśmiewał jej długą nieobecność; według niego winno się wystrzegać szablonu, w jaki wciąga nas codzienna klientela, winno się pracować bezustannie, zawsze sobie nie ufać i w tym celu uczęszczać do klinik. Pokazał jej dziwny tumor; Renia widziała już podobną rzecz u jednej z swych pacjentek. Identyczność dwóch wypadków potwierdzała diagnozę. Przedstawiały drogocenny materjał dla badań. Dr. Artout orzekł:

— Powinnaś pani zdać z tego sprawozdanie.

Zacny ten człowiek chciał, aby cały świat pracował razem z nim. Renia dała się porwać. Nowy zapał unosił ją w świat czystych radości umysłowych, które nie zawodzą. Powróciła nazajutrz do Beaujou, pomnożyła wizyty...

Pewnego wieczora doktór Guéménė wrócił później niż zazwyczaj; Renia była już przy stole, mając dużo do pracy, nie mogła czekać — tłomaczyła się. Mąż nie słuchał jej nawet.

— Widziałem dziś Boussarda w laboratorjum, — zawołał zaledwie wszedł. — Pokazałem mu trzy morskie świnki, szczepione przed miesiącem, tym płynem przeciw nowotworom, który nazywam „toxiliną No. 3“. Osiem dni po owem szczepieniu wprowadziłem raka tym zwierzątkom w ranę w wymieniu. Dziś po południu Boussard badał zagojone rany u wszystkich trzech i nie zauważył żadnej zmiany tak w ciężarze, jak w obiegu krwi, ani w ogólnym stanie, któreby świadczyły o złośliwym tumorze. Powiedział mi: „Kolego, tym razem to sukces“.

— Mój biedaku — odrzekła, niedowierzając Renia — rak należy wyłącznie do lancetu.

Wszystko to jeszcze przedwczesne. Twój drobnoustrój to bardzo świeży przybysz. Jego właściwości nie są skonstatowane. Uważaj, aby twe wynalazki nie zbałamuciły lekarzy, żeby przez to chorzy nie ucierpieli, tracąc na tych próbach czas, w którym przez wczesną operację można ich było uratować.

Myślała o swej zasadzie, bardzo zniewalającej i sympatyczniejszej przez pewność, jaką dawała: mówiła o narościach wewnętrznych, które leczyła, o lancecie Artout, którego zawsze wzywała w odpowiedniej chwili, a który mądrem cięciem usunął zło w drgających wnętrznościach.

Guéménć umilkł. Piękny zapał wynalazcy zgasł, oblany, jak zimną wodą przyjęciem żony, zajętej innemi sprawami.

Tego wieczora przyszedł do Reni, wiedziony tym przemożnym instynktem, który mężczyźnie każe dzielić się wszystkiem z towarzyszką życia; był to odruch serdecznego zaufania. Jednem swem słowem zamknęła mu usta, niweczac czar jego nadziei. O mało nie płakał. W samej rzeczy może miała rację... przypomniał sobie pierwszą porażkę: nieszczęśliwego Jourdeaux. A jednakże Boussard ufał mu. Na tę myśl uczuł w duszy rodzącą się tajemniczą sławę. Nie miałże nikogo, z kim mógłby się podzielić?

Wówczas przypomniał sobie cicha, słodką przyjaciółkę, która musiała była już wrócić, a radość, jaką odczuł na myśl, że jutro ją zobaczy, była miarą dobroczynnego wpływu, jaki ta przemiła kobieta zwolna nad nim zdobyła.

* * *

Nazajutrz, o godzinie, w której się jeszcze nie zapala lampy, zastał ją haftującą przy oknie,

z synkiem, bawiącym się u jej nóg setką ołowianych żołnierzy, rozrzuconych na dywanie. Przyszedł wesoły, mając w duszy jeszcze echo zdecydowanych słów Boussarda: „tym razem to sukces". Na jego widok, piękne, spokojne rysy młodej kobiety zmieniły się, zbladła, powieki jej drżały, zbielałemi usty szepnęła:

— I co... co... jak się pan miewa?

Patrzała na niego z bólem — nie widziała go od dnia, kiedy w Szwajcarji Andrzejek zostawił go płaczącego w sadzie hotelowym. W czasie ostatnich sześciu tygodni jej serdeczne współczucie wzmogło się jeszcze i podniecane smutnem wspomnieniem, utrzymywało jej wrażliwość w ciągłem wzruszeniu. Wolna wyobraźnia, zajmując się z serdecznem współczuciem jego tajemniczym smutkiem, tłomaczyła go sobie, odgadywała, przesadzała, wynajdywała mu przyczyny. Nosiła go w sobie, jak jaką żałobę mistyczną, zabraniając sobie myśli wesołych, wspomnień muzyki, jakiejkolwiek przelotnej rozrywki przez sympatję do tego, co cierpiał jej daleki przyjaciel, którego nie było jej danem pocieszyć. A dzisiaj, kiedy wreszcie wrócił, zaledwie mogła mu uścisnąć dłoń, niezdolna cośkolwiek powiedzieć.

Jak gdyby zażyłość ich zwiększyła się od czasu wspólnego pobytu w Szwajcarji, Guéméné, czując się bezwiednie swobodnym wobec przyjaciółki, zaczął:

— Nie śmiem powiedzieć... ale głodny jestem... przyszedłem na jeden z tych doskonałych podwieczorków z zeszłego lata.

Wiedział, jaką jej tem robi przyjemność. Odczuł intuicją mężczyzny, który sam poznał cierpienie, że należy do kobiet, dla których poświęcenie, uszczęśliwienie drugich jest potrzebą

serca. Wstała żywo, z zapobiegliwością ewangelicznej Marty zajęła się przygotowaniem pod wieczorku. Napełniła kompotjerki, koszyki ciastkami, wysłała służącą po herbatę, ułożyła owoce i w pięć minut wróciła z tacą pełną wybornych łakoci.

Delektował się. Przypatrywała mu się wzruszona. W głowie kotłowały się myśli. Westchnęła, z oczami pełnemi łez:

— Biedny przyjacielu!

On także rozmarzył się w tem miłem otoczeniu. Przyjaźń słodkiej kobiety otaczała ciepłem, jakby płaszczem, jego duszę, zmrożoną zimnem domowego ogniska. Nie mówił nic, pozwalał się kołysać, myślał o licznych przykrościach, które mu Renia zadawała, z których się nikomu nie zwierzał, a które mu się wydawały dziś okrutniejsze, sam nie wiedział dlaczego.

Pani Jourdeaux prosiła, aby koniecznie zapalił papierosa. Odmówił z uśmiechem, tłomacząc, że nie potrzebuje papierosa, że w tym pokoju nigdy nie pozwoliłby sobie na to... Lecz ona nalegała tak usilnie, tak błagalnie, że usłuchał.. Była z tych kobiet, które lubują się w zadowalaniu innych, które wysilają się na tworzenie i wymyślanie przyjemności i których towarzystwo przez tę ich słodycz staje się pieszczotą.

Palił więc i odurzony nieco dymem papierosa, mówił:

— Pani zawsze wierzyła we mnie. Zawsze zachęcałaś mnie do pracy... Oto dziś jestem może w przededniu sukcesu. Przekonałem wielkiego Boussarda.

— A... zawołała nie bez lekkiego smutku, że odkrycie przyszło zapóźno — nareszcie! nareszcie!

Nie mogła się zdobyć na nic innego. On ciągnął dalej:

— Myślę, że znalazłem serum, którego szukam od dwóch lat... Niestety! mówię „myślę", bo czyż można być kiedy pewnym? może Boussard się myli, zachęcając mnie. Właściwie o tych rzeczach nie powinno się mówić, dopóki nie staną się zupełnie pewne, niezaprzeczalne. Ach, gdyby to tym razem było definitywne!... Nieśmiała, nieuczona kobieta znalazła wówczas słowa wymowne, przekonywające:

— Tym razem to definitywne... mówię panu. Nie znam nawet a. b. c. z pańskiej nauki, ale mam dziwną intuicję... przeczuwam pańskie powodzenie, słyszy pan, widzę je, jakby już cały świat naukowy otoczył cię apoteozą swego podziwu... A potem... mówisz pan, że nigdy nie jest się pewnym. Tem lepiej! lepiej, bo się stale pracuje, stale walczy, stale szuka w czarnej kopalni rzeczy nieznanych. Nic nie ginie; żaden wysiłek nie jest bezpłodny. Za każdem nowem doświadczeniem wpływa trochę światła w to, co było ciemnem; każde rozczarowanie zmniejsza pole pomyłek, fałszywa droga zamyka się, prawdziwa odkrywa, i taki rezultat nawet negatywny nabiera ogromnego znaczenia... Pięknem jest to dzieło!

Słuchał z miłem zdziwieniem gloryfikacji swej wielkiej pracy, dokonywanej od miesięcy bez żadnej przyjemności, bez zachęty, bez słów przyjaznych, których każdy wynalazca pragnie. Dała mu odrazu wszystko to, czego mu brakło od początku tej pracy. A chcąc sobie wynagrodzić wszystko, co przecierpiał w tem intelektualnem osamotnieniu, podniecał jej współczucie, odsłaniając jak żebrak swe rany, swe zwątpienia, obawy, zniechęcenia.

— Nie, nie! Wynalazek to dzieło przypadku. Legjon cały szuka, a jeden znajduje; dlaczegożbym ja nim był? Spędzałem godziny za godzinami w laboratorjum, wymyślałem reakcje chemiczne, które nie służyły do niczego i kończyły się wywoływaniem bezużytecznego cierpienia u całego świata małych, biednych stworzeń. To, że dziś dzięki trzem świnkom morskim pokazały się pewne objawy, czy mnie to dalej posunęło? Nie trzy zwierzęta mogą potwierdzić niezaprzeczalność mej zasady; mnie potrzeba ich sto, tysiąc — trzeba mi lat dziesięciu, trzeba mego życia — całego życia poszukiwań, trudnych wysiłków, po których może powiedzą o mnie: „To był warjat!“

Na to odparła, egzaltując się coraz więcej:

— Wielcy ludzie nie są nigdy warjatami, traf nie czyni wielkich ludzi, oni są synami tych dzieł, które spełnili i które ich wsławiły. O, nie zniechęcaj się pan, błagam, nie zniechęcaj. Pan, nie kto inny — znajdzie to. Zbliżasz się do celu, jutro będziesz triumfował; to nie pan Boussard mówi, to ja — ja to mówię...

Łagodność jej zmieniła się w siłę. Nie wiedziała nic, była prostą, nieuczoną kobietą, która zadawalniała się wyrazami bez zgłębienia ich, bez zastanowienia się. A jednak słowa jej, podyktowane przez dobroć, podniosły go na duchu więcej, niż zdanie i powaga Boussarda. Pił je, odurzał się niemi. I nagle, topiąc w nią rozgorączkowane oczy, zawołał z głębokiem westchnieniem na myśl bolesnej przeszłości:

— O jak mi dobrze przy pani! — potem dodał:

— Gdy mnie spotka nowe niepowodzenie lub ogarnie zniechęcenie, co mi się tak często zdarza, przyjdę wzmocnić mą gorliwość przy niezrównanym przyjacielu, jakim jesteś pani.

Wówczas zrozumiała, że dumna lekarka, którą poślubił, nie miała pokrzepiającej słodyczy prawdziwych kochanek, że cierpiał w swem małżeństwie, jak się tego od dłuższego czasu domyślała. I gdy odchodził, rzekła, ściskając mu dłonie:

— Zasługujesz pan, byś był szczęśliwy!

Odtąd Guéménć bezwiednie, prawie bez myśli, bezlitośnie krytykował wszystkie czyny Reni. Czuł wobec niej nerwowe rozdrażnienie. Badał ją, śledził, jak gdyby mu przyjemność robiło znaleźć ją winną. Pisała rozprawę o złośliwej narości, z której zdała w Beaujou egzamin histologiczny, poczem posłała ją do „Postępu medycznego", który ją wydrukował. Fernand widział w tem pragnienie rywalizacji u swej żony, jakgdyby Renia chciała ubiegać się z nim o znaczenie. Zamęczała się, obsługując klientelę i klinikę; zamiast podziwiać jej wspaniałą energję, dopatrywał się w tem wysiłków egoistycznych o czczą sławę. Nigdy w tym stopniu nie czuł pustki i niewygód własnego domu. Zarabiał suto na życie, honorarja Reni były zbyteczne, mogły już tylko powiększać dobrobyt.. Tymczasem w gospodarstwie były takie straty, że wszystko gdzieś przepadało. Przy zakończeniu roku, gdy nadchodziły rachunki od dostawców, Guéménowie spostrzegli, że nie posiadają potrzebnej sumy na ich zapłacenie. Musieli, jak w skromnych warunkach żyjący lekarze, przeglądać rachunki swych klientów, notując tych, co nie zapłacili. Wówczas doktor z ironją i triumfem dał odczuć żonie bezużyteczność jej zarobkowania, jej osobistych dochodów wobec szalonego nieładu w domu. Ona sama, zamiłowana w porządku i silnej organizacji, przraziła się tym stanem rzeczy. Przyjęła w milczeniu i z poddaniem wymówki męża, a gdy

była sama przy swem biurku, w cichości płakała.

Z obawy przed troską materjalną nie śmiała odtąd odmawiać, gdy ją wzywano do połogów. Jak większa część kobiet bogatych o oszczędności miała pojęcie fałszywe i niejasne. Chodziła teraz pieszo, aby oszczędzić na dorożkach, a równocześnie postanowiła przyjmować więcej wizyt dziennie. Praca ta była ponad jej siły i wyczerpywała ją. Wieczorem padała wycieńczona na łóżko. Gdy Fernand przychodził na górę, patrzał na uśpioną żonę zimno, bez wzruszenia. Elektryczne światło oświecało wyraźnie piękną jej twarz, na której zmęczenie zaczęło wyciskać swe ślady. Miała zaledwie lat trzydzieści — czuł, że starzeje, w uśpionej jej twarzy dopatrywał się wyrazu męskiego, brak wdzięku.

I wyobrażał sobie życie, spędzone przy boku żony, podobnej do pani Jourdeaux. Jaki spokój! jaka słodycz! jaka błogość! Litował się nad biedną kobietą, nad jej osamotnieniem i pustką serca. Przyjaźń, którą odczuwali wzajemnie, mogła poniekąd zastąpić szczęście, którego ani jedno ani drugie nie zaznało nigdy. Każde z nich miało życie zmarnowane. Myśl ta zbliżyła go jeszcze więcej do niej, odwiedzał ją coraz częściej.

Zresztą w gorączce swej pracy nie mógł się obejść bez tej przyjaźni. Co chwila dręczyły go niepewności, któreby były dziecinne, gdyby w tej walce, wydanej przez umysł ludzki straszliwemu wrogowi, najmniejszy szczegół nie miał wielkiego znaczenia. Trzy morskie świnki, będące w obserwacji były zdrowe. Codziennie je ważono; dla kilku gramów straconych u jednego lub drugiego zwierzątka Guéméné zniechęcał się, wątpił w swe dzieło i biegł na bulwar Saint

Michel, jakby ta cicha, nieuczona kobieta znała mądre zasady, któremi kierują się badacze. W prostocie swej posiadała ona geniusz dobroczynny, który uspakajał i ożywiał odwagę młodego człowieka.

Trzy małe zwierzątka, których nigdy nie widziała, zajmowały bez przerwy jej umysł. Rozczulała się na ich wspomnienie, rozmawiając o nich ciągle z doktorem.

Raz jej powiedział:

— Pani umiesz dawać szczęście!

— Szczęście! szczęście! powtórzyła machinalnie, zaambarasowana.

— Bez pani przyjaźni cóżby się ze mną stało!

Słowo „przyjaźń", które legitymowało ich zażyłość, dodało odwagi młodej kobiecie.

— Pan smutny, rzekła, więc ofiarowuję ci moją sympatję z wdzięczności za wszytko, co pan zrobił dla mego biednego męża. Nie znam cierpienia pana, szanuję je, domyślam się trochę...

Objął głowę rękoma i milczał — ona mówiła cicho:

— Żona pana ból mu sprawia.

Od tego dnia swobodniej mówili o nieobecnej, o której tak on, jak ona myśleli bez przerwy. Doktór mówił pani Jourdeaux o przymiotach, któreby chciał widzieć w żonie, a które właśnie ona posiadała wszystkie. Broniła Reni, tłomaczyła ją. Tem bardziej się skarżył:

— Pani zachęcasz mnie do pracy, żona moja przeciwnie, jakby pragnęła zniszczyć ma energję.

— Ona sama zanadto pracuje — tłomaczyła pani Joudeaux — to naturalne, że ci, co mają wielkie troski, obojętnieją dla spraw innych.

— O to, to właśnie jej zarzucam — westchnął młody człowiek.

Skaleczył się przy operacji i przez kilka dni był tem mocno zaniepokojony. Pewnego wieczora poprosił panią Jourdeaux, aby mu odnowiła bandaż. Zbladła, zadrżała, potem wyprostowała się, aby otoczyć skaleczony palec długim bandażem. Robiła to powolnie, lecz zręcznie, zdawało się, że przedłuża opatrunek przez zbytnią staranność i delikatność. A gdy skończyła, podniosła na niego swe piękne, gorące, łagodne oczy. Przyjaźń ich zacieśniała się coraz bardziej, stawała się coraz słodszą.

Czasem doktor poddawał się gwałtownemu smutkowi. Mówił o swej wielkiej miłości, której Renia nie doceniała. Wówczas pani Jourdeaux brała jego rękę, litując się serdecznie nad nim. Potem starała się go podniecić przyszłą sławą. Zdawało jej się — jak mówiła — że zaniedbuje trochę swe dzieło, mniej pracuje, opuszcza laboratorjum. Tłomaczył jej, że doświadczenia na małych zwierzątkach do niczego nie prowadzą, że powinien wyleczyć chorego na raka, aby mógł ogłosić światu swój wynalazek. Zamyśliła się.

Prawie codziennie przychodził teraz pomiędzy dwoma wizytami na podwieczorek, który przygotowywała. Nadszedł marzec. Już można było podwieczorkować bez światła. Zmrok, idący od wewnętrznego podwórza, wystarczał im do pogawędki. Guéménć popadł znów w zgnębienie. Był zgryźliwy, rozdrażniony, oświadczył, że sam nie wierzy w szczepionkę — w serum protegowane przez Boussarda.

— Słuchaj pan — rzekła mu raz — dziwnie zmienionym głosem pani Jourdeaux — zrób pan o co proszę. Ja wierzę w pańskie serum przeciwrakowe, wierzę całą duszą, całą mocą,

wierzę, jak w światło, które widzę, jak w pańską prawość, którą odczuwam. Powiedziałeś mi pan, że teren zwierząt nie wystarcza ci do doświadczeń: weź mnie, posłuż się mną; uodpornij mnie swoim serum, potem zaszczep mi raka, nie obawiam się. W ten sposób dam ci dowód mojej wiary... i mej przyjaźni także.

— Pani! pani! co pani mówisz!... I patrzał na nią zaniepokojony, a ona mówiła dalej w głuchej egzaltacji, która czyniła ją całkiem nową.

— Błagam, nie odmawiaj mi pan tego. Bez tej próby nigdy nie dojdziesz do zwycięstwa, gdyż ci potrzeba terenu ludzkiego. Otóż masz go, ten teren ludzki, poprobuj wielkiego doświadczenia: ja będę taka szczęśliwa,!... Zapewniam pana, że nie drgnę w dniu, w którym mi zakomunikujesz to wielkie zło... znam je przecież!... Tak mocno wierzę!

Tego dnia wyszedł od niej przerażony, wzburzony, świadomy, że go kochała! Litość, słodycz, czułość, przywiązanie okazywała mu od kilku tygodni. A dziś dręczona pragnieniem całkowitej ofiary, ofiarowywała mu siebie, nie w pospolitem posłuszeństwie prawom namiętnej rozkoszy, ale w czystej ofierze dla geniuszu, który w nim widziała. I to szaleństwo w ofiarowaniu siebie, ta nieustraszoność w poświęceniu i wzniosłość dokąd sięgnęła abnegacja kochającej kobiety olśniła go. Drżał na samo wspomnienie jej twarzy. Przy pierwszym pocałunku, jaki mu Renia dała, zrozumiał, gdzie odtąd była jego miłość.

CZĘŚĆ V.

I.

Pewnego wieczora, gdy Renia, zmęczona całodzienną pracą i panującym upałem, wróciła do domu, służąca zapukała do drzwi.

— Proszę panią nie zdejmować kapelusza, jakaś panienka przyszła...

Równocześnie na schodach dały się słyszeć drobne kroki dziewczęce i Lucia Adeline, najstarsza córka lekarki, piętnastoletnia brunetka, o mince zdecydowanej, wpadła krzycząc:

— Czy jest pan Dr. Guéméné? Mamusia prosi, aby zaraz przyszedł. Julek, mój najmłodszy braciszek, oblał się cały warem.

— Twój braciszek! Mój Boże! — zawołała Renia. — Ale żyje jeszcze?

Pierwsza jej myśl była o biednej matce.

Dziewczynka mówiła dalej:

— Tak, tak, jeżeli pan doktor jest w domu, niech zaraz przyjdzie, zaraz. Dorożka czeka przed domem.

— Nie, odparła Renia, zaskoczona tem, że pani Adeline wzywała męża a nie ją, koleżankę, której wiedzę znała i ceniła — mój mąż przyjdzie wieczorem, ale ja idę zaraz z tobą.

— Tak, tylko mama powiedziała mi „przyprowadź doktora Guéméné, chcę, aby Julka..." Nie mówiła o pani, pewnie zapomniała, że pani jest tak samo lekarzem jak on i mama. A potem,

widzi pani, mama jest dziwna: uważa, że kobieta - lekarz dobra jest dla klienteli, którą sama leczy. Ale gdy chodzi o które z nas, to jednak więcej ma zaufania do lekarza - mężczyzny... To jest głupie, a jednak tak jest... Co do mnie, wierzę, że pani wie też tyle co i mąż pani. Zresztą, ja także chciałabym być lekarzem...

Podczas tej tyrady Renia przed lustrem włożyła kapelusz, zabrała torbę, termometr, rękawiczki. Przejęta jedynie myślą o dziecku, które miała ratować, nie odczuła skrytej zniewagi, wyrządzonej sobie. Dopiero w dorożce, gdy siadła obok rezolutnej panienki, zbudziła się w niej miłość własna i uczuła się dotkniętą. Spieszyła do łoża, gdzie wzgardzono nią, gdzie wiedzy jej nie uznano. Przyszło jej na myśl zawrócić z drogi i pozwolić pani Adelinie wezwać innego lekarza, wobec tego, że doktorka miała zaufanie tylko do mężczyzn - lekarzy. Dziewczynka trzepała dalej:

— Bo tak: Julek miał ból gardła i mama dziś rano nie pozwoliła mu iść do szkoły... Potem pan Artout telefonował po mamę, aby przyszła chloroformować przy operacji. O dziewiątej mama pojechała na bulwar Courcelles. W południe wracam z kursów — bo przygotowuję się do egzaminu — niema naturalnie ani mamy ani papy. Biedny papa! Nie mógł opuścić swojej wódeczki. Jemy śniadanie sami we czworo. O wpół do drugiej poszłam z Janką do szkoły, Alfred poszedł do liceum, Julek został ze służącą. Miała prać w pralni, ale ponieważ trzeba było pilnować małego, mama kazała jej grzać wodę w kuchni i nie oddalać się. Wtem zabrakło jej mydła czy krochmalu, czy ja wiem czego... pobiegła do sklepu na ulicę Ancienne Comédie na chwileczkę, jak powiada. Julek jednak miał czas wejść na krzesło, podnieść pokrywę od ko-

ciołka, aby zobaczyć jak się woda gotuje. Ogarnęła go para, odskoczył w tył, zaczepiając kocioł, który się pochylił i oblał go całego wrzącym strumieniem... Służąca mówiła, że kiedy zdejmowała z niego ubranie, skóra wraz z ubraniem zeszła... Naturalnie mama wróciła dopiero o czwartej. Doktor Artout zatrzymał ją na śniadaniu; mama nigdy nie śmie mu odmówić z obawy, aby go nie rozgniewać, bo, jak mówi papa, p. Artout jest „dojną krową“ mamy. Mama chodzi koło niego, jak koło Pana Boga... Ja też bardzo lubię pana Artout, powiedziałam mu raz, że chcę studjować medycynę. I owszem — odpowiedział.

Renia, która już zapomniała o swojej obrażonej dumie, zapytała:

— Czy Julek bardzo poparzony? Co mu robiono? Czy go wykąpano?

— Ależ nie! napewno! Mama straciła głowę i biedny chłopak wrzeszczy, jęczy bez przerwy.

— Ile ma lat?

— Dziewięć, proszę pani, a możnaby mu dać dziesięć, taki duży!

Dorożka wjechała w wąską ulicę Dauphiné, gdzie natłok pojazdów zatrzymał ją kilka minut. Renia na nowo przeżywała chwile, w których sama oczekiwała śmierci swego dziecka, zdawało jej się, że czuje, co cierpi nieszczęśliwa matka. Spieszno jej było przybyć na miejsce, w myśli uprzytomniała sobie środki za stosowywane w różnych wypadkach oparzenia. Przypomniała sobie, że Artout zalecał zasadowy azotan, a Boussard kwas pikrynowy, jeden jak drugi jako wyłączny środek. Wreszcie dorożka zatrzymała się przed czarnym frontem domu na ulicy Bucci, gdzie na parterze mieszkała Dr. Janina Adeline.

W głębi ciemnego korytarza Renia z trudem odnalazła pierwsze stopnie schodów. Dziewczę zdjęte na nowo trwogą, pędziło naprzód jak strzała. Przyzwyczajona do ciemnych schodów, przebiegła je w kilku skokach. Renia, trzymając się poręczy, musiała szukać każdego stopnia końcem bucika. Po całym domu rozchodził się mdły, alkaliczny zapach mydlin.

Nieprowadzona przez nikogo, bo Lucynka była już przy łóżku brata, zwróciła się Renia ku otwartym drzwiom, przeszła małą jadalnię z czerwoną serwetą na okrągłym stole, potem maleńką poczekalnię z oknem wychodzącem na podwórze, korytarzyk, w którym na wieszadle wisiały spódnice pani Adeline, wreszcie weszła do pokoju, gdzie rozciągnięte na żelaznem łóżeczku, jęczało dziecko a nad niem nieszczęśliwa matka pochylona, płacząc, wpatrywała się w niego.

Kiedy spostrzegła Renię:

— A... pani przyszła!... O, proszę, zbadaj go. Ja nie mogę myśli zebrać. Siedziała bez ruchu, przerażona z czołem ukrytem w dłoniach. Pani Guéménć zdjęła szybko rękawiczki, rzuciła parasolkę i żakiet na wielkie łóżko, przykryte czerwoną bawełnianą kapą, zdjęła koszulkę z chłopczyka, podtrzymując go ręką pod łopatkami.

Ukazało się wiotkie, nerwowe ciałko, łkanie podnosiło wąską, chudą klatkę piersiową. Prawy bok od ramienia aż do uda znaczyły długie czerwone smugi, a skóra, podniesiona w bąblach, tworzyła wielkie opalowe perły, napełnione wodą; jedna z nich, olbrzymia, na biodrze, podobna była do przezroczystego jaja. Ramię przy zdejmowaniu odzienia odarto ze skóry do żywego.

Renia zapomniała o wzruszeniu; ze ściągniętemi brwiami, spokojna, pewna siebie, bystrym wzrokiem badała rany poparzenia. Chłopiec płakał i skarżył się. Rzecz dziwna, nie miała dla niego tego pieszczotliwego dotknięcia lekarza, który się wzrusza na widok chorego dziecka. U niej żył i działał jedynie umysł.

Kobieta, wznosząca się do zajęć męskich zbyt dużo wkłada w nie energji, by rozdrabniać ją jeszcze na uczuciowość. Obejrzawszy rany rzekła:

— Te na ramieniu są bolesne, ale nie niebezpieczne. Trzeba przebić pęcherze. Biedne dziecko, musi bardzo cierpieć. Czyby nie zrobić mu kąpieli przed opatrunkiem?

— O, ja już nic nie wiem, jęknęła pani Adeline. Niech pani probuje wszystkiego. Niech go pani uspokoi.

Służąca poszła po wanienkę dziecinną, ale ta okazała się za małą dla dziewięcioletniego chłopczyka. Lucia zaproponowała kocioł od prania, który był duży i mógł pomieścić Julka.

Czas naglił. Renia mimo, że nie była przyzwyczajona do tych skromnych domów, gdzie niejednego braknie, bo znała tylko pałace z l'Ile - Saint - Louis i klientelę z quartier Saint - Germain, nie zmieszała się. Przebiegła cały entresol, zamieszkiwany przez rodzinę lekarki. Widziała gabinet o niskich, łukowych oknach, które dosięgały sufitu, widziała szezlong obity rypsem, zastępujący stół ginekologiczny. Stare, wykładane biurko było puste i gołe, nie było na niem ani gazet, ani broszur naukowych, które zazwyczaj leżą otwarte na biurkach lekarzy. Pani Adeline nie czytywała, przemęczona konsultacjami, wizytami, połogami i asystowaniem od czasu do czasu przy operacjach doktorowi Artout, trzy-

mała się ściśle swej wiedzy z przed dwudziestu laty, w czem nadzwyczajnie pomagała jej nigdy nie zawodząca ją pamięć. Renia widziała dwa przyległe pokoje, w jednym mieściły się dziewczynki, w drugim chłopcy — czwórka dzieci lekarki. Potem dostała się do kuchni, kierując się zapachem gotowanej bielizny. Dziewczynie kazała wyciągnąć bieliznę z kotła i sama pilnowała wyczyszczenia go. Dysponowała, odgadywała, działała, jakby znała wszystko w tej skromnej, cuchnącej kuchni, gdzie w ciemnym kącie ćmił żółty płomyk gazu, podczas gdy majowe słońce świeciło pełnym blaskiem.

Następnie, wróciwszy do gabinetu, poszukała kawałka papieru i pewna siebie, pismem dużem, czytelnem, napisała receptę. W ulicy dorożki, frachtowe wozy, krzyżowały się z omnibusami, sprawiając bezustanny hałas i tupot, od którego trzęsły się szyby w oknach, kałamarz, szklana popielniczka i butelka z lizolem, stojąca na stole. Nagle na schodach dał się słyszeć śpiew; był to głos męski, trochę nieśmiały, wahający. Potem drzwi się otwarły. Renia dosłyszała ostatnią zwrotkę „Międzynarodówki".

— A... to pan Adeline, pomyślała — i taki wesoły!... Gdy się dowie o wypadku, będzie to dla niego prawdziwy cios!...

Lubiła bardzo poczciwego Adelina, tak zrezygnowanego i wzorowego męża. Otwarcie mówiąc, był to człowiek prosty, ale jego uczciwe życie i jego przykładna uległość wobec wymagań fachowych obowiązków żony, ujmowały Renię i czyniły jej go sympatycznym. Wstała szybko, aby uprzedzić wrażenie, jakie czekało biednego człowieka. Lecz przed nią przybyła już lekarka i obie znalazły się w poczekalni na pół ciemnej, cuchnącej wilgocią tylnego dzie-

dzińca — naprzeciw człowieka zataczającego się, w kapeluszu na tyle głowy, który, nie mogąc iść dalej, padł w krzesło.

— Gorąco — rzekł głosem przeciągłym, nie widząc Reni. Niech Lucia pójdzie i przyniesie mi kufelek zimnego piwa.

Pani Adeline schwyciła Renię za rękę i pociągnęła do gabinetu.

Tam, w owym nędznym pokoju, gdzie po dwa franki sprzedawała swą wiedzę, biedna kobieta, którą Renia znała zawsze wesołą, dzielną z taką odwagą i pogodą znoszącą swe do przesady pracowite życie, zachowującą aż do dojrzałego wieku galijską wesołość bulwarów paryskich — otworzyła swoją duszę, odsłoniła swą tajoną nędzę.

— Widziałaś go, szepnęła cicho, nie wypuszczając ręki swej przyjaciółki. — Ukrywałam jego nałóg. Wstydzę się za niego... Robię wszystko, aby nikt się o tem nie dowiedział. Codzień wraca mi takim, czasem mniej, czasem jeszcze więcej pijany. Wczoraj stróż znalazł go na schodach nieprzytomnego, odniósł go jak paczkę, potrącając o każdy mebel. To ohydne... wstrętne!... Człowiek ten dawniej taki powściągliwy!... Mnie to zabija, wierz mi, zabija mnie. Początkowo pił mało: wódeczkę dla apetytu z innymi urzędnikami. Potem zasmakował. Pił po dwa, trzy, cztery kieliszki absyntu. Teraz rano, wieczór, w dzień i w nocy. Widziałaś go, to człowiek stracony! Rozumiesz teraz mój los: dziecko mi umiera, mąż stał mi się wstrętny.

Oczy miała suche, lecz jasne włosy, których kolor zmieniły wiek i zmęczenie, opadły rozfryzowane na skronie: zestarzała się zwycięzca żona, złamana mimo całej brawury, dobrego humoru i swej heroicznej walki o chleb powszedni Renia wzruszyła się. Łzy nabiegły jej do oczu.

— Moja droga, biedna pani! — rzekła tylko.

Stojąc przed lekarką, ściskając jej rękę, przyglądała jej się z litością i smutkiem.

— Najgorsze — ciągnęła dalej pani Adeline, że całemu nieszczęściu winna jestem tylko ja sama. O, nie zaprzeczaj: umiem się zastanawiać i rozumiem dzisiaj. Moje życie było długą i wielką pomyłką. Nie powinnam była być lekarzem; mój obowązek był tu w domu, prowadzić gospodarstwo, pomnażać przez oszczędność, organizację i pracę domową dobrobyt i skromny zarobek, który mi mąż przynosił. Mieć trzy pokoje, samej załatwiać sprawunki, gotować, naprawiać bieliznę, pilnować dzieci, pielęgnować męża... Ale nie! nie czułam się gorszą od innych, lubiłam studjować, dumna byłam z mej umysłowej pracy. Dlaczego więc miałam usuwać się w cień, umęczać się drobiazgami gospodarczemi, kiedy czułam się zdolna do zawodu świetniejszego?... Widziałam przed sobą życie interesujące i stanowisko dystyngowane. Przed dwudziestu laty kobiet-lekarzy nie znajdowano na ulicach. Był to zawód oryginalny, który kobietę odznaczał, wyróżniał, mówiono o tobie w gazetach, jak o czemś niezwykłem. Nęciło to, więcej niż życie zamknięte w trzech pokojach, pilnowanie garnka, męża i dzieci. Śniłam piękny sen, prawda? Ciężką pracę miałam przed sobą, ale mnie nie przerażała. Zdałam doktorat, przeszedłszy pięć egzaminów z rzędu...

Przerywała co chwilę nadsłuchując, śledząc równocześnie jęki syna i ekstrawagancje pijanego męża, którego służąca zmuszała do zdjęcia obuwia i wzięcia pantofli pod groźbą odebrania mu piwa.

— Oburza mnie — ciągnęła dalej lekarka — wstrętny mi jest, lecz mi go żal i przebaczam mu. Przez lat dziesięć był wzorowym mężem. Nie miał wesołego życia. O którejkolwiek godzinie przyszedł, zastawał dom pusty albo pełen hałasu niesfornych dzieci. Kochał mnie bardzo... a można było myśleć, że uciekałam od niego. Nie skarżył się; starał się mnie zastąpić, czesał dzieci, zawiązywał im buciki, dawał jeść. Spodziewaliśmy się większych dochodów, sądząc, że gdy Artout będzie mnie częściej wzywał, fortuna nadejdzie. Ale Artout zadurzył się w pani Lancelée, a moja poczekalnia roiła się dalej od biednych kobiet, najczęściej służby bez posady. Zdarzało się, że mi zostawiano franka, gdy recepta była napisana!... A co za nieład w domu! Jedna sługa nie starczyła, trzeba było wziąć posługaczkę, a prócz tego miesiące całe opłacać mamkę do dzieci... A rachunki kolonialne, rachunki rzeźnika, których nie mogłam sprawdzić! Mięso psuło się w śpiżarni, masło, kawę, cukier wykradali, bo nikt nie kontrolował. Trudno było obronić się przed temi stratami, można im było zaradzić tylko pomnażając dochód... I tak, aby utrzymać dom, żyłam jak galernik. Dzięki Bogu byłam silna, lecz coraz bardziej zaniedbywałam obowiązki rodzinne. Mąż mój był jak wdowiec. Nawet w nocy mnie nie miał. Znasz to, droga — zaledwie człowiek wejdzie do łóżka, już dzwonek budzi... Jeszcze ty mogłaś przyjąć lub nie, podług upodobania, podczas gdy ja... czyż miałam prawo odmówić połogu, chociażby przynosił czter dzieści franków?... Widzisz, dla mego męża byłoby lepiej, gdybym umarła. Człowiek jest człowiekiem — znalazłby drugą... Ponieważ mnie miał, więc zrezygnował, czekał, cierpiał i nudził się. Jednego dnia skosztował alkoholu. Po-

woli przyzwyczaił się, i odtąd szukał w pijaństwie zapomnienia swej samotności i trosk... A jednakże pragnął być porządnym człowiekiem, jeżeli zbłądził, to moja wina! Teraz niema ratunku! Wrócić do ogniska, zamknąć się w niem, aby porządek wprowadzić? — zapóźno. Już i w zarządzie szpitala de la Pitié sypią się skargi na niego. Dyrektor oględnie kazał mnie uprzedzić, że zachowanie mego męża nie jest odpowiednie i sprzeciwia się godności urzędnika. Straci posadę. Będę więc skazana na mój zawód, jako jedyny środek utrzymania rodziny. A jego biedaka muszę zostawić własnemu losowi, przestać się nim zajmować, nie mogąc go otoczyć staraniem i opieką potrzebną, aby go ratować... A jeśli Julek umrze teraz, czyż nie będzie to druga ofiara mego zawodu? To straszne!

Była blada. Gwałtowny dreszcz nią wstrząsnął; oczy dawniej tak wesołe wyrażały ogromną rozpacz.

Renia słuchała bolesnych wynurzeń z dziwnem uczuciem — tak jej się żal zrobiło biednej kobiety, że wzięła ją w ramiona i uścisnęła.

— Moja droga pani, nie trać odwagi! Julkowi nie grozi niebezpieczeństwo życia. Boję się tylko, czy oparzenie nie zajęło muskułu uda, ale puls nie jest zły, temperatura zaledwie podniesiona. Po kąpieli zastrzyknę mu morfinę i obandażuję. Uspokój się, pani. Prowadziłaś życie najszlachetniejsze i ogromnej zasługi. Każdy cię podziwiał...

— Lepiejby było, — odpowiedziała lekarka — aby mnie mniej podziwiano, a żebym była zachowała moje szczęście rodzinne.

W tej chwili w salce jadalnej dały się słyszeć podniesione i wzburzone głosy. Służąca łajała pana i kłótnia powstała między nimi. Pa-

ni Adline zarumieniła się, przeprosiła Renię i znikła.

Młoda kobieta zaniepokojona i wzruszona została sama; wynurzenia pani Adeline wzburzyły ją. Myślała o swym synku — miałby teraz dwa lata. Starała się wyobrazić go sobie takim, jakimby był w sukience, probującym mówić, biegającym drobnemi kroczkami po całym domu. Pragnienie macierzyństwa zbudziło się w niej — ogarnął ją smutek. Myślała o mężu, który stawał się dla niej taki zimny, daleki, taki obcy! I to jego subtelne oddalenie, z którego sobie jasno zdawała sprawę, przejęło ją nagłem przerażeniem.

Podpisała receptę:

Doktor Teresa Guéméné.

Wyprostowała się, bardzo zmęczona, zamyślona, wtem Lucia Adeline wpadła jak wicher:

— Woda już gorąca na kąpiel dla Julka. Potem będzie bandażowany. Będę się przyglądała, dobrze? Jaka ładna i miła ta wata sterylizowana! Chciałabym pani pomagać... pozwoli pani?... O! medycyna, medycyna! żeby pani wiedziała!... Wstrząsnęła się, jak młodę źrebię. Potem z minką pieszczotliwą, jaką zazwyczaj robią dorastające panienki wobec kobiet starszych, wyżej postawionych, które w ich oczach wcielają ideał, zbliżyła się do Reni, złożyła na jej rameniu głowę o włosach ciemnych, bujnych, przewiązanych czerwoną wstążką:

— Wstaw się pani za mną do mamy, proszę, bardzo proszę! Ona nie chce mi pozwolić pójść na medycynę. A czemże ja zostanę?... Pewnego dnia profesor Artout pozwolił mi przyjść do swego szpitala w Beaujou. Co za szczęśliwe chwile tam przeżyłam! Tak mi się

podobały te wszystkie łóżka, ci chorzy, lekarze, infirmierzy! Takie tam wszystko białe, czyste, pachnące lekarstwami, apteką. O jakże bym chciała tam pozostać na zawsze, na zawsze...

Renia przypomniała sobie swój własny wiek młodzieńczy i wzruszenia, jakie w niej wywoływał zapach jodoformu, przynoszonego ze szpitala w ubraniu ojca, lub widok szpitala widzianego z ulicy, a nawet widok Czerwonego Krzyża, tego symbolu medycyny. Widziała swe dawne wrażenia, powtarzające się w tem dziewczęciu, trawionem przez ten sam zapamiętały głód powołania.

— Chcę być lekarzem, chcę jak pani podpisywać kiedyś recepty „Doktor Łucja Adeline..." Chcę leczyć ludzi, stać się sławną, jak pani Lancelée. Jeśli mi nie pozwolą, zabiję się.

Oczy jej rzucały iskry, wreszcie zaszły łzami. Można się było domyślić, jak gorące i gwałtowne mogło się stać u tego dziecka to zwalczane pragnienie, nad którem już cierpiała, jak nad jakąś namiętnością tajemną. Renia zaniepokoiła się i przeraziła odpowiedzialnością. Czyż miała aprobującem milczeniem zwrócić młodą dziewczynę ku tej wiedzy fascynującej, która tak porywa teraz kobiety, absorbuje i pochłania je całkowicie? Ogarnęło ją zwątpienie — trwożna i niepewna zawahała się wobec dania rady, którąby mogła wpłynąć może na całe życie Luci. Nie była już tak pewna jak dawniej, że w zawodzie tym jest szczęście kobiety. Obawa i niepewno'! zamknęła jej usta...

— Moja maleńka — rzekła wreszcie — dziękuję ci za zaufanie. Miła jesteś, że mi tak szczerze otworzyłaś swoje serce. Lecz cóż znaczy moje zdanie wobec zdania twej matki? Ona ma po za sobą długą praktykę zawodu, któ

remu ty chcesz się oddać; ona ci poradzi lepiej niż ja. Swoją mądrość życiową opłaciła strasznem doświadczeniem, zaufaj jej...

— Ale gdybyś pani miała córkę — pytała Lucia, zmieszana odpowiedzią niespodziewaną — czy postąpiłabyś tak jak mama zemną?

— Gdybym miała córkę... powtórzyła Renia wahająco.

Cała historja jej małżeństwa przesunęła się przed jej oczami. Nagle wyraźnie ukazały jej się owe trudności małżeńskie, których rozmyślnie nie chciała uznać. Stanęła znów przed nią śmierć dziecka, przykrości Fernanda, powolne zamieranie ich miłości. Przypomniała sobie obojętne pocałunki, roztargnienia męża, wzrok jego bez miłości, wymuszone uśmiechy, noce bez uścisku...

I pewność, że nie jest kochaną, stanęła przed nią tak wyraźnie że skrucz fizyczny schwycił ją za serce i sprawił ból nie do zniesienia.

— Gdybyś była moją córką, Luciu, — rzekła bardzo blada, byłabym bardzo niepewna... bardzo zaniepokojona takiem powołaniem. Medycyna jest wielkim zawodem, ale wymaga kobiet wyjątkowych. Jesteś jeszcze za młoda, aby to rozumieć... Staraj się być posłuszną matce. Jeśli uczujesz się nieszczęśliwą, przyjdź do mnie...

— Nikt mnie nie rozumie! — zawołała mała z rozpaczą.

Potem starając się opanować, dodała energicznie:

— Teraz trzeba wykąpać Julka.

Renia opuściła dom pani Adeliny z rozpaczą w duszy. Na chwilę zajęcia przy opatrunku chorego pochłonęły jej uwagę i uciszyły jej wzburzenie. Wykąpała małego pacjenta, prze-

biła pęcherze i z Łucją, gdyż matka nie była zdolną do pomocy, obandażowała poranione ciałko, unieruchomiając je białym powijakiem z waty. Stan był groźnym, lecz miała nadzieję uratować malca. Jednakże zadowolenie z swej wiedzy i swego dzieła nie trwało długo. Zaledwie wyszła za próg domu, zapomniała o Julku, myślała jedynie o bolesnych zwierzeniach swej koleżanki; potem myśl jej naturalnie zwróciła się ku niej samej.

— Jakże kobiecie łatwo stracić przywiązanie męża! — myślała. Czuła się bardzo zdenerwowaną, więc mimo spóźnionej godziny postanowiła iść pieszo. Ruch ożywiony panował na ulicach starego Paryża, gdzie w lecie, w porze obiadowej życie mieszkańców miasta odbywa się na trotuarach. Z gorączkowym pośpiechem tłoczyły się wozy ciężarowe, powózki, omnibusy, a między nimi lekkie, chyże bicyklety o piskliwych dzwonkach. Renia myślała:

— Jakże to było miło dawniej być tak kochaną!

Gdy wyszła z ciemnej hałaśliwej ulicy Dauphiné na ulicę nadbrzeżną, ogarnęło ją nagłe wrażenie wielkiej ciszy i wielkiego światła. La Cité, jak dziób okrętu, przecinająca fale rzeki, ukazywała szare fasady Quai des Orfèvres. Wkrótce ujrzała Hôtel-Dieu i serce jej ścisnęło się na wspomnienie smutnych zaręczyn, kiedy to dawała słowo zakochanemu Fernandowi. Symetryczna fasada Notre-Dame, zaróżowiona zachodzącem słońcem, strojna w rzeźby i kolumny, ze swą wielką czarną rozetą, zamykała perspektywę. Wokoło niej Renia spostrzegła przemykające pierwsze jaskółki. Krążyły gromadą, prując powietrze sierpami swych małych skrzydełek — wyglądały jak

ptaszki z czarnej stali; metaliczne ich krzyki uzupełniały złudę.

Renia przypomniała sobie:

— Kiedyś przechodziłam przez plac Parvis z Fernandem i na progu szpitala pocałowałam go. Wracaliśmy od wuja Guéméné; patrząc na nas, powiedział: „Dzieci, w małżeństwie trzeba, żeby się wiązały życia"...

Pod maleńkim łukiem Petit-Pont, Sekwana płynie wąskiem korytem, zapchana statkami, na których wioślarze żyją z rodzinami, suszą bieliznę, która łopoce na wietrze wśród beczułek dyli. Renia powtarzała rozmarzona:

— Trzeba, żeby się wiązały życia...

Wąska nawa gotyckiej katedry ciągnie się wzdłuż brzegu, wspierana przypornikami i łukami z białego kamienia; pod absydą kościoła rozwijała się świeża zieleń ogrodu arcybiskupiego.

Renia pytała siebie:

— Czy to już pewne, że Fernand mnie nie kocha?... Czyż to możliwe, gdy ja go kocham tak bardzo!

Śpieszyła, chcąc się z nim połączyć. Przeszła most, potem wzdłuż niskich, ponurych budynków Morgi, która nie zrobiła wrażenia na obytej z prosektorjum i pozbawionej wrażliwości kobiecej. Mieszkańcy wyspy Saint-Louis, poznając ją, szeptali: To doktorka z ulicy Bourbon.

Wreszcie pod cieniem włoskich topoli Renia ujrzała swój dom. Myśl spotkania Fernanda, zdobycia go pieszczotami, odzyskania miłości, wezbrała jej serce rozkoszą.

— Czy pan jest przy stole? — zapytała, wchodząc, pokojowej.

— Pan nie wrócił jeszcze...

. . . . . .

Codzienne wizyty u p. Jourdeaux stały się dla doktora przyzwyczajeniem i potrzebą. Oczekiwał tej godziny każdego dnia gorączkowo, niespokojny, czy tylko czas mu pozwoli pogodzić swe zajęcia i wizyty lekarskie z tą potrzebą serca. Przychodził spragniony nowych radości, strwożony, serdeczny, rozkochany. Zastawał panią Jourdeaux przy oknie haftującą, zawsze tak samo łagodną i na pozór spokojną, lecz coraz bledszą, coraz smutniejszą, trawioną bezwiednym lękiem, którego już nie uspokajała ta pełna poświęcenia, ułudna przyjaźń. Rozmawali skrępowani, ostrożni, z oczami utkwionemi w wskazówki zegara, określającego czas ich krótkich spotkań. Czuwali nad słowami, nad swem zachowaniem i wbrew wszelkiej logice, bronili się przed naturalną poufałością, jaką wytwarza długa znajomość. Każde z nich, z tym samym wysiłkiem starało się tysiącami sposobów utrzymać ten złudny gmach przyjaźni, osłaniający gwałtowne uczucie, które ich łączyło. Gdyby ta krucha wieża z kości słoniowej runęła, ujrzeliby swoją namiętność w całej nagości. Czas uchodził. Guémené musiał pożegnać swą niedostępną przyjaciółkę, której wygląd Madonny uspokajał go, ale równocześnie napełniał mu serce cichą a bezdenną melancholją.

Opuszczając ją, cierpiał — bardziej oddalony niż gdy przychodził, spragniony jej, nieszczęśliwy, niezaspokojony.

Tego wieczora przyszedł w usposobieniu niezwykle podnieconem, rozdrażniony, sam nie wiedząc czem, niezadowolony z wszystkiego i wszystkich. Spostrzegła to:

— — Co panu dziś? — zapytała. Ręka jej zazwyczaj delikatna, ścisnęła podaną dłoń

doktora tak nerwowo, że zadrżał. Instynktownie odsunęli się od siebie.

— Nic innego jak to, co zawsze — odrzekł.

— Miałeś pan nową przykrość w domu?

Pani Jourdeaux miała tylko jedno niedobre uczucie w sercu: nienawidziła Reni. Widziała w niej istotę posępną, nieznośną, złą, wynajdywała w niej tysiące błędów, sądziła surowo.

— Nie —odrzekł — żona nie zrobiła mi żadnej nowej przykrości. Zapewniam panią, że Renia posiada bardzo piękne przymioty. Jest dobra i bardzo wierna swemu pojęciu obowiązku. Tylko małżeństwo zrozumiała w sposób egoistyczny i ciasny, lecz nigdy nie odstąpiła od tego, co uważa za dobre. I to właśnie czyni moje położenie tragicznem. Przy takiej towarzyszce życie moje to jedno długie pasmo drobnych przykrości. Nigdy nie wyrządziła mi wielkiej krzywdy ni bólu, który rozwiązuje i oswabadza; i czuję się jakby zobowiązany *kochać* ją nadal, nie łamać jej, wyznając jej ruinę naszego szczęścia.

Pani Jourdeaux wyprostowała się wolno nad robotą, którą trzymała w palcach, i z drgającemi powiekami, lecz z miną swobodną rzekła:

— Pan kochasz ją jeszcze... biedny przyjacielu!

Guéménć odczuł jakby wyrzut, który wzbraniał mu wypowiedzieć brutalne słowa: „Nie kocham już mej żony". Zdawało mu się, że to byłaby zbyt wielka obelga uczyniona godności Reni i krzywda niezasłużona. Szukał wykrętu.

— Pożycie — mówił — dobierając wyrażeń — pozostawia zwykle między ludźmi jakby niezatarte pokrewieństwo i atmosferę wspomnień, która może być zimną, ponurą jak

grób, ale trzeba nią dalej wspólnie oddychać. I to jest najcięższe. Pozory dawnej miłości stają się ciągłem kłamstwem. Całuje się, uśmiecha się do siebie, używa się dawnych czułych wyrażeń, wiedząc, że są to uczucia minione, martwe cienie tego, co było. A ponieważ na zewnątrz nic się nie zmienia, trzeba być zadowolonym. To smutne, jak śmierć...

— Możnaby sądzić —rzekła pani Jourdeaux, a głos jej zmienił się lekko — że masz jej pan za złe, że ci większych nie wyrządziła przykrości.

— Możliwe...

— Jaki pan niekonsekwentny!

— Przeciwnie, jestem logiczny. Gdyby miała więcej winy, wycofałbym się bez skrupułu i stworzył sobie ognisko rodzinne... gdzieindziej.

Umilkł. Ona żywo schwyciła igłę i gorączkowo utkwiła ją w batyście. Oboje byli równie wzruszeni, dusze ich tonęły w tem samem dławionem pragnieniu złączenia się. Milczenie ich trwało kilka minut, poczem Guéméné odezwał się:

— Cudowny był dziś dzień...

— Tak, odrzekła i podniosła oczy na skrawek błękitu, który wyzierał z wysokich murów, okalających wewnętrzny dziedziniec.

Zobaczył łzy w jej oczach.

— Szalony jestem! — zawołał. Przychodzę, aby wnieść pani trochę radości w jej smutne, samotne życie, a ranię ci serce, opowiadając o mej nędzy.

Ubodło ją to zdanie, gdyż w swej potrzebie poświęcenia wyobrażała sobie, że on przychodzi do niej żebrać o trochę szczęścia a nie jej dawać.

— Tak, pan bardzo dobry — przychodzisz do mnie z litości, lecz cała moja przyjaźń nie może zastąpić ci tej, która była tak twardą dla ciebie, a którą kochałeś i którą może jeszcze bezwiednie...

Nie dokończyła; łkanie zdławiło ją. Nigdy jeszcze ta cicha, słodka kobieta nie zdradziła tak swego tajonego bólu. Guéménć czytał w tej chwili w jej sercu.

— Pani droga, pani droga, jak możesz mówić coś podobnego! — zaczął bardziej świadomy niż ona. — Przeciwnie, tyle mi dobrego zrobiłaś, tyle słodkiej radości wniosłaś w me osamotnione życie.

— Czy naprawdę?...

I oczy ich spotkały się — zarumienili się oboje. Lęk ogarnął jedno przed drugiem. Drzwi otworzyły się, wbiegł Andrzejek. Skończył zadania i chciał je pokazać przyjacielowi. Obecność dziecka nie drażniła doktora, nie przeszkadzała mu. Dziecko przedstawiało dla niego tę drugą miłość, której był pozbawiony i okłamywał swoje uczucia ojcowskie, zajmując się synem swej przyjaciółki, czuwając nad jego nauką, kierując jego życiem. Doradził, aby dlań wzięto bonę Niemkę. Bezwiednie lubił roztaczać autorytet w tym domu, który był dla niego złudą własnego ogniska, lubił kierować dzieckiem, doradzać matce.

Przejrzał zeszyty, zrobił kilka uwag, chłopczyk słuchał ich uważnie, potem doktor rzekł:

— Gdy będziesz pilny, zabiorę cię do mej pracowni, tam zobaczysz najrozmaitsze, małe zwierzątka.

— A będą tam jaszczurki? — pytało dziecko swym cienkim sopranem.

Guéménć roześmiał się, podniósł chłopca, posadził na kolana, otoczył ramieniem, ściska-

jąc czule. Matka haftowała dalej, patrząc na nich z pod oka. Wszyscy troje milczeli — dobrze im było razem w tej wzajemnej ufności. Guéménné miał złudzenie własnej rodziny.

— Nęcący zapach dochodzi z pani kuchni — rzekł nagle głosem wzruszonym. Zaproś mnie pani na obiad.

— Chcesz pan z nami zjeść obiad?

Po raz pierwszy wyjawił to życzenie. Ona przyjmując go tak serdecznie, nigdy mu się z tem nie ofiarowała, nigdy nie śmiała powiedzieć „przyjdź pan, zostań jeszcze...“ Teraz wobec jego prośby, nie ukrywała swej radości. Zadzwoniła, aby podano jedno nakrycie więcej. Gdy Andrzejek wybiegł, spytała:

— Nie obawiasz się pan, że żona będzie czekać na pana wieczorem?

— Dość często czekałem na nią! — zawołał z urazą w głosie. — Potem dodał smutniej:

— Wymyślę cośkolwiek n. p. obiad w restauracji między dwoma wizytami. Czy kłamać słowami to coś gorszego niż kłamać pocałunkiem?...

— Biedny! — rzekła serdecznie.

Wzięła znów robotę, zamilkli, nie wiedząc, co mówić.

Gdy szli do sali jadalnej Andrzejek zbliżył się i ukradkiem wsunął zwinięty rulonik papieru do kieszeni swego dużego przyjaciela. Była to niespodzianka, którą od trzech dni przygotowywał starannie: ślicznie napisane zadanie, ozdobione dedykacją, związane różową wstążeczką. Dziecko drżało z radości nad swym zuchwałym czynem. Podczas całego wieczoru malec miał oczy utkwione w kieszeń, w którą prawdopodobnie duży przyjaciel wsunie rękę. A wówczas, co to będzie za zdziwienie i ra-

dość!... Ale próżne były nadzieje. Doktor nic nie spostrzegł.

Obiad minął spokojnie i cicho. Obecność służącej hamowała poufność rozmowy. Guéméné opowiadał o swych badaniach doświadczalnych w laboratorjum. Boussard polecił mu napisać referat dla Akademji, lecz on wahał się jeszcze wobec ciągle nowych obserwacji. Robił teraz doświadczenia na psach, chciałby mieć większe zwierzęta do dyspozycji.

— A!... kończył zniechęcony — brak zawsze dostatecznego pola do takich doświadczeń!

Pani Jourdeaux krajała placek, przekładany owocem, nie przerywając, odrzekła:

— Proponowałam panu takie pole, lecz go nie chciałeś. Jest zawsze do pańskiej dyspozycji. Tym razem doświadczenie byłoby decydywne.

Roześmiał się śmiechem krótkim, podobnym raczej do łkania.

— Pani... pani!... — wyjąkał. Popełniłbym zbrodnię... pani byłabyś moją ofiarą!

Nóż wypadł z ręki młodej kobiety. Tyle było uczucia w głosie Fernanda, tyle zapału a zarazem tyle nieśmiałego uwielbienia człowieka, który miłość swoją dotąd taił — że zdawało jej się, że słyszy jego wyznanie. Uśmiechnęli się do siebie, jak dwoje ludzi szlachetnych, bardzo szczerych i bardzo pewnych siebie wzajemnie. Zaraz po deserze doktór pożegnał się. Szczęście, którego doznali, zgasło na widok rozbieżnych dróg, jakiemi płynęło ich życie.

Guéméné z trwogą wracał zawsze do domu. Obawiał się obecności Reni, którą zastawał zawsze niezmiennie uśmiechniętą, uprzejmą, pociągającą. Teraz ulgę mu sprawiało, gdy dowiadywał się po powrocie do domu o nieobecności żony. Czuł się zażenowany wobec niej — jak-

gdyby ta prawa Renia mogła odkryć skazę w jego sercu. Miał nadzieję, że tego wieczora będzie przy pracy w swym gabinecie i że zbędzie ją pospiesznym pocałunkiem. Lecz ona oczekiwała go w sypialni. Znalazł ją dziwną, widział, że płakała. Chciał, jak zwykle, zejść na drugie piętro, aby tam pracować. Zatrzymała go.

— Zostań chwilę, Fernandzie.

— Czego chcesz, kochanie?

To słowo pocieszyło ją. Przytem okazywał jej dziś tyle serdecznej uprzejmości, że się uspokoiła. Może niepotrzebnie tak się martwi? Marzyła o tem, aby się z nim porozumieć i wyjaśnić powód tej obojętności, którą w nim spostrzegła. Teraz nagle uznała to za zbyteczne i teatralne i zadowoliła się pytaniem:

— Nie mogłeś wrócić na obiad?

— Nie, nie mogłem — rzekł, siląc się na pewność siebie. Byłem na lewym brzegu, zrobiło się późno... Jadłem obiad w restauracji.

— O, ja ci nie robię wymówek, mój drogi — rzekła z ogromnym smutkiem. Nie mam prawa.

Zdziwiło go to zdanie w ustach dumnej Reni, spojrzał na nią badawczo, chcąc odgadnąć ukrytą myśl tych słów. Ona dodała:

— Mnie także często nie było, kiedy ty potrzebowałeś mej obecności!

Nie powiedziała mu o wieczorze w trwodze spędzonym tu, w ich pokoju, na oczekiwaniu i pragnieniu jego, i żalu po minionem szczęściu. Jednak akcent smutku i upokorzenia uderzył znów Fernanda. Była to dla niego jakby błyskawica, oświetlająca na chwilę serce Reni. Wyrzucał sobie, że wziął ongiś tę kobietę z jej miłego spokojnego życia, "intelektualistki", obudził w jej duszy wraz z nieznanem szczęściem miłości nowe potrzeby, pragnienia czułoś-

ci a nie zaspokoił ich. Wrodzona jego dobroć wzruszyła się. Żal mu się zrobiło swej pięknej małżonki, którą opuszczał podstępnie i rozmyślnie. Ale dziś wieczór myśl życia z tą drugą zbyt głęboko weszła w jego duszę; litował się nad swą żoną jak nad obcą istotą, którą się widzi cierpiącą. Była to już dwoistość i ustępliwość sumienia wiarołomnego męża.

— Moja droga — rzekł — ściskając ją jeszcze. Cóż chcesz! Takie już było nasze życie... zbyt słabe były węzły....

Odruchowo chciała go uścisnąć i zatrzymać, ale on cofnął się — odczuła to, ostry ból przeszył ją. Odwróciła się.

— Zresztą — mówił do siebie — chcąc się uwolnić od wyrzutów — ona ma swój zawód, w którym znajdzie pociechę...

Zaczął się rozbierać, wyjmował z kieszeni ubrania termometr, pugilares, notatnik, przytem zwinięty papier, zawiązany różową wstążką, wypadł na ziemię.

— A to co? — rzekł głośno.

Machinalnie Renia podniosła papier, odwiązała wstążeczkę: ukazało się zadanie Andrzejka.

— Byłeś u pani Jourdeaux? — zapytała.

Nie, byłem na lewym brzegu.

— A więc, co to znaczy?...

Guéménć spojrzał przelotnie i przeczytał pismem pół centymetra dużem:

„Klodwig pochwycił topór i uderzając żołnierza, położył go trupem u swych nóg, mówiąc: „Przypomnij sobie wazę z Soissons".

A niżej:

„Memu dużemu przyjacielowi panu Guéménć

Andrzejek Jourdeaux."

Guéménć zaambarasował się.

— A... przypominam sobie, w przeszłym tygodniu zawezwano mnie do małego, był trochę niezdrów. Dał mi swoje zadanie i zostało w kieszeni.

— Ależ — odrzekła Renia, której głos brzmiał dziwnie — zadanie ma datę dzisiejszą.

Rzeczywiście, pod palcami żony ujrzał słowa:

Środa 9 maja.

Przeszyła go swym wzrokiem uczciwym, prawym, wpatrując się długo. Nie rozumiała jeszcze nic... wiedziała tylko, że to kłamstwo wypowiedziane było przez towarzysza jej życia, któremu ślepo wierzyła.

— A więc... tak — rzucił dumnie. — Pozwoliłem zatrzymać się dziś na obiedzie przez panią Jourdeaux. Byłem bardzo zmęczony. Miły zapach potraw z jej kuchni skusił mnie. Aby ci nie zrobić przykrości, skłamałem... chciałem, abyś uwierzyła, że konieczność jedynie oddaliła mnie od ciebie. Wybacz mi ten wykręt, a przedewszystkiem tchórzostwo, bo to pierwsze...

Oczy Reni ściemniały. Twarz zmieniła się. Nie odpowiedziała nic, nie wiedząc, co myśleć, ogłuszona, jak uderzeniem, tem niezrozumiałem dla siebie odkryciem.

Z głuchą niechęcią w duszach spędzili tę noc jedno obok drugiego.

II.

Renia poznała odtąd niespokojne, zamknięte w sobie, pełne skrytych rozmyślań i udręki życie zdradzanych żon. Nie wiedziała jeszcze nic, domyślała się tylko. Jedno było pewne: Fernand krył się z tem, że odwiedzał panią Jourdeaux — wolał skłamać, niż przyznać się do tego. Z gorzką podejrzliwością przeszukiwała wspomnienia. Odkąd Fernand poznał młodą kobietę na obiedzie u jej rodziców, mówił o niej często, podziwiał, chwalił. Zeszłego roku zalecił jej dla syna tę samą miejscowość kuracyjną, do jakiej i oni się wybrali. Pobyt w tym samym hotelu też nie był przypadkowym zbiegiem okoliczności. Renia przypomniała sobie, że nakłonił do tego panią Jourdeaux, dostarczając jej informacyj o zakładzie.

Czyż nie kochał jej już wtedy? Myśl, że może oddawna była zdradzaną, opanowała ją i zmiażdżyła. Cierpiała przedewszsytkiem nad utratą szacunku dla męża. Pełna zaufania widziała w nim duszę równie jasną jak jej własna, a on oszukiwał ją skrycie. Ta nieszczerość człowieka ukochanego była dla niej najokrutniejszym bólem. Lecz zazdrość w właściwem znaczeniu tego słowa nieprędko wcisnęła się do jej dumnej duszy. Dopiero, gdy zroumiała, że porzucono ją, kobietę jej wartości, dla pani Jourdeaux — mniej szlachetne, głębsze i straszniejsze uczucia opanowały jej serce. W wyobraźni planowała niegodne szpiegowanie. Pój-

dzie tam przychwycić ich. Ich zmieszanie będzie jej zemstą. Albo każe go śledzić. Rozmyślała nad tą zemstą nie jak inne kobiety w czasie długich godzin bezczynności, ale wśród rozlicznych swych zajęć, naglona, pędzona od rana do wieczora swymi zawodowymi obowiązkami lekarza. Nosiła swą mękę ze sobą; przeżuwała ból w dorożce, na ulicy, na schodach, przestępując próg pokoju pacjentów. Musiała użyć całego wysiłku, żeby się uwolnić od niego przy łożu chorych. Najczęściej pielęgnowała młode mężatki, przy których łóżkach czuwali zaniepokojeni mężowie. Na widok miłości, jaką zdradzały ich oczy i ruchy, ta obojętna, wyższa, tajemnicza lekarka, u której inne szukały pomocy, drżała, słabła, zazdrościła im, cierpiała, wstrzymując łzy.

Z zapałem pielęgnowała małego Adelina, po dwa razy dziennie chodziła na ulicę Buci, aby zmieniać bandaże, wykąpać malca i zastrzyknąć mu morfinę. Owa lekka pogarda, jaką niegdyś okazywała trywialnej, rubasznej koleżance, rozwiała się w poczuciu wspólnego cierpienia. To, że mogła oddać matce jej dziecko, było dla niej pewną rekompensatą za wszystko, co przecierpiała.

Lecz, gdy powróciwszy do domu, zastawała w nim niewiernego małżonka, ukrywającego w sercu tajemnicę, ból jej przybierał formę urazy i gniewu, który ją przerażał i dławił.

Siedem dni upłynęło w posępnem i ciężkiem dla obojga milczeniu. Renia, podejrzliwa, nieufna, zapamiętywała się w poszukiwaniu śladów prawdy. Dumna i delikatna jej natura miała wstręt do wymówek, obelg i scen. Właśnie ta wyższość moralna tych dwojga istot czyniła ich nieme porozumienie jeszcze tragiczniejszem i dotkliwszem. Przy stole Fer-

nand spotykał często badający go wzrok żony. Wydawała mu się tak wielka, tak urażona w swym ponurym smutku, że czuł się przy niej mniejszym i upokorzonym. Rezerwa, jaką zachowywała, dawała jej siłę; on miał rolę gorszą w tym dramacie. Niezadowolony ze siebie, z tego życia, opartego na dwuznaczności, utrzymywany w niemożności usprawiedliwienia się, wracał do pani Jourdaux, gdzie oczekiwała go druga dwuznaczna sytuacja. Poco ta rezerwa wobec przyjaciółki, jeżeli wzamian nie zyskiwał nic u żony? Wiedział teraz dobrze, że osłaniał namiętność swą płaszczykiem przyjaźni nietyle przez skrupuły wobec żony, ile przez zręczność i przebiegłość kochanka — wiedział, że sama myśl cudzołóstwa przeraziłaby młodą kobietę. Miał do niej żal za jej połowiczną szczodrość. Ona także czuła bezwiedną urazę za tę sytuację bez wyjścia. Wzajemnie okazywali sobie nieuzasadnioną drażliwość. Ona wyrzucała mu smutek, którego nie umiała już koić, on skarżył się, że nie okazywała mu radości, przyjmując go. Stosunek ich był serdeczny, a jednak krył w sobie coś cierpkiego. Pewnego dnia podrażniona drobiazgowemi zarzutami, jakie nieustannie jej czynił, zawołała:

— Możnaby sądzić, że panu sprawia przyjemność robić mi przykrość.

— A pani? — szepnął ponuro.

Przerażona widokiem tego, co wyrażały jego rysy, szepnęła:

— Co? ja panu sprawiam cierpienie? jak? jakim sposobem?

— Pani nie wie... nie widzi...

Schwycił się za głowę, łza spadła mu na kolana. Zerwała się do głębi wstrząśnięta. Cierpienie tego człowieka było dla niej nie do znie-

sienia. Zbliżyła się cicho, pochyliła i pocałowała w czoło.

Była to pierwsza pieszczota, której doznał od niej: zamknął oczy, skupił się.

— Droga, droga! — szeptał cicho, przejęty bezgraniczną słodyczą.

Wyciągnął ręce do niej, lecz ona już się usunęła, blada, przerażona tem, co zrobiła, cała drżąca. Dla niego ten pierwszy odruch miłości takiej kobiety miał tyle znaczenia, że uspokoił go i zadowolnił całkowicie. Patrzał na nią z wyrazem niewypowiedzianej wdzięczności.

— Jaka pani dobra... Dziękuję...

— Takbym chciała trochę balsamu wlać w pana życie — odrzekła.

Lecz odtąd spotkania ich stały się coraz przykrzejsze. Pani Jourdeaux skoro oprzytomniała, stała się zimniejszą i powściągliwszą niż kiedykolwiek. Zatrzymywała przy sobie Andrzejka w czasie wizyty doktora. Guéméné zaczął surowo ją sądzić.. Napięte nerwy u obojga wywoływały co dnia większe rozgoryczenie.

W owej to chwili Renia postanowiła rozmówić się z mężem.

Pewnego wieczora po obiedzie Fernand oparł się przy oknie, aby zapalić papierosa; zbliżyła się do niego. Kilka minut upłynęło zanim otworzyła usta. Noc zwolna zapadała. Na drzewach gruchały gołębie, statki sunęły cicho po rzece, tylko od czasu do czasu słychać było bulgotanie wody pod śrubą, gdy który z nich zatrzymał się przy pomoście. Wreszcie Renia wyrzekła:

— Trzeba nam się porozumieć, Fernandzie.

— Porozumieć — powtórzył nerwowo.

— Wiesz o tem, że szczęście nasze oparte było na zupełnej szczerości, trzeba, aby nasze nieszczęście otaczała również jasność. Bądźmy

odważni, przyjacielu, powiedzmy sobie wszystko, uczciwie.

Głos jej drżał, gdyż w obrażonej swej dumie postanowiła, gdyby Fernand przyznał się do zdrady, nie pozostał nadal w domu, w którym przestała być żoną wybraną i czczoną. Postanowiła wyjechać, usunąć się, oddać niewiernemu małżonkowi wolność i swobodę działania. Lecz to, co postanowiła w oburzeniu, teraz wyrażała w bólu, z rozdartem sercem.

— Wiem, że mnie już nie kochasz — rzekła.

— Reniu, moje serce!...

— Nie zaprzeczaj. Twoje oczy, zachowanie, cała twa dusza, w której umiem czytać, są szczersze niż twoje słowa. O! bądź spokojny, nie przyszłam, aby ci robić sceny. Oboje zdolni jesteśmy spojrzeć prawdzie w oczy. Przychodzę pomówić z tobą o naszem nieszczęściu. Ja cię nie oskarżam... My poza miłością możemy pozostać ludźmi ufającymi sobie, zdolnymi do porozumienia się bez niechęci, bez nienawiści. Myśmy się tak kochali! nie możemy się nienawidzieć...

Wzruszył się, widząc jak drżała pod tym pozornym spokojem. Czuł się przez nią kochanym może więcej niż dawniej, a jednak nie drgnęło w nim nic, prócz litości, dla tej pięknej małżonki, o której dumę rozbiło się jego szczęście.

— Nienawidzieć... biedna Reniu! — rzekł z łagodnością, jaką się czuje dla cierpiących. Ty tak myślisz? Przecież ty jesteś moją żoną ukochaną, jedyną towarzyszką życia! Wiem co jesteś warta, nie zapominam o tem. Czy byłem kiedy dla ciebie przykry, niesprawiedliwy? Czy ci kiedy wyrządziłem krzywdę?...

— Fernandzie — odrzekła jeszcze bardziej poważna — proszę cię, nie dobieraj sztucznych

wyrazów. mam prawo tego żądać od ciebie, bo jeżeli nie byłam ci żoną, o jakiej marzyłeś, nie byłam również ani zła ani niegodna. Odkryjmy nasze dusze, mówmy w zupełnej szczerości. Odważnie wysłucham wszystkiego. Kochasz inną kobietę.

Fernand zrozumiał, że kłamstwo wobec Reni stało się niemożebnem. Umilkł. Renia zacisnęła obie ręce o poręcz krzesła. Oczy przymknęła na chwilę. Milczenie męża potwierdziło tylko to, o czem wiedziała, a jednak zgnębiło ją, jakby nagłe odkrycie.

Fernand usłyszał jej szept:

— Dziękuję ci, żeś nie skłamał...

Odruchowo, przez przyzwyczajenie posiadania jej, zląkł się stracić tę kobietę, która, zdawało mu się — że stała się mu już obojętną.

— Reniu przysięgam ci... ty mnie słyszysz... wierzysz mi... przysięgam ci, że od dnia, w którym zacząłem cię kochać, aż do dziś nie miałem innej kochanki prócz ciebie. Ty jesteś moją jedyną towarzyszką życia, twoim jestem jak za pierwszych dni naszego małżeństwa.

Przerażona wlepiła weń oczy:

— Więc... więc... jakto?... nie rozumiem... chciałabym ci wierzyć, Fernandzie, ale zdaje mi się, że nie jesteś szczery. Usiłuję przyjąć za prawdę to, co mi mówisz, ale nie mogę. Znam cię zbyt dobrze, zanadto byłeś mi bliskim, abym cię nie przeniknęła. Odgaduję myśl, którą ukrywasz...

Zrobiło się ciemno. Fernand nie mógł śledzić bladej twarzy żony, na której w ciemnościach odbijał się kolejno wyraz to nadziei, to bólu.

— Powiedziałem ci prawdę — rzekł, udręczony temi badaniami. Wolno ci myśleć, co chcesz.

— Spojrz mi w oczy, Fernandzie· i pozwól mi czytać w twoich. Bądź zemną szczery tak, jak ja jestem z tobą! Przyszłam dziś do ciebie zagniewana i wzburzona, aby zerwać... Zdawało mi się, że kobieta taka jak ja, nie powinna znosić podziału; chciałam ci zaproponować, że cię opuszczę... jeśli ci jestem ciężarem. Lecz ani godność, ani duma, ani świadomość tego, co jestem warta, nie wchodzi już w rachubę. Zbliżając się do ciebie uczułam, że cię kocham, że serdeczniej i silniej niż kiedykolwiek jestem przywiązana do ciebie. Nic nie może mnie z tobą rozłączyć. Nie! nie! nie chcę odejść, nie chcę się ciebie wyrzec, ani cię utracić. Ty jesteś moim najdroższym mężem aż do śmierci; możesz mnie obrazić, napoić goryczą — posiadam wieczną wierność prawdziwej miłości, która się nie zniża w rezygnacji, nie brudzi w upokorzeniu, nie umniejsza w przebaczeniu. Dziwisz się, słysząc mnie tak mówiącą, wyrzekłam się wszelkiej dumy, gniew mój ostygł — gdybym inaczej mówiła, kłamałabym. W naszem małżeństwie nie może być hipokryzji.

— Moja Reniu!...

— Tak ja jestem zawsze *twoją* Renią, lecz ty nie jesteś *moim* Fernandem. Kochasz inną kobietę, domyśliłam się — kochasz panią Jourdeux.

— Panią Jorudeaux i mnie łączy przyjaźń w najczystszem słowa tego znaczeniu. Chcesz prawdy, to ją masz. Mówię bez zaklęć, bez wykrętów. Wierzysz mi?

— Tak, Fernandzie, wierzę ci. Lecz nie jestem małą dziewczynką, którą można zbyć pozorami. Znam duszę ludzką... pani Jourdaux jest kobietą prostą, uczciwą, którą miłość nieuczciwa przeraziłaby... broni się... Przyjaźń, przyjaźń... Chciałbyś, abym ja miała przyjaciela?

przyjaciela w najczystszem tego słowa znaczeniu, powiedz?

Duma i wzburzenie prawej małżonki drżały w niej. Cierpiała bez łez, bez skargi, więcej niż każda inna kobieta.

Potem bojąc się wymówek z jego strony i nie chcąc, aby jej przypomniał przeszłość i brak jej troskliwości o domowe ognisko, dodała pośpiesznie:

— Poszukałeś sobie miłości poza domem, inna kobieta weszła w twe życie, zdobyła twe serce. My kobiety nie rozróżniamy cudzołóstwa serca od cudzołóstwa ciała. Nie wiem, co cię łączy z panią Jourdaux, ale przeczuwam... okłamujecie się przyjaźnią. Fernandzie, nie taję przed tobą, że mnie to łamie. Ty nie wiesz, co cierpię! Nigdy nic nie bolało mnie tak...

Odsunął się od okna, podążyła za nim i razem cofnęli się w głębszy cień jadalnego pokoju — stali i płakali.

Renia zaczęła znowu:

— Nie na tobie ciąży cała wina. Ja także czuję się winną. Tyś mnie uprzedzał, że miłość twa gaśnie, błagał, abym rzuciła medycynę, słyszę twą prośbę... Prawdopodobnie czułeś się już mną zmęczony. Nie miałam odwagi... Wydawało mi się, że cierpisz... to mną wstrząsnęło, ale nie mogłam... Chciałeś się zemścić? Powiedz...

— Nie...

W duszy myślał:

— Ona mi wraca dziś, gdy widzi, że jej się wysuwam. Lecz już zapóźno. Przypomniał sobie całą nędzę swego małżeńskiego życia, ruinę wszystkich swych marzeń, wszystko, co przecierpiał tu w tym domu, w czasie swych samotnych godzin.

— Tyle cierpiałem przez ciebie — dodał głucho.

— Rozumiem to dziś — rzekła smutnie — bo cierpię sama. Dotychczas nie znałam bólu, więc nie doceniałam twych przykrości. Przebacz mi...

— Ja nie mam żalu do ciebie. Wierz mi, mimo cierpienia, mimo kryzysu, jaki w tej chwili przechodzę, że sam nie widzę jasno — czuję jednak, że jestem tym, który cię kocha najwięcej na świecie.

Zrozumiała niemożliwość żądanej przed chwilą szczerości. W tych mimowolnych zeznaniach Fernanda prawda wychylała się tylko częściowo; poprawiał ją zaraz serdeczniejszym wyrazem. Zdawała sobie sprawę, że pod groźbą zerwania nie mógł jej powiedzieć: „nie kocham cię więcej", że tylko w pewnym rodzaju nieszczerości przez obojga sankcjonowanej mogli nadal prowadzić życie wspólne. Zwątpienie, niepewność zostanie odtąd między nimi. Renia uczepiła się teraz namiętnie właśnie tej dwuznaczności, która jedynie pozwalała jej żyć dalej obok Fernanda.

Nie mieli sobie nic do powiedzenia — pozostawali jednakże w tym ciemnem sam na sam, oboje wyczerpani walką, oboje zarówno zgnębieni. Renia pierwsza odezwała się:

— Czuję się bardzo zmęczona.

— Musisz się położyć, kochana.

Usłyszała znów ów ton serdeczny, braterski, którym do niej przemawiał.

Poszli razem na górę smutni niewypowiedzianie. Gdy doszli do progu sypialni, Ferdynand otworzył drzwi. Renia cofnęła się.

— Wejdź — rzekł roztargniony.

— Fernandzie — szepnęła bardzo blada — wiesz, że ci wszystko przebaczam, ale po tem

co powiedzieliśmy sobie dziś wieczorem jeszcze resztka mej zdeptanej dumy zbudziła się we mnie. Jestem ci uległą we wszystkiem, ale pozwól, że tę noc spędzę sama.

Bez odpowiedzi uczynił bolesny ruch rezygnacji — ona przeszła do sąsiedniego pokoju.

* * *

Nazajutrz o wczesnej godzinie popołudnia, służąca wuja Guéméné wprowadziła Renię do salonu, skąd portret Zmarłej przez szeroko otwarte okna zanurzał swe piękne oczy w zieleń Luksemburgu. Wielki ten pokój, w swej uroczystej ciszy przypominający relikwiarz, zachował dotąd milczące pianino, krosna do haftu, przy których pozostały niewyraźnie odciśnięte na dywanie ślady stóp. Renia myślała o dniu, w którym pierwszy raz po ślubie przyszła tu z Fernandem. Oboje drżeli wówczas ze szczęścia i miłości — wystarczało im patrzeć na siebie. Renia, patrząc na górujący nad nimi portret, zazdrościła Zmarłej jej niezrównanego wdzięku, tej mistycznej władzy i cudownego romansu, jakim było jej całe życie. Mówiła sobie: „I ja pragnę podobnego uczucia. Chcę być kochaną jak ona. Chcę posiadać podobną słodycz władzy.“ I rzeczywiście owego dnia pieszczona rozkochanym wzrokiem Fernanda, pełna wspomnień rozkoszy, oceniając dar swej osoby, wzniosłość uczuć, które ich łączyły, szlachetną serdeczność ich stosunku, myślała, że dorównuje umarłej. Ale mistyczny i wspaniały romans tej pięknej ciotki trwał przez lat dziesięć i przetrwał cienie śmierci, a cóż się z jej romansem stało?

— Jaka ty dobra Reniu, żeś przyszła. Co porabia Fernand? — zapytał wdowiec.

W swej udręce myślała o wuju jako o jedynej ucieczce. Wuj Guéméné kochał Fernanda jak syna. I ona miała dla niego to ciche sy-

nowskie uczucie, jakie niektóre synowe mają dla ojca kochanego człowieka. Patrzała na niego z szacunkiem i współczuciem, jak na żyjącą relikwię czegoś wielkiego, co minęło — jak na zmęczonego aktora wspaniałego dramatu. W tej chwili podniosła ku niemu wzrok tak zrozpaczony, że wykrzyknął:

— Cóż cię sprowadza do mnie? chyba nic złego?

Odrzekła cicho:

— Owszem, wielkie nieszczęście! Koniec naszego szczęścia i naszych marzeń.

Schwyciła rękę wuja, kościstą i suchą i przyczepiła się do niej nerwowo, jakby ta ręka była wszechwładną i mogła ją uratować. Odwracając twarz z zamkniętemi oczyma, mówiła:

— Powiem ci wuju wszystko... wszystko.

Zawsze interesował się młodą kobietą, tak uroczą, tak nową dla niego, która była lekarzem jak on, żyła życiem umysłowem, podobnem do jego życia, a równocześnie była tak daleka, niedocieczona i tajemnicza, słaba i wrażliwa jak każda inna. Odrębność i niezwykłość jej socjalnego stanowiska, przerażała go trochę i nie bez obawy patrzał na związek Fernanda z tą dziwną dziewczyną. Wątpił w ich szczęście, według niego na fałszywej podstawie założone i śledził młode małżeństwo z niepokojem i trwogą. Nie przypuszczał jednak, że katastrofa, o której mówiła teraz Renia, zdaniami tak urywanemi i rozdzierająco bolesnemi — nastąpi tak prędko.

Dawno już czuła, że Fernand nie był z nią szczęśliwy. Był zawsze dla niej dobrym, nigdy nie sprawiał jej przykrości, lecz serce jego oddalało się od niej powoli, bez wstrząśnień. Nie byłaby śmiała go posądzać. Była z natury tak

ufna, tak mało podejrzliwa, że cierpiała bez niepokojenia się. Pewnego wieczora przypadek całkiem niewinny otworzył jej oczy. Kartka papieru wypadła mu z kieszeni, kartka ta, wsunięta przez synka pacjentki, była niezaprzeczalnym dowodem zażyłości między jej mężem a ową pacjentką. Aby usprawiedliwić swą bytność u niej — kłamał. Kłamstwo, które wydostała na jaw mówiło więcej niż wszelkie wyjaśnienia. Myśl, że był kochankiem innej, pogrążyła ją na cały tydzień w najstraszniejszą rozterkę. Nigdy nie przypuszczała, że dusza ludzka może znieść podobne burze; nie miała pojęcia o tym poniżającym bólu zazdrości. Milczała przez rozum i ostrożność, obawiając się fizycznych wybuchów gniewu, które najsilniejsze sumienia wyprowadzają z równowagi. Powoli w umyśle jej powstała myśl opuszczenia Fernanda, powzięta nietylko z poczucia godności, ale, niestety, także przez chęć zemsty. Lecz wczoraj porozumieli się oboje i to zbliżenie serc zmieniło jej zamiary. Rzecz niezrozumiała: kochała go ciągle, mimo, że sprawiał jej tyle bólu. Życie bez niego byłoby nie do zniesienia. Sama nie wie czy z miłości, czy z rozsądku, lecz odkryła w sobie wyrozumiałość dla słabości męża. Zresztą mówili ze sobą otwarcie — ta kobieta nie była kochanką Fernanda. Lecz platoniczne przywiązanie, okazywane z taką mocą, więcej było niepokojące w swej szlachetności, niż węzły fizyczne. Renia czuła to dobrze i cierpiała tem silniej, głębiej i wznioślej. To, co było dla niej najdroższego w pięknej duszy Fernanda, to dał tej drugiej kobiecie. Lecz miała jeszcze nadzieję, że mocą swego kochania zwróci go ku sobie i dlatego przyszła do tego, kogo Fernand uważał za ojca. Błagała o radę i ratunek. On, który zaznał miłości naj-

wznioślejszej, największej i najrzadszej, pomoże jej do zdobycia znowu Fernanda. O, jakżeby chciała być podobną do zmarłej ciotki!...

Wdowiec potrząsnął smutnie głową.

— Co ty mi za boleść sprawiłaś, Reniu! Biedne, biedne dzieci!

Siadła obok niego i mówiła dalej:

— Kochany wuju, nie jestem już dumną, jaką kiedyś byłam, ani zarozumiałą co do mojej osoby. Zarozumiałą? Niestety! Z czego miałabym być zarozumiała? Jestem biedną, opuszczoną kobietą, która nie umiała zatrzymać miłości męża przez cztery lata, męża tak dobrego jak Fernand. Ani moje wiadomości, ani świadomość mojej inteligencji nie ochroniła mnie przed najgorszą zniewagą, jakiej kobieta może doznać. Ha! złamana jestem i pokonana. Wierz mi, myślę tylko o mem straconem szczęściu. Powiedz, co mam czynić, a gotowa jestem poddać się każdej woli, która zechce mi dopomóc. Stałam się znowu uległą.

— Reniu droga — odparł stroskany. — To niemożliwe, aby Fernand przestał kochać taką kobietę, jak ty.

Przezwyciężyła ostatni odruch miłości własnej i wyznała.

— Wuju, musisz wiedzieć wszystko, ja nie dałam mu szczęścia. Wychodząc za mąż, chciałam mieć własne życie — życie niezależne, umysłowe. On mnie błagał, abym mu się oddała cała — odmówiłam. Zatrzymałam dla siebie to, co podniecało moją próżność — zawód niezależny... Powiedz, czy nigdy nie skarżył się na mnie przed tobą?

— Nigdy, Reniu. Przeciwnie, przez niego nauczyłem się ciebie cenić. Gdy mówił o tobie, słowa jego drżały miłością. Pokochałem ciebie z jego opowiadań.

— A jednak on dużo cierpiał przezemnie. Powiedział mi to. Nie byłam mu żoną, o jakiej marzył. Nie umieliśmy związać naszego życia. Byłam przedewszystkiem lekarzem. Poszukał gdzieindziej towarzyszki, której we mnie nie znalazł — towarzyszki mu oddanej, jaką ja nie byłam. Ale teraz, jeżeli z miłości do niego stanę się znowu zwykłą kobietą, wyrzeknę się medycyny, czy myślisz, że go to wzruszy i wróci do mnie?

Przyglądał jej się przez chwilę zdziwiony; z taką prostotą wyraziła jednem banalnem zdaniem zniweczenie swego dumnego „ja“, swoją abdykację. Sam był lekarzem; wiedział, jakie namiętne zamiłowanie do zawodu tego mają ci, co się mu poświęcili, a przedewszystkiem znał tę młodą, zapaloną lekarkę, tak entuzjastycznie oddaną nauce.

— Myślę — rzekł głosem trochę zmienionym — że gdyby nie wrócił do swej bohaterskiej żony, nie będzie wart ani szacunku ani przyjaźni.

— Nie jestem bohaterką — odrzekła. — Naśladuję tych aeronautów, co w grozie zatonięcia, rzucają w morze swe skarby, by oswobodzony z ciężaru balon wzniósł ich jednym rzutem w niebo. To nie poświęcenie. Gdyby byli oddali swe skarby tym, którzy ich żądali, przed niebezpieczeństwem, byliby bohaterami. To, co robię dziś niema w sobie nic bohaterskiego. Powinnam była to uczynić przed czterema laty. Dziś może będzie już zapóźno.

Potem dodała cicho, z prostotą słowa, które kładły kres na zawsze jej karjerze.

— Wychodząc stąd, wstąpię do drukarni i zamówię ogłoszenia, aby uprzedzić moją klientelę.

Wuj powstał, podszedł do niej, uścisnął jej ręce:

— Dziękuję ci, Reniu... za Fernanda. Do śmierci będzię ci wdzięczny!... Głos mu drgnął, nie mógł powiedzieć więcej. Przeniknął do głębi tę duszę dotychczas zapoznaną przez siebie, której nie chciał sądzić z obawy, aby nie być surowym. Po raz pierwszy zrozumiał nową kobietę, w której rozwój intelektualny nie zniszczył bezdennych źródeł uczuć prawdziwie kobiecego serca. Była tak prosta w swem wyrzeczeniu się i swej decyzji, jak gdyby chodziło o rzecz drobną. Nie mógł powstrzymać pytania:

— Karjera twoja zapowiadała się tak pięknie! Nie będziesz jej żałowała?

— Co mnie obchodzi karjera wobec miłości Fernanda!

Z blado złotych ram obrazu zmarła ciotka ze ślicznemi, złożonemi rękami, w spokojnej postawie, z gorejącemi oczami pod niemodną już fryzurą, zdawała się patrzeć na nią i uśmiechać się do niej. Między temi dwoma kobietami, tym cieniem i żyjącą, jakaś zażyłość zaczynała się zawiązywać, obie łączyła ta sama słodka uległość miłująca, to samo szlachetne poddaństwo w bezgranicznem poświęceniu. Wdowiec spostrzegł wzrok Reni, utkwiony w portrecie i poprawiając to, co przed chwilą powiedział, wymówił zdanie, które było dla niej pierwszą nagrodą za jej poświęcenie:

— Moja droga Reniu, robisz się podobna do mej zmarłej żony.

III.

W duszy Reni powstał wielki, moralny zamęt. Energja tak u niej bogata, która decyzja jej uczyniła bezczynną, nie mogła być odrazu unieruchomioną. Przez trzy dni następne odbyła najpotrzebniejsze wizyty u swych dawnych pacjentów, których kuracji nie mogła przerwać nagle. Reszcie klienteli doniosła o swem postanowieniu. Służba otrzymała nakaz odsyłania nowo przybyłych. Jako powód podawała stan swego zdrowia. Tylko Fernand niczego nie widział, niczego nie zauważył. Czekała odpowiedniej chwili, aby mu powiedzieć, co z miłości dla niego zrobiła. Lecz Fernand wydawał jej się roztargniony, dziwny, daleki, jakby żył w jakimś śnie. Obserwowała go bez przerwy; wszystkie siły koncentrowała w tem, aby go odgadnąć. O kim myślał podczas bezustannego milczenia? Jakież imię kryło się pod tem tajemniczem czołem? Jaki obraz w głębi tych ócz, które jej unikały?... Skąd przychodził, gdy wracał wieczorem rozmarzony i smutny, duszą nieobecny, całujący ją z rodzajem obrażającej litości?... Milczała ciągle, zajmując dnie trochę bezczynne przygotowywaniem kopert do wysłania zawiadomień.

Gdy przyniesiono je z drukarni, pachnące świeżym drukiem, gdy zobaczyła setki tych małych karteczek z napisem, który publicznie

i nieodwołalnie ogłaszał jej postanowienie, wzdrygnęła się jakby boleśnie zbudzona z długiego snu.

„Doktor Teresa Guéménė ma zaszczyt zawiadomoć pp..., że z powodu zdrowia zaprzestaje praktyki lekarskiej. Proszę przyjąć wyrazy etc. etc..."

— Jakże ja mogłam to zrobić, szeptała. Więc to prawda?...

Potem myśl, że Fernand rozczuli się, zrozumie nareszcie jej miłość, uzna swą winę i powróci do niej w porywie wielkiej miłości — dodała jej odwagi.

Tego samego dnia Renia poszła odwiedzić ostatnią swą pacjentkę. Była nią młoda kobieta chora na zapalenie wewnętrzne, tak osłabiona, że mało było nadziei uratowania jej życia. Miała dla pielęgnującej ją lekarki jakieś gorące, rozegzaltowane, wyjątkowe przywiązanie. Powierzała jej swe serdeczne smutki, brutalne obchodzenie się z nią męża, który nie wierzył w jej chorobę, spowiadała się ze wszystkiego, czując w tym lekarzu-kobiecie nietylko życzliwość, ale jakby sankcjonowany urząd, który autoryzował wszystkie jej zwierzenia. Gdy się dowiedziała o postanowieniu Reni, z rozpaczą łamała ręce, płacząc, wołała:

— Pani nie może mnie opuścić! Nie chcę lekarza - mężczyzny! Pani jednej mogłam wszystko powiedzieć.

Renia przyrzekła odwiedzić ją czasem po przyjaźni. Wyszła z tego domu do głębi wzburzona. Zawód jej podstępnie przybierał charakter posłannictwa. Wyrzucała sobie, że się usuwa.. Czyż nie stała się niewierna swemu wielkiemu powołaniu? Kobieta - lekarz mogła mieć wyjątkową i bardzo czarną rolę przy kobiecie - pacjentce. Przypomniała sobie zwie-

rzenia żon, rady, które dawała. Czy ma prawo wycofać się z tego pola?

Lecz wieczorem, gdy zastawała Fernanda jeszcze chmurniejszego, zimniejszego i bardziej niż kiedykolwiek od niej oddalonego, rozpacz jej była tak wielka, że przestawała roztrząsać posłannictwo, obowiązki i specjalną rolę kobiety czującej, że traci męża.

Przez nieśmiałość nie mogła się zdobyć na wyjawienie Fernandowi swego zamiaru. Wogóle widywała go mało. Twierdził, że laboratorjum absorbuje go coraz więcej. Zaraz po jedzeniu wychodził z domu. Noce spędzali samotnie. Renia umyślnie zostawiła na stole stos ogłoszeń jeszcze niewysłanych, lecz Fernand nie wchodził już nigdy do gabinetu żony, więc ich nie widział. W końcu Renia powiedziała sobie: „Jutro wyślę".

Lecz wpierw chciała uprzedzić ojca. Aby uniknąć zapytań i tłumaczeń, dochodzeń i przypuszczeń, jakie jej decyzja byłaby wywołała w rodzinie, postanowiła udać się nazajutrz do szpitala Hôtel-Dieu, by się tam spotkać z ojcem.

Jak za dawnych czasów swojej praktyki w internie skierowała się o wpół do dziewiątej do szpitala na ulicę Cloître. Gdy ujrzała plac Parvis i portyk szpitala, zadrżała jak pacjent w chwili ciężkiej operacji. Była to ciężka próba dla jej odwagi. Lecz czuła się silną, tą smętną siłą, jaką daje ból!

W szpitalu było wszystko po dawnemu. Ciężkimi krokami schodzili się gromadnie uczniowie, krzątali niebiesko ubrani sanitarjusze, portjer kontrolował przy wejściu. Na miejsce starych przybyli nowi chorzy w tych samych łóżkach, z temi samemi chorobami, skargami. Nic bardziej nie podniecało w niej ukochania

swego zawodu, jak szpital, to muzeum patologiczne. Byłaby chciała zatrzymać się w każdej sali, przy każdym chorym, uczyć się ciągle dalej, dociekać tajemnic, ukrytych jeszcze przed nauką. Gdy doszła do oddziału ojca, do sali kobiet na drugiem piętrze, asystent, wysoki blondyn, zapytał, czego sobie życzy.

Zamyślona, nie odpowiadając nic, patrzała poprzez niego w uchylone drzwi małego laboratorjum, gdzie przez tyle miesięcy przygotowywała swoją tezę. Poznawała formę flakonów, butelek, mikroskop, aż do raczki do pióra, której zawsze używała. W końcu zapytała:

— Doktór Herlinge nie przyszedł jeszcze?

— Nie — odrzekł młody człowiek — i nie wiem o której godzinie przyjdzie. Dziś rano na pierwszem piętrze odbywa się konkurs na nowego szefa. Doktór Herlinge egzaminuje wraz z doktorem Artout, Durandem i Boussardem. Jest trzech współzawodników, z tego jedna dama i ta pewnie przejdzie. Będzie to pierwsza kobieta na stanowisku szefa oddziału. To będzie zabawne!

Renia żyła tak odosobniona, zamknięta w swym tajonym bólu, że głośna w świecie lekarskim kandydatura kobiety pozostała dla niej nieznaną.

— A któż jest ta osoba? — spytała nagle zaciekawiona.

— O! — rzekł młody człowiek, śmiejąc się lekceważąco — stary frant lekarski, pani Marja Boisselière.

— Pani Boisselière! — rzekła Renia — rzeczywiście słyszałam o niej.

Schodząc, podziękowała asystentowi, który dodał:

— Dziś pani nie zobaczy dr. Herlinge, bardzo zajęty konkursem.

Z dołu dochodziły głosy, wśród których zdawało się Reni, że odróżnia poważny, imponujący organ dr. Artout. W rzeczywistości bardzo ożywiona grupa lekarzy wchodziła na schody. Na obszernym przystanku pierwszego piętra spotkała się z ojcem, który gestykulował nerwowo, rozmawiając z Boussardem.

Wszyscy zainteresowani byli tą nominacją kobiety na stanowisko lekarza szpitalnego — rzecz dotąd niebywała. Niektórzy protestowali usilnie. Artout był zdania, aby ją „zagwoździć" jakimkolwiekbądź sposobem. Boussard milczał obojętny, tak, że nikt nie mógł odgadnąć jego myśli. Herlinge dowodził, że trzeba postępować zupełnie tak samo, jakby się to robiło z mężczyzną. I oto w tej chwili oczy jego spotkały córkę, twarz mu się rozjaśniła, uśmiechnął się.

— A... jesteś, maleńka! Chcesz być obecną przy egzaminie pani Boisselière... Jeżeli zda, czego się spodziewamy, to będzie wspaniały sukces waszej sprawy.

— Nie po to przyszłam, ojcze, mam ci dwa słowa do powiedzenia; nie miałam czasu pójść na avenue Victor Hugo, myślałam, że tu...

— Dobrze, dobrze. Jestem do twej dyspozycji. Chwileczkę jeszcze...

Wszedł do sali, przez oszklone drzwi widzieć było można jego chudą, białą sylwetkę, ubraną w czarny biret, posuwającą się wzdłuż rzędu łóżek. Na przystanku schodów, gdzie wszyscy inni pozostali, rozmowa toczyła się dalej aż nagle przerwało ją przybycie dwóch kobiet czarno ubranych. Była to pani dr. Lan-

celée, towarzysząca swej przyjaciółce, pannie Boisselière.

Ta ostatnia, kobieta około lat czterdziestu pięciu, okazałej postawy, z włosami krótko strzyżonemi, w kapeluszu podróżnym, przypominającym fason męski.

Boussard spostrzegłszy swą kochankę, uśmiechnął się tym uśmiechem smutnym kochającego, uśmiechem, który Renia widziała u niego w Szwajcarji. Przybliżyli się do siebie, uścisnęli dłonie, ona szepnęła przelotnie:

— Dziś nie mam chwili wolnej. Przyjdź pan jutro na śniadanie, dobrze? Nie mam konsultacji.

Renia, świadoma ich stosunku, usłyszała to zdanie, którego doniosłość poznała po minie nieszczęśliwego kochanka. Kochała swego mistrza, o którym mówiła zawsze z uwielbieniem skromnej uczennicy „mój wielki Boussard". Cierpiała, widząc go bez ogniska domowego, bez rodziny, na rozkazach kobiety, która wzamian za jego czułą namiętność sączyła kapryśnie po kilka kropli szczęścia. Reni przyszła nowa myśl. Nagle uczuła potrzebę poświęcenia i dumna z niego, zdecydowała się tu w pełni zebrania lekarskiego ogłosić je, nie jak dezercję, którą się wyznaje, lecz jak zwycięstwo, którem się chlubi. Robiło jej przyjemność proklamować triumf swego serca nad rozumem, w twarz tej Lancelée, która między niemożliwością życia małżeńskiego i poświęceniem siebie, wybrała środek: wolny związek, przyjemność miłości, wolną od obowiązku.

W tej chwili doktor Herlinge wyszedł z sali a za nim asystent. Młodzi lekarze cicho rozmawiali w pewnem oddaleniu od Marji Boisselière, starszej, ubogiej nauczycielki, która przybywszy w dwudziestym roku życia

z Bordeaux, zarabiała z trudem lekcjami, by raz przejść medycynę i wyjść z tej nędzy. Miała w swej czaszce, silnej jak czaszka męska, mózg męski. Z łatwością przeszła studja. Odznaczała się jako internistka w szpitalach Paryża. Osiedliwszy się jako lekarz, prędko zdobyła powodzenie. Po jej męskim wyglądzie, szczerej brzydocie, wyraźnej chęci naśladowania mężczyzn domyśleć się było można, że miłość nie przeszkadzała jej w karjerze umysłowej. Była z tych, co muszą żyć same, liczyć tylko na siebie, nie marzyć o mężu, któryby im zapewnił egzystencję. I Renia w dobroci serca i w poczuciu solidarności myślała, że karjera medyczna, otwarta teraz przed kobietami, będzie odtąd dla tych osamotnionych, opuszczonych nieszczęśliwych sióstr wspaniałą rekompensatą.

Studentki Rosjanki biedniejsze jeszcze niż ongiś była Dina, wchodziły sztywne i skromne na wyższe piętro; z głębi serca życzyła im Renia powodzenia i fortuny. Potem przenosząc wzrok na dwie małe wolontarjuszki Francuzki i widząc je tak jasne i zdrowe, tak stworzone do miłości, macierzyństwa, rodziny — owe odwieczne tradycje francuskiej burżuazji, do której widocznie te dwie dziewczynki należały — miała ochotę im powiedzieć:

— Śliczne, małe intelektualistki, pracujcie, w piękne studja włóżcie waszą werwę młodzieńczą, w razie potrzeby w życiu uzbrójcie się w ten zawód najszlachetniejszy ze wszystkich, dający dostateczny zarobek i wystarczający na osłodę wszelkiemu osamotnieniu. Lecz w danej chwili ,gdy wam nic nie stanie na przeszkodzie, poddajcie się prawom wyższym, które stworzyły kobietę nie dla samej siebie, lecz dla męża, któremu ma być po-

mocą i szczęściem. Tego dnia wyrzeczcie się siebie, wyrwijcie z siebie wszelkie pragnienie sławy, ofiarujcie temu, którego kochać będziecie, waszą inteligencję, która uczyni mu ognisko domowe, miejscem najdroższem, najbardziej interesującem, pociągającem. Dajcie się całe...

— Chciałaś ze mną mówić, Reniu — odezwał się w tej chwili dr. Herlinge — chcesz pójść do mego gabinetu?

—O! to, co ci mam do powiedzenia nie jest sekretem — odrzekła młoda kobieta z uśmiechem tajemniczym.

— Spojrzała na dwie małe hospitantki, na panią Lancelée tak dumną ze swego powodzenia w miłości i egoiźmie, na Marją Boisselière, okazałą feministkę, na Artout, którego wiedziała że zgorszy, na swego wielkiego Boussarda, który jej raz powiedział: „Pani jednak dojdziesz do tego“ — i na wszystkich tych młodych lekarzy, cieszących się mniejszem niż ona powodzeniem, za co mieli do niej trochę urazy — i na studentów, których liczba wzmagała się w hallu szpitala — a gdy wszyscy mieli oczy na nią skierowane, odezwała się:

— Ojcze, przyszłam ci powiedzieć, że porzucam medycynę.

— Porzucasz medycynę...

— Tak, nie jestem więcej lekarzem, nie praktykuję.

Herlinge wyprostował się osłupiały, myśląc, że źle zrozumiał.

— Ojcze drogi — rzekła Renia — rozumiem, że to cię dziwi... A jednak to prawda. Mój mąż oddawna tego sobie życzył, lecz nie mogłam się na to zdecydować. Ostatecznie uznałam, że naprawdę dom nasz nie jest mu miły. Zresztą i mnie ostatnie miesiące bar-

dzo zmęczyły, czuję potrzebę spokoju. I oto doszłam do tego samego, co uczyniła pani Pautel, a co mnie wówczas tak bardzo oburzyło...

— Ależ, moja droga — zawołała pani Lancelée, nie mogąc się wstrzymać — to niegodne ciebie! Nigdy nie byłabym uwierzyła... nigdy, nigdy!...

Dziwna ta kobieta jakgdyby osobiście była dotknięta odstąpieniem Reni, zbladła z gniewu. Artout zaś ze wzrokiem ciekawie wlepionym w swą dawną uczennicę, bardzo zaintrygowany tem co usłyszał, początkowo trochę zbity z tropu, oświadczył:

— Jeżeli pani Guéménć tak zadecydowała, to dowód, że ma rację. Ufam jej na tyle, że nie sądzę jej postanowień!... Któż kiedy może przeniknąć tajemnicę młodego małżeństwa? Jako lekarz opłakuję stratę dzielnej koleżanki, ale jako przyjaciel pochwalam czyn, który uznała za najlepszy.

— A... to pani jest lekarzem? — wyrwała się Marja Boissellière. Postąpiła parę kroków z lornetką przy oczach i mierząc Renię, głosem niezaprzeczalnie starej nauczycielki dodała:

— Bardzo żałuję, że poznaję panią w takich okolicznościach...

Byłaby więcej powiedziała, lecz Boussard, milczący dotychczas, zbliżył się do młodej kobiety i uścisnął jej rękę:

— Ja pani winszuję — rzekł tylko głosem powolnym, bezdźwięcznym, ale z odcieniem tak przejmującym, że Renia wzruszyła się cała.

W tej chwili pani Lancelée, obracając się prawie impertynencko plecami, wzięła na stronę swą przyjaciółkę Boisselière i zaczęły rozmawiać o medycynie.

— Powiem tę nowinę mamie — rzekł Herlinge trochę smutnie. Będzie bardzo zdziwiona, bardzo zdziwiona...

I on zmartwił się bardzo. Był dumny z Reni jak niektórzy ojcowie dumni są ze swych synów. Wszystkie osobiste ambicje miał zaspokojone, żył przyszłością córki i mówiono, że dlatego protegował przyjęcie panny Marji Boisselière do szpitala Hotel - Dieu, bo w swej dumie ojcowskiej widział w niej poprzedniczkę swej córki.

Młodzi lekarze zwracali się z sympatją do pięknej doktorki, studenci szeptali w swych rubasznych drwinkach:

— Doktór znika, klientela zostaje...

Renia uznała dostatecznym efekt, jaki pragnęła wywołać i usunęła się, życząc powodzenia podeszłej w leciech królewnie wiedzy, kandydującej jeszcze o jeden stopień wyżej. Wszystkich zaniepokoiła ta scena. Wreszcie usłyszano ginące w korytarzu kroki lekarki.

Renia wyniosła ze szpitala silniejsze i wyraźniejsze przekonanie o swym obowiązku. Szybko wracała do domu. Drżała radością na myśl, co się stanie wkrótce, gdy Fernand dowie się o wszystkiem. Zaledwie wróciła, siadła przy biurku, gdyż pilno jej było dać zewnętrzny wyraz swemu poświęceniu — adresowała ogłoszenia. Przeglądając w ten sposób całą swą klientelę, zrozumiała tem lepiej ofiarę, jaką składała swej miłości. Słodką była jej ta praca.

Fernand wrócił około 11-ej godziny z laboratorjum i zapytał o żonę. Służba odpowiedziała, że pani pracuję w swym gabinecie. Otworzył drzwi. Renia doznała najsilniejszego uczucia w swojem życiu. Zwróciła się do męża.

— Reniu — odezwał się Fernand — chciałem cię uprzedzić, że dziś nie będę z tobą jadł

śniadania. Wzywają mnie na konsultację do Saint - Cloud. Jadę.

Zdawał się nerwowym, przejętym, niespokojnym. Kiwnęła mu głową i głosem zmienionym rzekła:

— Chodź, chodź, zobacz co robię.

Miała w tej chwili wyraźne przeczucie, że jest opętany obrazem tej „drugiej", że definitywnie wysuwa jej się, że musi sprobować ataku najpotężniejszego.

— Co takiego? Wiesz, że mi śpieszno... — rzekł głosem zniecierpliwionym, który ją bardzo zabolał.

Jednakże zbliżył się, pochylił nad biurkiem, zobaczył setki świstków porozrzucanych — wreszcie zrozumiał. Podsunęła mu ogłoszenie do oczu. Przeczytał:

„Doktór Teresa Guéménć ma zaszczyt zawiadomić P. P., że z powodu zdrowia zaprzestaje praktyki lekarskiej."

Nie rzekł ani słowa, stał nieruchomy, wyprostowany, jakby zahypnotyzowany przez ten fruwający papierek, który mu drżał w ręku. Renia wstrzymała oddech. Opanowawszy głos, zapytała:

— I cóż? nie jesteś zadowolony? powiedz... To, czego sobie życzyłeś, stało się...

Zbladł i milczał, rysy ściągnęły mu się. Nie okazał żadnej radości, żadnego zadowolenia. Był zmiażdżony i bronił się przed skurczem całej swej istoty.

— Powiedz cośkolwiek — zawołała Renia. Wiesz teraz do jakiego stopnia cię kocham... to jakbym wyrywała coś ze siebie, aby dać tobie. Nie jestem już niczem, niczem, tylko twą żoną, należę cała do ciebie nareszcie.

— Biedna Reniu! — wyrzekł z trudem. — Biedna Reniu! Jestem przerażony tem, co dla

mnie zrobiłaś... Nie trzeba było... nie, nie, nie trzeba było! to zbrodnia!... Tyś tak kochała swój zawód, tyle znajdowałaś w nim zadowolenia! Dawał ci wyższość, nietykalność ,którą trzeba szanować. A! dlaczego to zrobiłaś?

Renia wyprostowała się, drżąc:

— Dlaczego? ty mnie pytasz dlaczego?... Nie rozumiesz?

— Owszem, rozumiem cię, Reniu i dziękuję.... ale... widzisz... przerażony jestem na myśl, że łamiesz sobie życie dla mnie. Niewarto było, myślę... Wreszcie, boję się, że będziesz żałowała... nie chciałbym cię unieszczęśliwić...

— A więc — rzekła, patrząc na niego z niewypowiedzianym smutkiem — to jest wszystko, co masz mi do powiedzenia! Nie kochasz mnie już, oddałeś swe serce innej kobiecie, obrażasz mnie śmiertelnie, a ja nie przestaję cię kochać, żałuję tych drobnych przykrości, które ci wyrządziłam, z miłości dla ciebie wyrzekam się tego, co mi było najdroższe, oddaję się tobie wyłącznie. Przysięgam istnieć odtąd tylko dla twego szczęścia i widząc mnie krwawiącą jeszcze tą moją ofiarą, mówisz: „to nie warto było!...“ Fernandzie! Fernandzie!

Wybuchnęła łkaniem, padła na biurko z twarzą, ukrytą w rękach. Oto jej nagroda! Cóż jej teraz zostaje?

Fernand pochylił się nad nią z tkliwem politowaniem, które było obelgą dla namiętnej miłości młodej kobiety. Przemówił łagodnie:

— Reniu, droga Reniu, jestem bardzo wzruszony, zapewniam cię, bardzo wzruszony... uspokuj się...

Płakała tak rzewnie, że nie przypuszczał, aby dumna istota zdolna była do takiego płaczu. Całe ciało, wstrząsane szlochem, mówiło o jej bólu. Fernand przyglądał jej się z sercem

ściśniętem, pełen litości, a także urazy za tę spóźnioną ofiarę, która teraz na nic mu się zdała, chyba na to, aby go wstawić w poniżające położenie. I podczas, gdy patrzał na tę nieszczęśliwą małżonkę, upokorzoną, złamaną, drgającą bólem, obraz promiennej pani Jourdeaux, jej uśmiech, jej tajemniczość unosił się przed nim. Pilno mu było opuścić tę żonę przygnębiającą, ten pokój smutny, ten dom... skłamał przed chwilą, nie jechał do Saint-Cloud, lecz szedł na bulwar Saint - Martin, gdzie był zaproszony na śniadanie.

— Reniu — powtarzał zniecierpliwiony, chcąc zakończyć tę scenę — niech nie zabieram z sobą tego rozdzierającego wrażenia. Kolega czeka na dworcu, muszę jechać; lecz proszę cię, powiedz rozsądne słowo na pożegnanie. Pomówimy jeszcze o tej karjerze zbyt lekkomyślnie porzuconej... Nie chcę, abyś była nieszczęśliwą!

Nie otrzymał odpowiedzi; irytował się wewnętrznie, lecz udawał łagodność, aby nie okazać się wstrętnym.

Wreszcie młoda kobieta podniosła się:

— Idź, przyjacielu, odtąd znajdziesz mnie tutaj zawsze.

Powiedziała to bez goryczy. Ta słodycz, przypominająca mu panią Jourdeaux, wstrząsnęła nim. Renia przyjęła pocałunek, nie odpychając go. Wyszedł. W owej minucie zwątpiła, czy kiedykolwiek go odzyska.

Pani Jourdeaux oczekiwała swego gościa w salonie. Po raz pierwszy tam go przyjmowała. W przyćmionem świetle wydała się Fernandowi zmieniona, bardzo piękna rozpromieniona mimo swej bladości, swej żałoby, któ-

rej nie zdjęła. Przyszedł strasznie podniecony. Ściskał jej ręce:

— O moja droga, moja droga pani, jakże spragniony ciebie jestem.

Szybki, fosforyczny błysk przeszedł przez oczy młodej kobiety.

— Co takiego? — zapytała.

— Jestem w sytuacji okropnej, jestem zgubiony, nie widzę wyjścia, nie wiem co mam robić. Chciałbym nie istnieć, nie myśleć, stać się dzieckiem, jak Andrzejek i schronić się pod pani opiekę. Dziwna rzecz, taka słodka jesteś, a zdaje mi się, że masz tyle mocy. Powinnaś mnie obronić.

Trochę wahająco odrzekła:

— Całą mą mocą kochania, rzeczywiście otaczam pana i ogarniam. Lecz cóż mogę zrobić?!

— Dodać odwagi, zapewnić, że mnie nigdy nie opuścisz.

— Opuścić? czyżbym mogła? To jakby kto mówił o opuszczeniu Andrzejka. Los nas zbliżył, byłeś pan tak smutny, nieszczęśliwy, że ja młodsza i jeszcze smutniejsza, jeszcze więcej sama, przyjęłam cię do serca. Nieszczęście czyniło cię słabym. Uczułam się nagle starszą i silniejszą. Czasem wyobrażam sobie, że mam dwóch synów: jeden z nich zupełnie mały, drugi duży, bardzo duży i obaj są mi równie drodzy... Ale co panu jest dzisiaj?

Pilno mu było przyznać się do nowego cierpienia, jakie poświęcenie żony wniosło w jego życie, lecz obawa, że subtelna kobieta uzna w powrocie Reni przeszkodę do ich przyjaźni, wstrzymała go. Pokojowa, oznajmiając śniadanie, oszczędziła mu wahania.

Obojętnie spożywał potrawy, które młoda kobieta starannie dobierała, aby mu się podo-

bać. Rozmowa, przemiana, która się w niej dokonywała, a przedewszystkiem smutne wspomnienie Reni we łzach, męczarnia, jakiej doznał — nurtowały go głucho. Oczywiście pani Jourdeaux stawała się coraz piękniejszą. Patrzał na nią bez przerwy. Miłość do niej rosła w nim i bardziej świadomy, niż ona, spostrzegał, że ta sama namiętność zdradliwie opanowywała młodą kobietę. Zresztą, co to było za życie, które prowadził między kobietą, której już nie kochał a drugą, która mu się usuwała? I naraz wyobraził sobie, że jest u siebie, że to jego prawdziwa żona, której przyglądał się miłośnie, tak wdzięczna, dobra, kochająca!

Po śniadaniu zaproponowała powrót do salonu.

— Nie lubię ceremonjalnego salonu — rzekł — a ponieważ mam chwilę czasu przed popołudniowemi wizytami, pozwól pani, że przejdziemy do twego pokoju; lubię jego zaciszność.

Bona zabrała małego Andrzejka na lekcję, pozostali sami. Na komodzie zegar wskazywał drugą. Jego tik-tak dźwięczało w pokoju. Pani Jourdeaux przystroiła pokój różami, domyślając się, że prawdopodobnie doktór będzie wolał tam siedzieć. Chciała wziąć robotę, lecz Guéménć zakazał:

— Nie, nie, nie, zostaw pani robotę.

Z przyjemnością poddała się jego życzeniu.

— Daj mi twą rękę — rzekł.

Ręka była drobna, ładna, kilka błyszczących kamieni zdobiło palce. Guéménć pocałował i pieścił długo. Potem przyłożył ją do swej skroni i rzekł gorżko:

— Taki jestem spragniony tych słodyczy!

Zdjęta litością, która — zdawało jej się — że uświęca wszystko, pytała:

— Czy żona taka obojętna dla pana?

— Moja żona oddzieliła swe życie od mojego — rzekł z cyniczną niesprawiedliwością, jaką wywołuje namiętność. Mam lat trzydzieści pięć i... serce zamurowane w grobie.

Zadrżała, uwolniła rękę i milcząc wyszukiwała nitkę jedwabiu, potem igłę. Załzawione oczy nie widziały nic przed sobą.

— Powiedz: „kocham" — błagał cicho.

Zesztywniała.

— Nie, nie, nie mam prawa.

— Co! nie masz prawa? Jesteś panią siebie, swego serca, swej osoby, ja ci dałem całą duszę wszystkie myśli, dzień i noc noszę cię żywą w duszy; jestem jedynym człowiekiem, który cię kocha gorąco, prawdziwie, a ty nie miałabyś mieć prawa dać mi tej radości, bym usłyszał te dwa słowa, potrzebne mi do życia?

— Doktorze, doktorze! — szeptała przerażona — uspokój się, błagam... Ty także nie masz prawa — należysz do innej.

— Ale ta inna zraziła mnie swoim egoizmem, swoją nieczułością, swoją dumą; usunęła się odemnie, od początku stawiła barjerę między nasze dusze... Czyż mam być skazany prowadzić aż do końca to życie bez miłości, związane z kobietą, której nie kocham! Bo ja ciebie kocham, droga... i oddawna duszę w sobie to wyznanie! Pytam siebie, co za nieśmiałość wstrzymywała mnie od tego, aby ci powiedzieć, kiedyśmy oboje wiedzieli o tem tak dobrze.

— Tak — rzekła z oczyma przymkniętemi w głębokiem szczęściu — wiedziałam, tak wiedziałam, lecz to tak słodko słyszeć!

— Więc — ciągnął dalej, zbliżając się do niej — niech uczuję rękę twą drogą i twe usta na mem czole, niech usłyszę słowa pieszczoty, których mi już nikt nie daje...

— Fernandzie, Fernandzie! — błagała — boję się, że popełniam coś złego...

— Miłość jest piękna — mówił, biorąc ją w ramiona — miłość jest święta. Bądź tą uroczą matką, która leczy wszystkie bóle, bądź absolutną w miłości bez zastrzeżeń, bez myśli ubocznych. Widzisz, że cię kocham całem jestestwem!

Wreszcie ulegając, oddała mu pierwsze namiętne pocałunki, jakich dotąd nigdy nie znała. Był to krótki uścisk. Wyprostowała się i delikatne jej sumienie zaniepokoiło się:

— Odejdź teraz! wrócisz jutro, będę lepiej wiedziała... opanuję się prędzej sama... Odejdź, proszę, odejdź! Obawiam się Andrzejka. Gdyby był wszedł!... Widzisz, źle zrobiłam...

Wówczas poprosił, aby mógł widzieć się z nią nazajutrz w jakimś cichym, odległym zakątku. Miał ochotę na wycieczkę na wieś, jak gdyby byli parą narzeczonych. Zarumieniła się na tę myśl schadzki. Objął ją, mówił jak do naiwnej dziewczynki, wykazywał, jak szlachetną była ich miłość. Zaczęli szukać miejsca spotkania. Broniła się słabo, goniąc resztkami sił, odkładała walkę na jutro, licząc, że będzie miała więcej samowiedzy, więcej odwagi, gdy odgłos kroków za drzwiami rozłączył ich, wywołując u obojga lekki rumieniec.

Pokojowa weszła, podając kartę:

— Ta pani chce się widzieć z panią.

Rysy młodej kobiety ściągnęły się, lecz opanowała się i z zimną krwią rzekła:

— Dobrze, poproś tę panią, aby chwileczkę poczekała. Zaraz przyjdę.

Chciała mówić, zawahała się, otworzyła dwa, trzy razy usta, wreszcie powiedziała Fernandowi:

— Wybacz, doktorze, muszę widzieć się z tą panią. Idź już... zaraz... temi drzwiami... Chodzi o rzecz naglącą... Nie mogę kazać jej czekać.

I nieco nerwowiej niż zwykle, trzymając w palcach zwiniętą kartę, popchnęła lekko doktora w stronę drzwi, które wychodziły wprost do sieni. On dopytywał ciągle o miejsce spotkania.

— Napiszę, przyrzekam, dziś wieczór...

— Przyrzekasz?...

Wreszcie wyszedł, a ona w głębi drżącej dłoni, z sercem tak ściśniętem, że ledwo oddychała, przeczytała:

Dr. Teresa Guéménć.

Uczuła żywszą niż dotychczas niechęć do tej złej kobiety, która zmarnowała życie Fernandowi. Uczucie to górowało w jej sercu, gdy odważnie, prawie bezczelnie szła przyjąć tę wizytę. Mówiła sobie:

— Szpieguje go teraz!...“

Poprawiwszy przed lustrem włosy, poszła do salonu, nieustraszona, gotowa znieść wszystko dla tego, którego czuła swoim na zawsze.

Renia oczekiwała ją przy fortepianie. Z dumnego obrazu doktorowej, jaki pani Jourdeaux zachowała w pamięci, pozostała tylko szczupła, młoda kobieta z oczyma bardzo smutnemi, bez cienia arogancji, bez wyniosłości, bez wymówek i nienawiści.

Trochę nieśmiało zbliżyły się do siebie, badając jedna drugą, zanim przemówiły. Postawa Reni uspokoiła wdowę.

— Życzyła sobie pani mówić ze mną.

— Pragnęłam panią widzieć, poprawiła Renia z akcentem takiej prawości i szczerości, że pani Jourdeaux przeczuła w jakim tonie potoczy się odtąd rozmowa.

Jeszcze raz popatrzały na siebie nieufnie jak wrogie sobie kobiety, których spokój i rezerwa wypływały jedynie z dobrego wychowania.

Ten sam wzniosły poziom serc, jeżeli nie rozumu, równał je z sobą, czynił jedną godną drugiej.

Wreszcie Renia przemówiła.

— Zapewne powiedziano pani, że jestem kobietą dumną, zarozumiałą — kobietą twardą, zimną, egoistką. Ponieważ szanuję panią do tyla, że przychodzę dziś do niej, chciałabym, abyś mnie pani także oceniła, poznała, osądziła. Nie jestem zarozumiałą, ale nieszczęśliwą. Wiem, żeś dobra — przyszłam więc prosić panią o pomoc w nieszczęściu, które mnie spotkało.

— Jeżeli mogę być pani w czemkolwiek użyteczną, możesz liczyć na mą pomoc.

Po chwili Renia zaczęła z wysiłkiem:

— Mam matkę idealnie dobrą, lecz nie powiedziałabym jej tego, co tobie, pani, chcę wyznać. Nie powiedziałabym tego nikomu i poraz pierwszy słowa, które mnie tyle kosztują, przejdą przez moje usta. Chcę, abyś to pani wiedziała, abyś zrozumiała jaki dowód zupełnego zaufania tem ci daję. Wzamian proszę o twoje.

Pani Jourdeaux straciła swą zaczepną pewność siebie. Zdawało jej się, że czuje jeszcze w około swej szyi ramiona męża tej kobiety, że słyszy jego słowa namiętne, przypomniała sobie jego pocałunki, jego uściski. Zbladła.

— Posiadasz je pani. Jeżeli mogę oddać ci jaką usługę, jestem do twej dyspozycji.

— Przed czterema laty — podjęła znów Renia — poślubiłam dr. Guéméné. Miałam lat dwadzieścia pięć — jeżeli dla kobiety nie jest to wiosną młodości, to dla studentki, oddanej całą duszą pracy umysłowej, jest w każdym razie młodość uczuć bardzo świeża, niedoświadczona z pojęciami błędnemi, czasem szerokiemi, a czasem bardzo ograniczonemi. Nie skończyłam mych studjów medycznych, doktór prosił mnie, abym je porzuciła — nie mogłam się na to zgodzić. Pobraliśmy się i zaznaliśmy największego szczęścia w najczulszej miłości.

Głos jej załamał się, z trudem opanowała go i mówiła dalej:

— Mąż mój, to jedna z najpiękniejszych, najsubtelniejszych natur męskich. W naszem małżeństwie był on tym lepszym. Kochałam go. Ale kochałam również medycynę. Tymczasem trzeba kochać tylko męża. Nie rozumiałam tego; powinnam była zadowolić się mojem wielkiem szczęściem żony, a ja chciałam połączyć z niem i przyjemność, jaką mi dawał mój zawód... Widzisz pani, jaką spowiedź ci czynię... Podczas, gdy ja czułam się szczęśliwą, mój mąż nim nie był. Podzielone moje życie było ciągłem dla niego cierpieniem. Kara przyszła prędko. Miałam ślicznego synka, straciłam go, może — nigdy nie miałam odwagi przyznać tego — a może z własnej mojej winy. I męża, którego kochałam... straciłam także.

Zamknęła oczy na chwilę, skupiła się, aby nabrać sił do dalszych wynurzeń. Coraz ciszej mówiła z trudem:

— Tę oto zarozumiałą i dumną kobietę masz pani przed sobą; ona wyznaje ci swój ból

i całe swe upokorzenie, jakby to zrobiła przed najwierniejszą przyjaciółką. Wiem, że ty pani, możesz mnie zrozumieć, dlatego ciebie wybrałam. Mój mąż, który nie był szczęśliwy w swem ognisku domowem, widząc swe marzenia rozwiane, cofnął mi swe serce i dał je innej kobiecie. Tę kobietę znam, cenię — ale i sądzę. Zabrała mi szczęście, trzyma je w swych rękach, być może, że czuła się do tego uprawnioną, widząc moją beztroskę o zachowanie go. Lecz cobyś ty pani zrobiła, gdyby jakaś kobieta postąpiła podobnie względem twego serca, twej miłości, z twym mężem, któregobyś kochała gorąco?

Obiedwie równo blade spuściły głowy.

— Może poszłabym do tej drugiej kobiety z całą otwartością; a gdyby ona była niewinna, gdyby nie miała sobie nic do wyrzucenia prócz uczucia bardzo czystego, nieskażonego winą, przyjęłaby mnie jako przyjaciółkę. Cierpiałybyśmy bardzo obiedwie, kochając tego samego człowieka... lecz ja nie gardziłabym nią...

— Tak — rzekła Renia zamyślona — postąpiłabyś słusznie...

Popatrzały na siebie. Łzy trysnęły im z oczu.

Renia dodała:

— Nie jestem już lekarzem. Chciałam dać temu, który mnie porzucił, dowód najwyższej miłości, poświęcając mu to, co mi wypełniło życie. Lecz tak mało miejsca jest dla mnie w jego myślach, że prawie nie zauważył mego czynu. I tak ten ból, który sobie zadałam, a którego pani nie możesz rozumieć — bo istotnie zdawało mi się, że życie uchodzi ze mnie z wyrzeczeniem się tego, czem byłam dotychczas — ten ból stał się bezuży-

teczny... Nie odzyskałam jego serca, które należy już do innej. A jednak szczęście domowego ogniska nie jest tylko dla mnie, oczekuje ono na niewiernego męża, który tak długo nie będzie szczęśliwy, dopókąd będzie się błąkał zdala od spokoju, porządku i rodziny. Jeżeli ta, która myśli, że go kocha, kocha go prawdziwie, powinna pragnąć, aby tam powrócił.

— Pani — odrzekła cicha kobieta, ocierając łzy — ta, która kocha twego męża nie dorównuje tobie, o całe niebo jesteś szlachetniejsza, wspaniałoyślniejsza, jesteś tą, do której on musi wrócić, bo masz za sobą węzły najstarsze, najrzeczywistsze — przewagę małżonki. Tamta żałować będzie, że cię źle sądziła. Zobaczysz, ona się usunie, zatrze w pamięci tego, którego kochasz. Będziesz go miała znowu niepodzielnie...

— Czyż to możliwe? — zapytała Renia.

— Możesz być pewna — odrzekła pani Jourdeaux.

Gdy się żegnały, ściskając się długo za ręce, wdowa poprosiła:

— Uściskaj mnie pani.

Objęły się jak dwie siostry, które nigdy więcej nie miały się zobaczyć.

Nazajutrz drżąc ze szczęścia, Guéméné otwierał przy biurku list od pani Jourdeaux tak gorąco oczekiwany od wczoraj.

Pisała:

„Drogi przyjacielu!

„Przebacz ból, który ci sprawię. Budzę „się z długiego, grzesznego snu — Bóg dał, „że jeszcze przed upadkiem.

„Jesteś złączony z szlachetną kobietą, „którą masz obowiązek uszczęśliwić. Jeżeli

„zawiniła... czyś nie przesadził trochę jej wi-
„ny? Zbadaj ją lepiej i zbadaj siebie, przeko-
„naj się, czy w głębi twego serca niema ży-
„wych jeszcze korzeni dawnej waszej miłoś-
„ci. Mam syna, który będzie miał kiedyś lat
„dwadzieścia. Jestem jego wychowawczynią
„i muszę pozostać dla niego ideałem dobra.
„Jakiż autorytet znajdę w sobie, jeżeli ulegnę
„uczuciu, do którego nie mogę się
„przyznać? I cóż mu odpowiem w dniu, w
„którym odkryje w przeszłości matki tajem-
„nicę, którą trzeba dźwigać do końca życia,
„ukrywając z przebiegłością i kłamstwem?
„Cóż jest między nami? Zapewne, wielka
„miłość, przyjaźń pełna słodyczy, ale także
„szczęście, które nie ma podstaw, założone
„wbrew wszelkiemu porządkowi, wszelkiemu
„prawu. Nasze przeznaczenia same przez
„się nas rozdzielają. Ty masz żonę, a ja sy-
„na. Otóż to podstawy prawdziwej egzys-
„tencji moralnego życia i szczęścia dla każ-
„dego z nas. Oddając się jedno drugiemu,
„wyrzeklibyśmy się wszelkiego spokoju,
„wszelkiej godności. Nasza nielegalna miłość
„skończyłaby się goryczą i hańbą. Dziś koń-
„czy się czystemi łzami.

„Nie znajdziesz mnie pan więcej na bul-
„warze Saint Martin, jadę w rodzinne me
„strony do Lotaryngji, gdzie mieszka mój
„ojciec sam. Między tym drogim starcem a
„ukochanym synem, ze wspomnieniem na-
„szej przyjaźni, życie moje popłynie w ci-
„szy. Ty zaś zwróć się całą siłą woli do
„swej małżonki, której przysiągłeś kiedyś
„miłość dozgonną.

W dwie godziny później Renia zaniepoko-
jona nieobecnością męża weszła do jego gabi-
netu. Znalazła go opartego na stole z głową,

ukrytą w rękach, z oczami zaczerwienionemi nad listem, leżącym na bibule. Domyśliła się od razu prawdy. Było to zerwanie, przyrzeczone wczoraj, którego jednak nie spodziewała się tak szybko, ani, że będzie dokonane tak radykalnie.

Zbliżyła się nieśmiało. Rozumiała go, nie mógł to być namiętny poryw, który zwracał jej męża, ale ogromna nadzieja w przyszłość wstąpiła w nią. I pochylona nad nim szeptała cicho:

— Masz wielkie zmartwienie, Fernandzie, lecz nie jesteś sam... Jest przy tobie żona, która cię pocieszy. Oddana jestem ci teraz cała, znajdziesz mnie zawsze. Dom ci będzie miły, — zobaczysz... Co zrobimy z mego gabinetu? Może laboratorjum seroterapiczne, aby oszczędzić ci biegania codziennego do szkoły? Masz wielkie dzieło do spełnienia, Fernandzie, pomogę ci — i dokonasz. Będę pracować z tobą, przygotowywać pracę — będę — jak nam to kiedyś ślicznie powiedziała Dina Skaroff — twoją „asystentką."

Guéméné złamany, zbolałą duszą zwrócił się do Reni, cierpiał bardzo i jak bezsilny chory szukał jej opieki.

Był to sezon gnieżdżenia się ptaków. Wśród włoskich topoli, drżących nad rzeką, szary gołąb w lśniącej zielonkawej kryzie muskał samiczkę dziobkiem, rzeźbionym, jak klejnocik w różowym koralu.

KONIEC.